

# FARCRY®

★ ★ ★ ★ ★  
ODKUPIENIE



URBAN WAITE

OFICJALNY PREQUEL FAR CRY 5

# **FARCRY®**



# **ODKUPIENIE**

**URBAN WAITE**

**PRZEKŁAD**

**JAKUB RADZIMIŃSKI**



**UBISOFT**

**Insignis**

Tytuł oryginału  
*Far Cry: Absolution*

© 2019 Ubisoft Entertainment.

All Rights Reserved. Far Cry, Ubisoft and the Ubisoft logo are registered or unregistered trademarks of Ubisoft Entertainment in the US and/or other countries.

Niniejsza powieść jest fikcją literacką. Imiona, nazwiska, postaci, miejsca i wydarzenia są wytworem wyobraźni autorów i jakakolwiek zbieżność z rzeczywistymi wydarzeniami, miejscami, instytucjami, przedsiębiorstwami lub osobami, żyjącymi bądź zmarłymi, jest całkowicie przypadkowa.

Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, przechowywana jako źródło danych i przekazywana w jakiegokolwiek formie zapisu bez zgody posiadacza praw. Niniejsza publikacja nie może być rozpowszechniana w jakiegokolwiek oprawie lub okładce innej niż ta, w której została opublikowana, oraz bez podobnego zastrzeżenia nałożonego na kolejnego nabywcę.

Podziękowania: Yves Guillemot, Laurent Detoc, Alain Corre, Geoffroy Sardin, Yannis Mallat, Gerard Guillemot, JeanSebastien Decant, David Bedard, Manuel Fleurant, Dan Hay, Andrew Holmes, Nelly Kong, Marie-Joelle Paquin, Julia Pung, Sebastien Roy, Andrejs Verlisd, Sarah Buzby, Clemence Deleuze, Caroline Lamache, Victoria Linel, Anthony Marcantonio, François Tallec, Joshua Meyer, Virginie Gringarten, Mare Muraccini, Cecile Russeil, Raha Bouda, Stone Chin, Holly Hua, Jordan Archer, Bailey Mcandrews, Adam Climan, Heather Haefner, Barbara Radziwon, Damian Dale, Tom Curtis, Giancarlo Varanini, Lauren Jaques, Derek Thornton, Tina Cameron.

Przekład

Jakub Radzimiński

Redakcja

Anna Hadała-Żoźnik

Korekta

Marcin Piątek

Skład

Tomasz Brzozowski

Projekt okładki

Faceout Studio

Konwersja do wersji elektronicznej

Aleksandra Pieńkosz

Polska edycja Insignis Media, Kraków 2019. Wszelkie prawa zastrzeżone.

ISBN pełnej wersji 978-83-66071-75-9



Insignis Media

ul. Lubicz 17D/21-22, 31-503 Kraków

tel. +48 (12) 636 2519

[biuro@insignis.pl](mailto:biuro@insignis.pl), [www.insignis.pl](http://www.insignis.pl)

[facebook.com/Wydawnictwo.Insignis](https://facebook.com/Wydawnictwo.Insignis)

[twitter.com/insignis\\_media](https://twitter.com/insignis_media) (@insignis\_media)

[instagram.com/insignis\\_media](https://instagram.com/insignis_media) (@insignis\_media)

Snapchat: insignis\_media

# Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacja

Motto

I

II

III

IV

V

Podziękowania

O autorze

*Fanom, dzięki którym wszystko to stało się możliwe*

**Żniwem jest koniec świata, a żęćcami są aniołowie.**

Ewangelia wg św. Mateusza 13, 39

*Za Biblią Tysiąclecia*

Szeryf wszedł, usiadł na swoim krześle, zdjął kapelusz, położył nogi na biurku i spojrzał na nią znad blatu.

– O co chodzi? – zapytał.

– Dobrze wiesz, o co – odparła Mary May. – Chcę tylko wiedzieć, co masz zamiar z tym zrobić.

Mężczyzna przesunął palcem wzdłuż taśmy na kapeluszu, po czym strącił niewidoczny pyłek z runda, posyłając go gdzieś w dal. Swego czasu ujeżdżał byki i Mary May dobrze go pamiętała. Kiedy była mała, rodzice zabrali ją i jej brata Drew, żeby zobaczyli, jak to robi. Wtedy był jeszcze młody i chuderlawy, a ona stała przy samych barierkach i przyglądała się, jak szeryf wyskakuje z bramki. Wszyscy wołali, żeby się dobrze trzymał, i przyglądali się, jak wyjeżdża na sam środek placu: spod kopyt byka unosił się piach, a jeździec z ledwością utrzymywał się na grzbiecie zwierzęcia. Wtedy sprawiał wrażenie nieustraszonego. Zdawał się Mary May jakimś bohaterem. Teraz zupełnie do tamtego obrazu nie pasował.

Szeryf rzucił kapelusz na blat, zdjął nogi z biurka i spojrzał jej prosto w oczy.

– Cholera, Mary May, wiesz, że nie mogę nic z tym zrobić. Wiesz też, że to był zwykły wypadek, a nawet gdyby tak nie było, to i tak nikt by na to nic nie poradził.

– Wypadek? Ojciec pojechał tam po Drew. Czterdzieści lat z okładem za kierownicami ciężarówek, własnych czy któregośkolwiek z pracodawców, i nigdy nie dorobił się nawet jednej rasy. A ty mi teraz mówisz, że to był wypadek?

– Przykro mi z powodu twojej straty, ale nic nie można na to poradzić.

Spojrzała na siedzącego za biurkiem szeryfa i dostrzegła w jego oczach szczere współczucie. Zrobiło jej się go żal, bo sama wiedziała, że mówił



prawdę.

– Jak sądzisz, posuną się kiedyś za daleko? Będą naciskali na ciebie tak mocno, że ty też spadniesz?

– O czym ty teraz mówisz?

Uśmiechnęła się do niego i rozejrzała po biurze, po czym przeniosła wzrok z powrotem na biurko, na którym wciąż leżał kapelusz szeryfa. Mary May tej jesieni skończy trzydzieści lat, a już straciła prawie wszystko, na czym jej kiedykolwiek zależało. Zdawałoby się – z dnia na dzień. Został jej tylko bar i wzbierająca w niej wściekłość. Spojrzała na szeryfa.

– Drew wciąż tam jest – powiedziała. – Zamierzam go stamtąd wyciągnąć, a przynajmniej powiedzieć mu, że nasz ojciec nie żyje. O tym mówię.

Odepchnęła się od biurka i wstała. Miała na sobie koszulkę z krótkim rękawem i jeansy, a długie do ramion brązowe włosy związała z tyłu głowy. Wciąż czuła groźne pulsowanie żyły na szyi, ale nie potrafiła nad tym zapanować.

– Byłem tam raz – rzucił za nią.

Na dźwięk jego głosu zatrzymała się, już z dłonią na metalowej kłamce drzwi. W odbiciu szyby z naklejonymi po drugiej stronie szkła literami z szablonu dostrzegła, że wstał i przyglądał się jej.

– Zaprosili mnie. Chcą, żebym wziął udział w jednym z ich nabożeństw. Obróciła się i spojrzała na niego. Czekala.

Obszedł biurko i popatrzył na nią, ale po chwili odwrócił wzrok. Kiedy ich spojrzenia ponownie się spotkały, odezwał się.

– Mamy preppersów, szajbusów wierzących w rychłe nadejście Sądu Ostatecznego, całe rodziny mieszkające w lichych chatkach na wzgórzach. Bez prądu. Bez bieżącej wody. Babcię i prawnuki śpiące po troje w jednym łóżku, podczas gdy mamusia z tatusiem produkują kolejne potomstwo. Mamy wariatów z hyzkiem na punkcie broni palnej. Mamy bunkry i całe ich kompleksy. Mamy wolnomyślicieli, anarchistów, nihilistów, demokratów

i Bóg sam jeden wie kogo jeszcze, ale ja ci powiem, że to, co widziałem w Bramach Edenu... ich niezachwiana wiara, cholerna moc, której przydali słowom Ojca, to było zaraźliwe. Mało brakowało, a i mnie by pochłonęło. I oni w to wierzą, Mary May. Co do jednego. I nie chcę, żeby wyszło, że o nich źle mówię, czy że kwestionuję ich wiarę, ale mówię ci, napędziło mi to większego pietra niż cokolwiek, co w życiu widziałem, i nie mogę z tym nic a nic zrobić, bo wiesz co? To jest całkowicie zgodne z prawem.

– Ćwiczyłeś to? – zapytała Mary May.

– Powtarzam to sobie co wieczór przed snem.

Spojrzała na niego, po czym odwróciła się i otworzyła drzwi. Kiedy się obejrzała, wciąż się jej przyglądał.

– To mój brat – rzuciła. – Tylko on mi został.

\*\*\*

Mary May była już w pół drogi na szczyt, kiedy dostrzegła we wstecznym lusterku białą kościelną półciężarówkę. Jechali za nią pięć mil. Zerkąła w lusterko na każdym zakręcie, z wyczekiwaniem obserwując widniejące w dali drzewa i krawędź drogi – samochód zawsze się pojawiał. Zawsze wyjeżdżał z łuku i podążał za nią tak, jakby oba pikapy – jej czerwony ford i biały kościelny – były połączone liną holowniczą.

Przejechała jeszcze milę, po czym zatrzymała się na poboczu, wyciągnęła starą chromowaną trzydziestkę ósemkę po ojcu i położyła ją na desce rozdzielczej. Gdyby miała do kogo zadzwonić, zrobiłaby to właśnie wtedy. Ale nie było nikogo takiego, a poza tym w całym hrabstwie Hope nie mogła złapać sygnału. Utkwiła wzrok w lusterku wstecznym i czekała, aż biała półciężarówka wyłoni się zza ostatniego zakrętu.

Kiedy samochód zatrzymał się za nią, na żwirze, przeniosła wzrok na lusterko boczne i siedziała, czekała, zerkając na leżący przed nią rewolwer, lecz po niego nie sięgając. Rozpoznała mężczyznę za kierownicą, nazywał się John Seed. Znała go niemal pół swojego życia i dotychczas uważała po

prostu za zwykłego człowieka, ale obecnie się to zmieniło. Teraz niósł niebezpieczeństwo – dla niej i najwyraźniej dla każdego, kto stanie mu na drodze. To on wspólnie z braćmi kierował Bramami Edenu. Jeśli ktokolwiek wiedział, co się stało z jej ojcem albo gdzie mogłaby znaleźć brata, to właśnie John Seed.

Przyglądała mu się, jak otwiera drzwi samochodu, wysiada zeń i stoi. Był od niej o dziesięć lat starszy. Mierzył blisko sześć stóp i miał brązowe włosy oraz brodę przesłaniającą dolną część twarzy. W lusterku zobaczyła, jak – nie spuszczać z niej wzroku – mężczyzna sięga do kabiny i coś z niej wyciąga. Mary May pomyślała, że może ma tam broń, ale nie mogła mieć pewności i tylko przyglądała się, jak unosi brzeg koszuli i skrywa pod nią jakiś przedmiot, cokolwiek to było. Kiedy podszedł do jej drzwi, zdążyła już opuścić szybę. Spojrzała na niego i czekała.

– Boisz się? – zapytał.

Nie odwróciła wzroku.

– A powinnam?

Przez kilka sekund stał w milczeniu. Potem wyciągnął rękę w stronę Mary May i przytrzymując dłonią szybę, przesunął palcami po jej brzegu.

– Masz na to pozwolenie?

Spojrzał wymownie na leżący na desce rozdzielczej rewolwer, trzymając dłoń wciąż na jej szybie, po czym cofnął rękę.

Zerknęła na broń, następnie skierowała wzrok z powrotem na Johna. Ten cofnął się o krok i stanął w pewnym oddaleniu od jej samochodu, tak jakby się spodziewał, że mogłaby do niego strzelić.

– Należał do taty – odparła.

Zobaczyła, że spoglądał na nią, po czym odwrócił spojrzenie. Chyba zastanawiał się nad właściwą reakcją.

– Zasmuciły mnie wieści o jego śmierci – powiedział w końcu, a Mary May pomyślała, że zabrzmiął niemal ludzko.

Ponownie mu się przyjrzała.

– Jechał tu po Drew, kiedy to się stało.

– Co ty nie powiesz?

– A teraz ja jadę po niego. Powiem mu, żeby wracał do domu.

– O tym też słyszałem. Słyszę różne rzeczy od różnych ludzi. Powiedzieli mi na przykład, że wciąż sprzedajesz alkohol, chociaż prosiliśmy cię, żebyś tego nie robiła. To tylko jedna z rzeczy, które obięły mi się o uszy.

Spojrzała na niego jak na głupka, chociaż dobrze wiedziała, że nim nie jest.

– Jak niby mam twoim zdaniem prowadzić bar bez alkoholu?

– Nie powiedziałem, że masz go prowadzić.

Wbiła w niego wzrok. Oznajmił to spokojnym, rzeczowym tonem; wiedziała, że mówi poważnie.

– Wiesz, gdzie jest mój brat?

– Wiem. Z nami.

– Czy wie o ojcu?

– Wie.

– Pozwolisz mu zejść z tej góry?

– Może zejść z góry, kiedy tylko będzie miał na to ochotę. Nie jestem jego stróżem.

– Czyżby?

– No, poważnie.

Pochyliła się, sięgnęła do stacyjki, uruchomiła silnik i przez chwilę siedziała z rękami na kierownicy. Chromowana trzydziestka ósemka wciąż leżała na desce i wibrowała do wtóru pracy silnika.

– Gdzie się wybierasz?

– Jadę po brata.

Stał i przyglądał się jej.

– Słuchaj – powiedział. – Jesteś mądrą dziewczyną.

Znienawidziła go za sam protekcyjny sposób, w jaki to powiedział.

Zrobił niewielki krok naprzód, a ona przesunęła dłoń w górę kierownicy i ponownie spojrziała na rewolwer. Przyglądał się jej, zerknął w stronę, w którą przesunęła rękę, i powiedział, że to wszystko niepotrzebnie, że powinna zawrócić i zjechać z góry, zanim stanie się coś, czego nie będzie już można cofnąć.

Kiedy odjechała, wciąż tam stał. Obserwowała go w lusterku wstecznym. Tkwił na poboczu i spoglądał za nią. Potem wyciągnął przedmiot schowany wcześniej pod koszulą i uniósł go do ust. Krótkofalówka. Zrozumiała, że cokolwiek teraz mówił, zapewne dotyczyło jej i nie było to raczej nic dobrego.

Po przejechaniu kolejnej mili Mary May zabrała rewolwer z deski rozdzielczej i położyła pod udem, po czym przycisnęła broń mocno do siedzenia, żeby nie wypadła na podłogę podczas pokonywania kolejnych zakrętów drogi na szczyt góry. Na każdym łuku spoglądała w lusterko, w jakiejś mierze spodziewając się ujrzeć jadącego za nią Johna.

Kiedy pokonała kolejny skręt, jej oczom ukazały się dwie kościelne półciężarówki stojące w poprzek drogi. Przy nich stała czwórka mężczyzn. Unieśli wzrok na nadjeżdżającą Mary May i czekali. Każdy coś trzymał. Z tej odległości mogła się tylko domyślać, że to karabiny, a może nawet broń maszynowa. Zatrzymała się i wyjęła spod uda rewolwer, po czym otworzyła bębenek i przyjrzała się nabojom. Nie wiedziała, co zrobić, i była już gotowa zawrócić. Jednak czuła, że tego nie zrobi; że poddanie się teraz byłoby równoznaczne z porzuceniem brata i wszystkiego, co dla niej kiedykolwiek znaczył; wszystkiego, co zostało z jej rodziny i o uratowanie czego tak zaciekle walczył ojciec.

Spojrziała na czwórkę mężczyzn – ci patrzyli wprost na nią – po czym przestawiła bieg na wsteczny, przełożyła rękę przez oparcie fotela i nadepnęła z całej siły na pedał gazu. Koła zawirowały i ruszyła do tyłu, myślami będąc już przy niewielkiej żwirowej szosie, którą widziała po drodze i która prowadziła w stronę szczytu góry. Kiedy minęła ostatni

zakręt, tuż przed wylotem tej bocznej trasy, dostrzegła jadącego w stronę szczytu Johna.

W jednej chwili wspomniała ojca. Jak go znaleźli przewieszzonego przez kierownicę jego dużej półciężarówki z potłuczoną przednią szybą, z powgniataną i powyginaną karoserią. Nie było żadnych świadków ani jakiegokolwiek widocznej przyczyny wypadku. Jedno było pewne: był martwy, a wcześniej wyruszył na górę, tak jak ona teraz, chcąc sprowadzić do domu jej brata. Następnie przypominała sobie słowa Johna, to, co miał na myśli, i już wiedziała ponad wszelką wątpliwość, że ojciec nie zginął w zwykłym wypadku.

Mary May nie zwolniła, wręcz przeciwnie, wdepnęła gaz do dechy. Silnik zawył. Gdy tylko dostrzegła odchodzącą w bok żwirową drogę, skręciła energicznie w lewo i zjechała z asfaltu. Teraz jechała tyłem w górę zbocza, a wyrzucany w powietrze przez opony żwir uderzał ze stukiem w nadkola. Gdy spojrzała przez przednią szybę, dostrzegła przez ciągnącą się za nią chmurę kurzu Johna, który jechał jej śladem.

Przeniosła wzrok z powrotem na lusterko wsteczne, po czym ponownie zarzuciła rękę na oparcie kanapy, nie zdejmując nogi z gazu. Wkrótce pozostałe dwie półciężarówki, te kościelne, zjechały z drogi i podążyły za nią i Johnem.

Mary May roztrząsała całą tę sytuację w myślach, podczas gdy samochód pędził po żwirze, silnik wył, a prędkościomierz wskazywał czterdzieści mil na godzinę. Na wąskiej leśnej drodze niełatwo było zawrócić, trzymała więc nogę cały czas na pedale gazu, rękę przerzuconą przez oparcie kanapy, a wzrok utkwiała w drodze. Żwirowa nawierzchnia już się skończyła; teraz jechała po błotnistej drodze gruntowej, którą otaczał z obu stron gęsty górski las. Pędziła niestrudzenie na wstecznym, rozchlapując wodę z kałuż i wyrzucając wwyż bryły błotnistej ziemi, która lądowała na jej tylnej szybie. Po pokonaniu głębokiej kałuży paka samochodu podskoczyła niczym kadłub łodzi przecinającej błotniste fale.

Coraz brudniejsza tylna szyba ograniczała widoczność.

Kiedy uderzyła w coś leżącego na drodze – jakiś kamień albo gałąź – wciąż miała na liczniku czterdzieści mil na godzinę. Półciężarówkę obróciło w poprzek drogi. Mary May depnęła na hamulec i skręciła, żeby wyprostować samochód, kiedy jedno z kół ponownie w coś uderzyło. Pikap uniósł się w powietrze, po czym uderzył z całą siłą w rosnące obok drogi drzewa.

# I

**Tym, którzy kładą ręce na naszej arce, którzy chcą nas utopić w powodzi, którzy chcą nas odrzucić pomimo całej naszej ciężkiej pracy, ręce te zostaną odrąbane i odjęte od ciała. Odcięte z równą łatwością, z jaką rolnik po długiej i mozolnej pracy schyla się, by zżąć swą pszenicę.**

Ojciec, Bramy Edenu, hrabstwo Hope, stan Montana



## Tydzień wcześniej...

To był duży niedźwiedź grizzly, który przyszedł z Kanady.

Huk gromu obudził Willa Boyda – wstał, wyszedł w noc i spojrzał ku północy, gdzie zarys Gór Skalistych przypominał sylwetki okrytych cieniem strażników. Odcinały się na tle szarych chmur rozświetlonych blaskiem księżyca. Szalała burza. Mężczyzna przez cały dzień podczas pracy czuł, jak przybiera na sile. Powietrze stawało się coraz bardziej duszne i wilgotne, aż w końcu przyszedł deszcz i przyniósł orzeźwienie, niebo zaś rozświetlało się i rozszczepiało niczym lód na jeziorze, skruszony przez wzbierającą pod spodem wodę.

Sześć czy siedem mil dalej, na zboczu góry, Will widział już pierwsze zasłony deszczu popychane przez wiatr. Stał przed swoim domem na wzgórzu i przyglądał się nawałnicy. Wszędzie wokół rósł las: sosny wydmowe i świerki kanadyjskie. Błyskawice rozświetlały porośniętą strzęplicą łąkę, która rozciągała się między przedgórzem a skrajem lasu.

W ciągu ostatnich kilkunastu lat wielokrotnie ją przemierzał. Wiedział, jak wygląda w pełni wiosny, pokryta fioletowymi dzwonkami i niebieskim kwieciami lnu. Latem zaś łąka stawała się złościście zielona, by potem zbrązowieć na jesień, a jeszcze później znikwała na sześć miesięcy pod białym kobiercem. Chodził tamtędy w najgorsze mrozy i smrodliwym latem. Opuszczał otrzymaną chatę i z dwoma plastikowymi wiadrami na wodę przemierzał ziemię, nad którą opiekę powierzył mu kościół. Często widywał łosie i jelenie, czasem dostrzegał krążącego wysoko nad głową jastrzębia lub orła.

Teraz stał tu, wysoko nad tą łąką, zawinięty w ten sam wełniany koc, pod którym wcześniej spał, i przyglądał się odległej ulewie, gnanej od grani

do grani przez wiatr sprawiający wrażenie czegoś widzialnego i namacalnego. Ze snu wyrwał go już pierwszy pomruk burzy. Tkwił pod granatowym nocnym niebem i czekał, przyglądając się odległej górze. Po chwili pojawiła się błyskawica, a wkrótce po niej dudnienie gromu. Okoliczne wzgórza i góry ponownie zalało elektryczne, białobłękitne światło. Will otulił się szczelniej kocem i zrobił kilka kroków naprzód, wpatrzony w blaknącą poświatę, stopniowo przywykając ponownie do mroku. Zapłonęła kolejna błyskawica, tym razem rozgałęziona. Kiedy zamknął oczy, wciąż, w ciemności, widział ją pod powiekami.

Najpierw dostrzegł jelenia, dojrzałego byka, któremu właśnie zaczynały rosnąć tegoroczne rogi. Kiedy uderzył kolejny piorun, Will Boyd był już w połowie drogi przez łąkę. Uchwycone w ruchu zwierzę zastygło w blasku błyskawicy z wyciągniętą jedną z przednich nóg i potężnymi kończynami zadnimi w połowie skoku. Zdawało się unosić w powietrzu. Gdy po chwili niebo na powrót pociemniało, jeleni zniknął. Huknął grom. Burza była coraz bliżej, a odległe garby pogórza zaczynały znikać w strugach deszczu.

Will zrobił jeszcze kilka kroków między kępami strzępicy i turzycy, wypatrując w mroku jelenia, ale ten zdążył już umknąć z łąki, pierzchnął, jakby przed czymś uciekał.

Wtedy pojawił się niedźwiedź. Pokryta szczelnie futrem góra mięśni, przemierzająca mrok gęstniejący przed burzą. Zwierz pędził po łące z uszami położonymi płasko na łbie. Wysoko na niebie rozjarzyła się kolejna błyskawica i oświetliła niedźwiedzia, który wyglądał jak eksponat znajdujący się w głębi jakiejś rozległej muzealnej sali – wielki i groźny.

Kiedy blask na niebie pociemniał i nadszedł huk gromu, zwierz wciąż stał na łące. Zatrzymał się w pół drogi. Spadły pierwsze krople opadów przyniesionych wiatrem poprzedzającym burzę. Niedźwiedź zdawał się badać powietrze; uniósł pysk w stronę odległych drzew i nadciągającej zasłony deszczu. Kiedy stanął na zadnich nogach i obrócił się w stronę gór, Will nie mógł uwierzyć własnym oczom, taki był wielki; niczym jakaś

prastara istota, pół człowiek, pół bestia, która mogła władać ludzkością w dawnych czasach.

Wyprostowane zwierzę tkwiło tak, wsparte na zadnich nogach, przodem do nadciągającego frontu burzowego, a zasłona deszczu oderwała się od drzew i zaczęła sunąć zwartą ścianą przez łąkę. Woda lała się z nieba tak gęsto, że wszystko za nią – góry, przedgórze, las – zniknęło bez śladu. Kiedy ulewa dotarła do niedźwiedzia, wyglądało to tak, jakby go nigdy tam nie było. Will stał jeszcze przez chwilę, przyglądając się strugom deszczu nacierającym ku niemu po zboczu wzgórza, w końcu ogarnęły wszystko wokół. Tylko wiatr, woda i gałęzie trzaskające dwadzieścia, trzydzieści stóp nad nim. Nie widać już było łąki ani lasu. Kiedy koc zaczął nasiąkać wodą, Will zawrócił do swojej małej chatki, otworzył drzwi i wszedł szybko do środka.

Po około godzinie wsłuchiwanie się w bębnienie deszczu o cienki blaszany dach i dźwięk drgających pod naporem wiatru okiennych szyb Will otworzył drzwi i wyrzał w noc. Księżyc wyszedł zza chmur i rozświetlił srebrzyste krople wody, wiszące i spadające ze źdźbeł trawy i sosnowych igieł. Wysoko w górze światła pozycyjne samolotu odrzutowego sunęły po rozgwieżdżonej czerni niczym jakiś przybysz z innego świata.

Na ślady bytności niedźwiedzia Will natrafił dopiero trzy dni później.

\*\*\*

Najpierw znalazł odcisk wielkiej łapy w błotnistym korycie strumienia, milę na wschód od jego chaty. Przez dłuższy czas wpatrywał się we wgłębienie, po czym uniósł wzrok i przyjrzał się gęstym krzewom porastającym drugi brzeg, niemal nie do przejścia, bo bujnym, obsypanym zielonymi liśćmi.

Podążając śladami zwierzyny, zszedł nad strumień. Aż dotąd nie widział w całej okolicy ani śladu niedźwiedzia. Zazwyczaj trudnił się tropieniem zwierząt i sprawdzaniem zastawionych pułapek, by zapewnić żywność kościołowi. Cały swój czas dzielił między sprawy kościelne a bezludne

ostępy. W każdym miesiącu przez trzy tygodnie tropił i polował, po czym jeden tydzień spędzał w Bramach Edenu. Od tamtej burzliwej nocy sprzed trzech dni Will sądził, że jeśli niedźwiedź wciąż jest gdzieś w pobliżu, to natrafi na jakiś jego ślad – strzęp futra, odchody, ślad pazurów na ziemi lub pniu sosny. Ale niczego takiego nie znalazł. Deszcz zmył wszelkie ślady bytności zwierzęcia i mężczyzna uznał, że grizzly zwyczajnie przeniósł się w inną okolicę. Dzisiejsze znalezisko nad strumieniem wszystko zmieniało.

Will miał już sześćdziesiąt dwa lata i przez całe życie nie widział tak wielkiego niedźwiedzia. Teraz zastanawiał się, co go przyciągnęło z północy do doliny. W minionych latach wiele zwierząt odeszło z tego terenu na skutek polowań albo coraz intensywniejszej uprawy roli i wypasania bydła. Will musiał zapuszczać się coraz dalej, żeby coś złapać – jelenia, łosia, indyka, bobra czy zająca.

Szerokie rondo starego zapoconego kapelusza rzucało cień na jego brodatą kwadratową szczękę. Mięśnie pod koszulą wciąż były mocne, zaprawione codzienną wędrówką po okolicznych wzgórzach. Will rozejrzał się po okolicy, zlustrował między innymi las rosnący za krzewami na drugim brzegu strumienia. Przyjrzał się ponownie odcisniętemu w błocie zarysowi łapy. Przyklęknął, czując przenoszący się na grzbiet ciężar plecaka, rozpostarł palce i przyłożył je do odcisku. Drugą dłonią przytrzymał pasek swojego wiernego remingtona, nie chcąc, aby karabin zsunął mu się z ramienia w błoto.

Zagłębienie w błocie było większe od jego dłoni o co najmniej cal w każdym kierunku. Will założył, że najpewniej jest to odcisk prawej przedniej niedźwiedziej łapy. Przy każdym koniuszku jego palca widniała głęboka na kilka cali wklęsłość po pazurze.

Mężczyzna wstał i ruszył wzdłuż koryta w stronę, w którą zwrócony był trop.

Kiedy dotarł do bobrzej tamy, usytuowanej jakieś ćwierć mili w górę strumienia, przyklęknął w ukryciu i przez chwilę obserwował tłuste małe

ssaki pływające w powstałym za konstrukcją niby-stawie. Poruszały się drobnymi ruchami, pozostawiając za sobą rozchodzące się na powierzchni wody zmarszczki. Will przyglądał się ich pracy. Zwierzęta powaliły pokaźną osikę, której górna część była zanurzona w wodzie, i w dużej mierze ogołociły ją już z gałęzi.

Na stawie, niekoniecznie równo na jego środku, znajdowało się żeremie. Will wycofał się pięćdziesiąt stóp w las, po czym obszedł siedlisko bobrów szerokim łukiem. Dostrzegł, jak jedno z tych zwierząt wyszło z wody i zębami oraz potężnymi przednimi łapami zaczęło mocować gałąź nad świeżo wykopaną z boku żeremia dziurą. Zobaczył również, że wiele starych kłód nosiło głębokie ślady pazurów niedźwiedzia, który ewidentnie usiłował dostać się do środka.

Podążył dalej wzdłuż niewielkiego strumienia spływającego z gór i meandrującego między wzgórzami, ale nie natrafił już na żaden ślad grizzly. Zastawił sidła na zające, po czym wrócił okrężną drogą, aby sprawdzić te naszykowane poprzedniego dnia. W trzech z sześciu znalazł uwięzioną zdobycz.

Z wyrobioną latami doświadczenia sprawnością skręcił zwierzętom karki. Swoje umiejętności i całą wiedzę zawdzięczał ojcu, który z kolei wszystkiego nauczył się od swego ojca. Po sprawdzeniu i ponownym przygotowaniu wszystkich sideł zaniósł zające do strumienia, gdzie je wypatroszył i przepłukał w chłodnej wodzie. To było jego ulubione miejsce – płaska połać nagiej skały, na której wartka struga rozlewała się szerzej.

Will wielokrotnie się tu kąpał. Najpierw prał ubrania, po czym rozwiesiwszy je do wyschnięcia, pływał nago w długim i głębokim zbiorniku nieopodal. Ręce i twarz miał ogorzałe od wiosennego i letniego słońca, a resztę ciała – poza blizną na piersi, gdzie kiedyś widniał tatuaż – całkowicie bladą, niemal świecącą w czystej lodowcowej cieczy.

Teraz przykleknął na skraju wody. Przyjrzał się cieniom na drugim

brzegu strumienia; jego powierzchni dotykał pstrąg, który szukał unoszących się nad taflą niewielkich skrzydlatych owadów. Co kilka minut ryba wyrzucała ogonem fontannę wody i nurkowała w chłodną głębię, do samego dna, by nacieszyć się swoją zdobyczą. Will przyglądał się temu tańcowi przez dłuższy czas. Dłonie zdążyły mu zdrętwieć od czyszczenia zajęczych trucheł z wnętrzości w zimnej wodzie. Przyjrzał się efektowi swojej pracy i odprowadził wzrokiem resztkę krwi płynącej powolnym nurtem niczym smuga dymu. Strumień rozciągnął posokę w długą wstęgę, która stopniowo zanikała, mieszając się z wodą.

Kiedy ponownie uniósł wzrok, niedźwiedź przyglądał mu się ze skraju lasu rosnącego po drugiej stronie strumienia. Ujrzał zwał mięśni nad barkami i szerokie, potężne przednie łapy zaparte o brzeg strumienia. Zwierzę wpatrywało się w niego. Podłużny pysk i matowe czarne oczy zwróciło w jego stronę, nozdrza miało wilgotne, a sierść pokrytą fragmentami ziemi i trawy z miejsc, gdzie dzisiaj żerowało. Will zamarł w bezruchu. Jego karabin, dwudziestoletni sztucer model Remington 700, leżał pięć stóp od niego razem z plecakiem i pozostałościami siodeł. Nie obrócił głowy, aby spojrzeć na niedźwiedzia, tylko pozostał w swojej pozycji: przykucnięty nad wodą, z nożem myśliwskim w dłoni i leżącymi obok na skale wypatroszonymi zajęciami.

Przyglądał się, jak zwierzę wciąga powietrze, po czym obraca się i rusza wzdłuż przeciwległego brzegu strumienia, w stronę płycizny. Will wyprostował się i zaczął się cofać ku plecakowi i karabinowi, ściskając w rękach zajace i nóż. Niedźwiedź obrócił się w jego stronę, stanął na zadnich łapach, ryknął, a następnie znów opadł na cztery nogi. Potem ruszył ponownie i po chwili dotarł do płycizny. Wybadał łapą głębokość wody. Will widział, jak potężne pazury wbijają się w miękki grunt. Zwierzę cofnęło się i kolejny raz stanęło naprzeciw człowieka po drugiej stronie rozlewiska. Od konfrontacji dzieliły ich tylko głębokość wody i niepewność wielkiego grizzly.

Will dotarł do plecaka, podniósł go i powoli wsunął na ramiona. Potem schylił się i podniósł karabin. Niedźwiedź cały czas trwał w bezruchu. Uniósł tylko lekko pysk i ponownie badawczo powęszył. Nawet widok broni zdawał się nie robić na nim wrażenia. Jeszcze raz ryknął i obnażył poźółkłe kły. Z górnej szczęki zwisała ciągnąca się ślina. Paszczę miał tak wielką, że mógłby nią w całości objąć ludzką głowę.

Will pochylił się, nie spuszczając wzroku ze zwierzęcia, wyczyścił ostrze noża o zajęcze futro, po czym wsunął narzędzie do zamocowanej przy pasie pochwy. Potem podszedł na sam brzeg wody, cały czas bacząc na niedźwiedzia, chwycił drugą ręką jedno z trzymanyh trucheł i cisnął je na drugi brzeg. Zając poleciał łukiem, wirując w powietrzu, i wylądował w krzakach kilka stóp od niedźwiedzia.

Kiedy zwierz znalazł mięso, mężczyzna już wycofywał się po nagiej skale w stronę krzewów porastających brzeg strumienia. Dopiero kiedy skryły go pierwsze gałęzie, odwrócił się i ruszył w górę, z dala od strumienia. Nie słyszał niczego poza szumem potoku. Nawet kiedy przeszedł już z trzysta stóp i obrócił się, by zlustrować koryto strumienia i okoliczne drzewa, nie dobiegł go żaden inny dźwięk. Przez chwilę wpatrywał się w obraną ścieżkę. Po prawej w oddali rozległ się krzyk dzierzby. Ptak zerwał się do lotu, przemknął między drzewami i wyleciał nad otwartą łąkę.

Will odprowadził ptaka wzrokiem i ruszył szybkim krokiem przez trawę. Tylko raz przystanął na chwilę, by spojrzeć na drzewa porastające brzeg strumienia, i szybko ruszył dalej. Pozwolił sobie na krótki odpoczynek dopiero po dotarciu do swojej chaty, odłożeniu zajęcy, zdjęciu plecaka i wyjściu na punkt obserwacyjny skierowany na północ, w stronę gór.

Wziął ze sobą karabin i lustrował uważnie okolicę. Zebrał pasek w dłoni, otworzył pokrywę lunety, oparł kolbę o bark i przyłożył oko do okularu. Przyjrzał się wnikliwie dalszemu skrajowi lasu, gdzie strumień płynął jeszcze pół mili. Wiatr poruszał czubkami drzew i kładł trawę na łące, jakby

wzbudzając fale na rozległym złocistym jeziorze.

W końcu odjął broń od barku i spojrzał już bez lunety na las, wzgórze i odległą górę.

– To, że go nie widzisz, nie znaczy, że go tam nie ma – zwrócił się do siebie.

Will pomyślał o dojrzałym byku, którego widział podczas burzy; o żeremiu i wykopanej w jego boku dziurze. Wiedział, co niedźwiedź tam robił. Wiedział, dlaczego tu przybył.

\*\*\*

Trzy godziny później, już po zmroku, kiedy wreszcie skończył skórować zające i nacierać mięso solą, wyszedł z piwnicy i spojrzał w górę na odległe migoczące gwiazdy oraz na ubywający księżyc, widoczny za drzewami. Posilił się i wrócił do pracy. Mięso zajęcy – i innych zwierząt złapanych przez niego w sidła lub ustrzelonych w ostatnich tygodniach – odda tym, którym było należne; dla których pracował i którzy w pewien sposób zapewnili mu przyzwoite życie, kiedy sądził, że dla niego przyszedł już koniec.

Oni też sprzedają skóry. Większość pieniędzy szła na kościół, ale część oddawali Willowi: środki na zakup drutu do sideł, amunicji do karabinu, masła, mąki i innych rzeczy, których nie mógł pozyskać z lasu. Will był bardzo skrupulatny – zawsze wiedział, co i w jakiej ilości ma, gdzie każda z rzeczy leży, w chacie czy w piwnicy, jakby wszystko było zapisane na kartce, a nie tylko w jego głowie.

Rozejrzał się po niewielkim obozie i domu, nad którym pieczę oddano mu w pierwszych latach działalności Bram Edenu. Na środku rozpalonego wcześniej w celu ugotowania potrawy z sucharami ogniska wciąż jeszcze jarzyło się trochę żaru. Podszedł do paleniska, zdmuchnął z węgla szarą pokrywę popiołu i ułożył na nich świeżą rozpałkę.

Przez godzinę siedział przy ogniu i rozmyślał o niedźwiedziu; o tym, jak



łatwo zwierzę mogłoby go zabić. Zastanawiał się, czy gdyby do spotkania doszło w innym miejscu, tak właśnie by się stało.

\*\*\*

Dwa dni później szedł w dół zbocza przez osikowy zagajnik. Dzień był gorący. Dotarł trawiastym zboczem na południe od grani, po czym przeszedł smagany wiatrem szczyt i przemierzył jeszcze ćwierć mili, zanim dotarł do cienia pierwszych drzew. Zatrzymał się, wsunął kapelusz z powrotem na głowę i otarł rękawem pot z czoła. Przez chwilę stał, uspokajając oddech, i zaraz się rozejrzał. Dostrzegł nieopodal wiatrołom. Podeszedł do niego, przysiadł na pniu i ponownie zlustrował okolicę.

W dole, między pniami osik widział złotą połąć prerii, a dalej mały potok wijący się płytkim skalistym korytem jak wąż. Słońce miał za plecami. Woda mieniła się w świetlistych promieniach niczym wyszukany brylant na ślubnej obrączce.

Odstawił karabin i wyjął z plecaka metalową manierkę. Odkręcił zakrętkę z plastiku, uniósł szyjkę do ust, po czym pociągnął solidny łyk, zrobił przerwę na oddech, i napił się ponownie. Nalana rano z plastikowych wiader trzymany w chacie woda smakowała rozpuszczonymi w niej minerałami i trochę kredą. Była wciąż chłodna.

Jakiś dzięcioł pracował gdzieś nieopodal, ale Will nie zdołał go wypatrzeć. Mężczyźnie zdawał się towarzyszyć jedynie terkot dziobu ptaka na pniu drzewa i lekki szum osikowych liści w górze.

Kiedy skończył pić, zakręcił manierkę, włożył ją z powrotem na miejsce, wstał i zarzucił na ramiona paski karabinu oraz plecaka. Uszedł może dziesięć stóp, kiedy dostrzegł niewielkie stado mulaków wychodzących właśnie spomiędzy drzew w dole stoku, wprost na skrawek prerii między lasem a potokiem.

Wśród nich Will dojrzał dużego samca, o którym wiedział, że spłoszy go najmniejszy dźwięk. Mężczyzna nie miał czystego strzału między pniami

i obsypanymi zielonymi liśćmi gałęziami. Zaczął więc iść w dół zbocza, bardzo ostrożnie wybierając miejsce na każdy krok. Wiatr wiał w górę od strony prerii, dzięki czemu zwierzęta nie mogły wyczuć jego zapachu, ale słońce miał za plecami, musiał więc uważać, by nie spłoszyć stada swoim cieniem. Wyłonił się spomiędzy drzew nieco dalej i ruszył wzdłuż skraju lasu. Była tam niewielka wychodnia skalna. Will ocenił, że pierwszy samiec jest około trzystu stóp od niego. Zwierzęta sunęły po prerii w stronę strumienia, pogryzając po drodze trawę.

Zaczął wspinać się na wychodnię od drugiej strony, uważnie szukając palcami dłoni i stóp odpowiednich miejsc do postawienia nogi i chwycenia się. Gdy dotarł na szczyt, położył się płasko na brzuchu niczym jakaś jaszczurka wybudzona z długiego snu, a teraz wygrzewająca się w słońcu na nagiej skale. Ostrożnie zdjął karabin z ramienia i położył go wzdłuż ciała, po czym ściągnął kolejno oba paski plecaka i umieścił toból przed sobą. Przedramieniem zrobił w grubym materiale spodu lekkie wgłębienie i umieścił tam nakładkę lufy.

Jeleń pogryzał właśnie trawę, powoli posuwając się przez prerię za stadem. Will odbezpieczył broń i włożył nabój do komory. Spojrzał przez lunetę, ocenił siłę wiatru i odległość do celu, obliczył w myślach trajektorię pocisku i czekał, aż samiec stanie do niego bokiem.

\*\*\*

Kiedy Will wrócił na wzgórze, biała kościelna półciężarówka już na niego czekała. Spocony położył wstępnie oprawionego jelenia pod drągiem służącym do skórowania większych zwierząt. Włóki, na których przyciągnął zdobycz, wykonał z dwóch długich pali wyciętych z młodych osik i przywiązał do nich w poprzek linką spadochronową mniejsze gałęzie. Dzięki temu łatwiej mu było przetransportować byka dwie mile przez przełęcz. Ale i tak wymagało to sporego wysiłku.

Przyjrzał się samochodowi i zaraz potem objął wzrokiem niewielką

polanę, na której stała jego chata, ale poza pojazdem nie zobaczył żadnych śladów obecności innych ludzi. Odkasznął, po czym podszedł do pokrytego popiołem paleniska i splunął między zimne węgle. Zerknął na pozostawionego na ziemi jelenia. Jego rogi przypominały koronę cierniową, a czarne, spoglądające na niego oczy – lustra. Nie miał pewności, czy powinien od razu wziąć się za skórowanie, czy też najpierw poszukać właściciela pikapa.

Zdażył tylko zdjąć karabin z ramienia i postawić plecak na ziemi, kiedy z piwnicy wyszedł Lonny z zajacami. Zbliżył się do paki samochodu, uniósł pokrywę chłodziarki, a potem wrzucił mięso do już częściowo wypełnionego pojemnika. Wtedy dostrzegł stojącego przy palenisku Willa.

– Widzę, że nie próżnowałeś przez te trzy tygodnie – powiedział przybysz, spoglądając na chłodziarki i po chwili ponownie na Willa.

Lonny miał na głowie typową czapkę kierowcy ciężarówki. Nosił brodę jak wszyscy członkowie Kościoła, a wytatuowane na ramionach węże wpełzały spod krótkich rękawów koszulki i wiły się po skórze aż do grzbietów dłoni.

– Sądziłem, że przyjedziesz jutro – odparł Will, rozglądając się po polanie i zastanawiając, czy mężczyzna przybył sam.

– Wynikła taka jedna sprawa.

– Jaka sprawa?

– Taka, która sprawiła, że pomyślałem o tobie. – Lonny uśmiechnął się, mówiąc, i przeszedł kilkanaście kroków dzielących go od trapera. – Mamy dla ciebie małą robótkę.

– Podoba mi się moja obecna praca.

Lonny obszedł go i przyjrzał się jeleniowi. Gwizdnął przeciągle i mlasnął językiem.

– Piękny jest.

– Kiedy go oskóruję i zluzuję, wyjdzie jakieś siedemdziesiąt pięć funtów dobrego mięsa.

– Zatrzymasz łeb?

– Myślałem o powieszeniu go w środku.

Lonny dłuższą chwilę wpatrywał się w zdobycz. Poruszał językiem po górnej wardze, a potem pomiędzy nią a dziąsłami. Następnie palcem wydlubał coś pomiędzy zębów i strącił na ziemię.

– Z tego poroża byłby ładny prezent dla Johna albo Ojca.

– Trafiłem go prosto w serce. Mięso powinno być wciąż dobre. Muszę go tylko powiesić i wziąć się do pracy.

Lonny posłał mu uśmiech.

– Dobrze sobie tu radzisz. Nie pomyśl, że zapomnieliśmy o tym.

Will zmierzył przybysza wzrokiem. Mężczyzna był wysoki na sześć stóp, niemal dorównywał mu wzrostem, ale był kościsty i smukły. Wytatuowane ramiona miał wybitnie żyłaste. Słyszał, że Lonny potrafi z nich zrobić użytek. Chociaż nigdy nie widział, żeby wyrządził komuś krzywdę, to do jego uszu doszło to i owo. Parę osób mówiło, że potrafił uderzyć pięścią równie szybko jak grzechotnik ukąsić.

– Oskórowanie i złuzowanie tego jelenia zajmie mi jakieś dwadzieścia minut. Potem jeszcze godzina na pozbycie się ścięgien i rozdzielenie grup mięśni. Masz tyle czasu?

– Tylko zedrzyj skórę i wrzuć całość na pakę. W Bramach Edenu jest mnóstwo osób, które poradzą sobie z mięsem. I nie odcinaj głowy.

Will przez chwilę patrzył na Lonny'ego, po czym wziął pustą manierkę, podszedł do chaty i zanurzył naczynie w wiadrze z wodą. Przyglądał się wypływającym na powierzchnię bąbelkom, aż manierka napełniła się wodą w całości. Osuszył ją i ponownie zanurzył w wodzie. Kiedy w końcu wrócił do Lonny'ego i jelenia, mężczyzna przyglądał się jego karabinowi.

– Użyłeś trzysta ósemki?

– Tak.

– Z tego chyba można ustrzelić niedźwiedzia?

Will czekał. Nie podobał mu się kierunek, w jakim zmierzała ta

rozmowa. Lonny zaś wyciągnął z kieszeni małe zawiniątko, wysypał trochę tytoniu na papierek i zaczął zwijać papierosa.

– Mamy taki jeden problem i moim zdaniem jesteś właściwym facetem, żeby go dla nas rozwiązać. – Skończył skręcanie i włożył rulon do ust. – Chcesz jednego?

Will odmówił, obszedł przybysza i zaczął rozwiązywać linkę, którą zabezpieczył jelenia na włótkach. Usłyszał za plecami trzask zapalniczki, a zaraz potem odgłos wydmuchiwania dymu. Kiedy skończył odwijać linkę z nóg i podbrzusza zwierzęcia, czuł już tylko papierosowy dym.

– Znasz dom Kershawów na dwudziestej czwartej?

– Znam Kershawów. Mieszkają jakieś dwadzieścia mil stąd.

Przykłęknął, wyjął nóż z pochwy przy pasie i zrobił dziurki na nogach jelenia, między stawami kolanowymi a tylnymi ścięgnami. Następnie wziął wiszący na drągu hak i podciągnął zwierzę do góry tak, aż zawisło z rozłożonymi nogami.

– Dalej hodują bydło?

– Wiedziałbyś, gdybyś przychodził na niedzielne nabożeństwa Ojca. Rzadko się pojawiaasz, dlatego zapewne sądzisz, że nikt nie zauważy, kiedy któreś opuścisz. Ale ja zauważam. I to chyba na mnie teraz spada obowiązek poinformowania cię, że parę tygodni temu Kościół przejął interes.

– Przejął interes?

– Wprowadził parę usprawnień.

Lonny zaciągnął się dymem, po czym odszedł kilkanaście kroków i spojrzał na rozciągającą się w dole łąkę.

– Chciałbym, żebyś wytropił i zastrzelił dużego grizzly, który wczoraj zabił tam jałówkę – dodał, kiedy wrócił.

Will przerwał ostrożne zdejmowanie skóry z jelenia, od zadu zwierzęcia przez nogi i miednicę. Spojrzał na Lonny'ego.

– Prosisz mnie o złamanie sporej liczby przepisów.

– To właśnie robisz, prawda? Sądzisz, że pozwoliliśmy ci zamieszkać na

kościelnej ziemi, żebyś mógł sobie grymasić?

Will nie lubił, kiedy ktoś się tak do niego zwracał. Lonny mówił prawdę, istotnie dobrze mu się tu żyło. Konflikt z Lonnym nie przyniósłby mu niczego dobrego.

– Macie jakiś plan?

– Dlatego tu jestem.

– Grizzly to padlinożerca – odparł Will. – Wykorzystuje nadarżające się okazje. Nigdy nie wiadomo, co zaraz zrobi, jak do niego podejść. Jeśli będzie musiał, zabije i zje własne młode. Dla niego liczy się tylko przetrwanie. Ten niedźwiedź, którego miałbym dla was zabić, mógł tylko tędy przechodzić. Mógł po prostu zobaczyć jałówkę i skorzystać z okazji. Może być już całe mile stąd.

– A jeśli jest wciąż w okolicy?

– Można trafić za to za kratki. Wiesz o tym, prawda?

– Co się dzieje na naszej ziemi, to wyłącznie nasz interes.

Will przygryzł policzek. Zakrwawiony nóż wciąż tkwił w jego dłoni. Powiódł bezwiednie oczami po polanie, na której mieszkał. Nie widział sposobu wykręcenia się z tej sytuacji.

– Kiedy byłem w Wietnamie, trafił się taki tygrys, który zabijał ludzi stacjonujących w mojej bazie. Próbowali wszystkiego, żeby go dorwać. Ale zawsze wracał. Nikt go nigdy nie widział. Równie dobrze mógł być duchem. Znajdowaliśmy odciski łap, ślady krwi, ale nigdy go nie zobaczyliśmy.

– I zabiłeś go?

– Nie – odparł Will. – Jak można zabić coś, czego nie można zobaczyć?

Lonny dopalił papierosa i pstryknął petem w palenisko.

– Sądzisz, że ten niedźwiedź jest jakiś nadnaturalny? Że został zesłany jako kara niebios? Ojcu by się to spodobało. Byłoby dla niego jak słowo Boże.

– Nie – odparł Will. – Stwierdzam tylko, że gówno wiem. Że nie mogę wam pomóc.

– Posłuchaj, Will. Wiesz, że nie możesz czegoś takiego powiedzieć.

Lonny wyjął z kieszeni niewielką butelkę, odkręcił i upił łyk.

Cały czas nie spuszczał wzroku z Willa.

– Potrzebujesz nieco płynnej zachęty.

– Nie – zaprzeczył Will.

Lonny upił kolejny łyk, po czym usiadł na jednym z bali leżących przy miejscu na ognisko i spojrzał na Willa.

– Rzeczy mogłyby przybrać o wiele gorszy dla ciebie obrót – powiedział. – Spędzasz tu tak wiele czasu, że nie widziałeś rzeczy, których ja byłem świadkiem. Nie wiesz, do czego nas obecnie zmuszają.

– To Ojciec mnie tutaj wysłał – stwierdził Will.

– Ojciec mówi, że nadchodzi czas.

– Tak mówi?

– Każe nam odczytywać znaki. Mówi, że są jasne jak słońce. Na wschodzie rozpętuje się piekło. I nadciąga, kroczy przez cały cholerny kraj. Przejrzałem cię, Will. Widzę, kim naprawdę jesteś. Nie wierzysz naprawdę, tak jak ci nowi, którzy do nas dołączyli, ale uwierzysz. W końcu uwierzysz i będziesz potrzebował ocalenia tak jak my wszyscy.

– Widzę, że regularnie podsycasz swoją wiarę – rzucił Will, spoglądając wymownie na butelkę w dłoni mężczyzny.

– Ciężko się wyzbyć starych nawyków.

– Istotnie.

Lonny upił jeszcze jeden łyk. Przeniósł spojrzenie na polanę i widniejące w oddali góry. Owady tańczyły w ostatnich promieniach zachodzącego słońca.

– Co się stało z tygrysem?

– Ważniaki z góry poszły pogadać z miejscowymi. Ci zasugerowali wykopanie dołu. Wróg przygotowywał takie na nas. Żeby nas wszystkich wyróżnić. Słyszałeś może o tym? Rzędy naostrzonych palików w dziurze przykrytej kratą z gałązek i przysypanej trawą i liśćmi. Resztą zajmowała się

grawitacja.

Will wrócił do swojej pracy. Przesuwał ostrze noża pod skórą jelenia, jednocześnie trzymając za nią. Kiedy dotarł do przednich nóg, naciął je obie z tyłu, po czym pociągnął mocno.

– Tak dorwaliście tego tygrysa?

– Nie, był cierpliwy. Dopadał nas jednego po drugim, pojedynczo. Czekał w dżungli i obserwował. Bez wątplenia wiedział, że chcemy go capnąć, ale nam się nie udało.

– Co to, kurwa, ma być? – Lonny upił kolejny łyk. Spojrzał na Willa, po czym wstał. – To po jaką cholere mi to opowiedziałeś?

– Czasem warto zrozumieć, że nie zawsze dostaje się to, czego się chce.

– To działa w obie strony – odparował Lonny.

Przyjrzał się pracy Willa, po czym ruszył w stronę samochodu.

– Lepiej wrzuc mi tego skurwiela na pakę. Mam w cholere roboty, zanim zacznę kopać dół przy farmie Kershawów.

– Nie złapiesz go – rzucił Will.

– Ta, cóż, mam zamiar dołożyć wszelkich pieprzonych starań. A ty mi w tym pomożesz.

\*\*\*

Will zatrzymał się i stanął w tym samym miejscu, w którym zobaczył niedźwiedzia – zwierzę wspięło się na tylne łapy, by stawić czoła nadciągającej burzy. Odwrócił się i spojrzał w stronę swojej chaty. Pochyłość dachu, blaszany grzybek wieńczący rurę od pieca, cały stojący na szczycie wzgórza budynek sprawiał wrażenie części lasu. Był niewielki i doskonale wtapiał się w tło.

Od wizyty Lonny'ego minął już dzień. Will niósł właśnie na sznurku trzy bobry. Zastrzelił je rankiem, stojąc u brzegu, po czym obserwował, jak jeden po drugim wypływają na powierzchnię. Rozebrał się do naga i wszedł do stawu. Kiedy przestał sięgać stopami dna, podpłynął. Gdy zebrał już



wszystkie zwierzęta i wrócił na brzeg, przez chwilę stał i spoglądał na żeremie i dziurę, którą kilka dni wcześniej wyrwał niedźwiedź. Woda zmieszana z krwią skapywała z nagiego przedramienia Willa i rozbryzgiwała się na błocie przy jego stopach. Wypatroszył całą zdobycz na miejscu, żeby mięso dłużej wytrzymało, po czym zawiązał na supeł gruczoły wydzielające kastoreum.

Do farmy Kershawów miał dwadzieścia mil szosą, ale jeśli przejdzie przez las i pola, skróci sobie drogę o połowę. Było już po południu, kiedy przystanął w miejscu, w którym stał niedźwiedź, i spróbował pomyśleć jak niedźwiedź – dostrzec jego ścieżkę, poznać jego świat.

\*\*\*

Śnił, a jego umysł wędrował przez sen. Jego nieświadome myśli wypełniały stare opowieści, zasłyszane w dzieciństwie i przekazywane w rodzinie z pokolenia na pokolenie już od czasów pionierów. O niedźwiedziach dwa razy większych od człowieka, o górnikach i drwalach, którzy niemal doprowadzili do wymarcia gatunku, o ranczerach strzelających do każdego, kogo tylko zobaczyli. A wszystkie te niedźwiedzie były zwyczajnie głodne i jedynie robiły, co mogły, żeby przetrwać. We właściwy sobie sposób.

Obudził się w nocy, usiadł i rozejrzał po polanie, gdzie rozbił obóz. Do farmy Kershawów brakowało mu jeszcze jakichś pięciu mil. Zatrzymał się na noc, gdy pokonał już grań i wszedł na wyżej położony teren, z którego miał dobry widok na okolicę. Kiedy promienie zachodzącego słońca rozplywały się po ciemniejącym błękitnym niebie niczym pomarańczowy barwnik, zjadł trochę dzikich borówek, które zebrał po drodze, i przeżuł kawałki uwędzonego, suszonego mięsa wcześniejszych zdobyczy. Bobry zwisały z gałęzi jakieś pięćdziesiąt jardów od niego. Jadł i przyglądał się, jak zwierzyna obraca się pod wpływem powiewu nocnego wiatru. Płaskie i szerokie ogony zachowywały się jak swego rodzaju żagle.

Teraz, świeżo wyrwany ze snu, patrzył w tym samym kierunku

i obserwował ciemne kształty martwych bobrów obracające się w błękitnym blasku gwiazd. Odchrząknął i splunął obficie. W ciszy rozglądał się po polanie, przyglądając się podejrzliwie każdemu drzewu, każdemu źdźbłu trawy, tak jakby kryły jakieś nieznanne zagrożenie.

Na wschodzie jaśniało blade, czerwone światło, jakby słońce w przedświcie, ale Will wiedział, że to nie ono. Podniósł się, złożył wełniany koc, którym był przykryty, po czym wzięł najpierw jeden, a potem drugi but. Chwycił karabin i ruszył przez polanę, brodząc w sięgającej kolan trawie.

Kiedy dotarł do skraju lasu, poczuł zapach dymu. Gdy przeszedł kilkaset jardów między drzewami, wśród cętkowanych cieni i plam księżycowego blasku przebijającego się przez gałęzie sosen, do jego uszu dobiegły pierwsze odgłosy: śpiew i okrzyki wiernych. Po kolejnych stu jardach dotarł do szerokiej skalnej ściany, ciągnącej się ćwierć mili w obie strony i schodzącej do doliny rzecznej przed nim. Na atramentowo czarnej wodzie rzeki lśnił blask płomieni. Dalej dostrzegł wielkie ognisko. Stos drewna był wysoki na dziesięć stóp, a jęzory ognia sięgały kolejne dwadzieścia, trzydzieści w górę. Do Willa docierały gorące strumienie powietrza unoszące się nad rzeką i i dalej, ku niebu. Razem z chłodnym rzeczonym powietrzem tworzyły wir.

Ognisko oświetlało wszystko wokół, więc łatwo było dostrzec sylwetki tych, którzy przybyli wielbić akt zniszczenia. Teraz wyraźnie docierały też ich śpiewy, modlitwy i okrzyki. Przekrzywiali głowy w chaotycznym, improwizowanym tańcu. Will nie mógł odróżnić z tej odległości poszczególnych słów; dźwięk odbijał się od skalnej ściany i ginął w falach gorącego wiatru. Ale słyszał ich już wcześniej i znał większość wyśpiewywanych fraz, lecz teraz wołał o nich nie myśleć.

Grupa należała do Kościoła Bram Edenu i – tak jak mu powiedział Lonny – robili, co chcieli, i wysławiali Boga na własny sposób. Ta ziemia istotnie należała do nich i – niezależnie od tego, co o tym myślał – przybył

tu dwanaście lat temu w poszukiwaniu zbawienia, a oni mu je zaoferowali; uczynili tym, kim był teraz: strażnikiem leśnym, kłusownikiem, zabójcą zwierząt dużych i małych.

Cofnął się kawałek od krawędzi półki skalnej, znalazł nieco ocienione miejsce i skierował lufę karabinu w stronę mniej więcej czterdziestu tańczących i wirujących w dole ludzi. Uniósł pokrywę lunety i począł im się przyglądać. Wiele osób miało białe, kościelne szaty. Obserwował ich, śledził ruchy, wiódł lunetą od brodatych twarzy mężczyzn po rozczochrane, rozpuszczone włosy kobiet. Przyglądał się nie tylko im, ale też ich długim, rozedrganym cieniom; cienistym nogom i ramionom, wijącym się na płomiennej ziemi niczym jakiś przeobrażony stwór: w połowie bestia, a w połowie człowiek.

Kiedy przyjrzał się już wszystkim tańczącym, ci zaczęli tworzyć szereg ciągnący się od płonącego stosu drewna aż do rzeki. Will oderwał oko od okularu lunety i podciągnął się na łokciach na skraj urwiska. Spojrzał w dół na wodę i przeciwległy brzeg. Na jego oczach zgromadzeni, jeden po drugim, wchodzili do wody, całkowicie się w niej zanurzając.

Will sięgnął za siebie i ponownie skierował w dół karabin, pilnując, żeby blask ognia nie odbił się od szkła soczewki. Przyjrzał się przez lunetę stojącemu w rzece Ojcu. Był po pięćdziesiątce i miał znany Willowi kamienny wyraz twarzy, który mógł wzbudzić w każdym lęk lub też przynieść każdemu zbawienie. W swojej powłóczystej szacie stał po kolana w wodzie. Mokry materiał oblepiał jego ciało i ukazywał w pełnej krasie muskularny tors. Śpiewał i wznosił wzrok ku niebu, zapraszając wyznawców kolejno, by podeszli do niego, a on zanurzał ich w rzece i przytrzymał przez chwilę, przyglądając się wymachującym bez ładu ramionom.

Gdy już wszyscy zostali ochrzczeni, zebrała się nowa grupa. Część z nich nosiła specjalne szaty, ale wielu miało na sobie zwykłe ubrania. Zostali przyprowadzeni razem spomiędzy cieni. Niektórzy dygotali, inni byli

zauważalnie przestraszeni. Prowadzili ich mężczyźni uzbrojeni w broń palną i maczety. W miarę jak grupa zbliżała się do wody, pozostali wierzący w swoich chrzcielnych szatach podążali za nimi, tworząc wokół nich półkole wsparte na obu końcach o brzeg rzeki. W tej grupie Will wypatrzył trzymającego duży rewolwer Johna Seeda, młodszego brata Ojca. Smuklejszej budowy, ale ulepionego z tej samej gliny. Obaj byli brodaci i nosili liczne tatuaże; obaj mieli to samo wszechwidzące spojrzenie, które zdawało się przenikać mrok niczym nocne drapieżniki.

Cały czas ściskając rewolwer, John wszedł do wody i stanął nie więcej niż kilka stóp od Ojca. Obaj czekali, aż uzbrojeni mężczyźni podprowadzą do nich nowych wyznawców. Wszyscy zostali kolejno ochrzczeni tak jak wcześniejsi chętni, po czym strażnicy odprowadzili ich z powrotem na brzeg. I chociaż Will był już kiedyś świadkiem różnych chrztów, nigdy dotąd nie widział, żeby mężczyźni i kobiety byli zanurzani w wodzie siłą. Lonny wspominał o zmianach i gdyby Will nie opuścił w przeszłości tyłu kazań – skutkiem czego jego wiara stopniowo słabła – może nie okazywałby takiego zdziwienia na widok tych wydarzeń.

Wiele osób stojących na brzegu płakało. Mimo nocy widział wyraźnie trzęsące się ramiona, wykrzywione przerażeniem twarze. Zgromadzeni na dole sprawiali wrażenie, jakby znajdowali się w jakiejś bańce, z której nie mógł się wydostać żaden odgłos. Odległość i szum wody zagłuszały Willowi wszelkie protesty i krzyki wydawane podczas tej przymusowej ceremonii.

Obserwował ich pewien czas przez lunetę. Dostrzegał siłę ich strachu. Wielu wprowadzanych do wody usiłowało się wyrwać trzymającym ich mężczyznom, ale żadnemu nie udało się zejść daleko i wkrótce wszystkich spotkał ten sam los, który dopadł tych ochrzczonej przed nimi.

Minęły już lata, odkąd sam brał udział w tym obrzędzie. Ale jego chrzest w niczym nie przypominał tego, co widział teraz. Ci ludzie byli do tego zmuszani. W dawnych czasach widział darowanie duszy i chrzciny wielu

osób; sam stał w podobnej szacie na brzegu rzeki przypominającej tę i zrobił to, co należało, by stać się jednym z nich; darował swoją duszę Kościołowi. Ale tamta sytuacja zdawała się wspomnieniem z innego życia, z innych czasów, z zamierzchłej przeszłości należącej do kogoś innego niż mężczyzna, którym teraz był; kim go uczynili.

Napatrzywszy się dość, Will odsunął się od urwiska. Kiedy wstał i ruszył w stronę lasu, usłyszał dobiegający z doliny huk wystrzału strzelby. Gwałtownie odwrócił się, podszedł ponownie na skraj półki skalnej i spojrzał w dół. Wiele osób było skulonych, a nad nimi stali ich strażnicy. W pewnym oddaleniu byli pierwsi z chętnych, a w wodzie wciąż stał Ojciec, obok niego zaś John. Will nie potrafił orzec, kto strzelił. Powiódł wzrokiem wzdłuż rzeki, wypatrując ciała pchanego prądem w stronę kaskad i dalej łukiem, poza zasięg oczu.

Ale niczego takiego nie dostrzegł, przeniósł więc spojrzenie z powrotem na Ojca, który wzywał już kolejnych do ochrzczenia. Will, mimowolny świadek całego zajścia, ponownie zerknął w stronę pustej tafli wody, która załamywała się w białych rozbryzgach na progach, niepewny, co tak właściwie widział. Spoglądał w tamtą stronę przez dłuższą chwilę, obserwował przepływającą w dole wodę i rozmyślał nad znaczeniem chrztu i zmywania grzechów.

Gdy było już po wszystkim, bo każdy zanurzył głowę pod wodą, Will ponownie odsunął się od krawędzi strumienia. Nie musiał słyszeć, co Ojciec miał zamiar im teraz powiedzieć, nie musiał już dalej tego oglądać, albowiem doskonale znał tę część ceremonii. Słyszał te słowa dwanaście lat temu, kiedy przyszedł chętnie do kościoła. I teraz, w drodze powrotnej do obozu, powtarzał je sobie.

„Stoimy na skraju wielkiej przepaści. Od nas zależy los ludzkości. Ludzie ogłuchli na dźwięk maszyny waśni, która nas stworzyła, ale my nie możemy sobie na to pozwolić. My i tylko my zostaliśmy wybrani, by przetrwać tę katastrofę i potem odbudować świat. Jesteśmy wszyscy

aniołami, i tylko my podążymy drogą wiodącą z powrotem do ogrodu. Jesteśmy Rodziną. Jestem waszym Ojcem, a wy jesteście moimi Dziećmi. I wspólnie powędrujemy do Bram Edenu”.

\*\*\*

Kiedy Will dotarł na szczyt niewielkiego wzniesienia i spojrzał w dół, na dom Kershawów, poranna mgła wisiała już nad okolicznymi polami. W powietrzu unosił się zawsze towarzyszący stadom bydła zapach trawy i obornika. Mężczyzna spojrzał wzdłuż elektrycznego ogrodzenia, aż do miejsca, gdzie znikало za skrajem zaokrąglonego pastwiska. Z komina wydobywała się cienka smużka dymu drzewnego.

Will ruszył zwirową drogą przecinającą wzgórze między smukłymi sosnami. Teraz mógł dostrzec również stojącą dalej oborę. Jedno z szerokich skrzydeł frontowych zostało otwarte i oparte o ziemię. Wewnątrz widział tylko ciemniejsze cienie. Chociaż wyczuwał zapach krów, nigdzie żadnej nie widział. W miarę zbliżania się do zabudowań zachodził w głowę, co się mogło stać i czy niedźwiedź ponownie się tu pojawił, czy może w każdej chwili wyjść z mrocznego wnętrza stodoły pokryty świeżą krwią swojej nowej ofiary.

Ale wewnątrz zastał coś zgoła innego – jedynie słomę i boksy z odłóżką farbą. Panował tam ciężki zapach zapomnianych zwierząt, które dawno zostały stąd zabrane. Kiedy wyszedł z powrotem na zewnątrz, zauważył zaparkowaną przy drodze, bliżej lasu niż domu, białą kościelną półciężarówkę. O pakę stały oparte łopata i kilof z zatkniętymi na trzonkach żółtymi rękawicami z bydlęcej skóry – niczym karykaturalny zaczątek prowizorycznych strachów na wróble.

Will wzdrygnął się na odgłos otwieranych pięćdziesiąt jardów dalej zewnętrznych drzwi. Odwrócił się i spojrzał w stronę ganku domu, gdzie teraz stał Lonny przeczesujący palcami brodę i patrzący ponad trawą i zwirom w stronę myśliwego.

Kiedy Will dotarł do budynku, brodacz zdążył już wydobyć z kieszeni tytoń i zaczął zwijać papierosa. Miał na sobie wpuszczony w spodnie, opinający go w piersi, cienki bawełniany podkoszulek. Włosy mu się zmierzwiły, a na twarzy widać było wyraźne ślady snu. Splunął, zwilżył wargi językiem i spojrzął w stronę myśliwego stojącego z bobrami na sznurku przerzuconymi przez jedno ramię i karabinem zarzuconym na drugie.

– Nocujesz tutaj? – zapytał Will.

– Czasem.

Nowo przybyły przyglądał się, jak Lonny grzebie w kieszeni, by po chwili wyciągnąć zapalniczkę, osłonić koniec papierosa dłońmi, zapalić go i wciągnąć do płuc pierwsze hausty. Wszystko to sprawiało wrażenie rozmyślnego i powolnego katharsis: wciągane dym i powietrze, podmuch wiatru i dym snujący się po jego skórze. Woń papierosa zmieszana z zapachem krów tylko dodatkowo uwypukliła nieobecność zwierząt.

– Co się stało z krowami?

– Zjedzone – odparł Lonny.

Will spojrzął za plecy mężczyzny, na otwarte drzwi, tak jakby się spodziewał, że zwierzęta są w środku.

– A Kershawowie?

– Nie ma ich.

Lonny zmierzył wzrokiem zdziwionego tą odpowiedzią Willa. Z lekkim uśmiechem przyglądał mu się przez chwilę, po czym pochylił się i ponownie splunął, nawet nie starając się celować poza ganek.

\*\*\*

Will zostawił bobry na ladzie kuchennej i poszedł skorzystać z łazienki.

Kiedy skończył, wyszedł na niewielki korytarz prowadzący do pokoju dziennego. Wytarł wilgotne dłonie o przód koszuli, na przemian pocierając o materiał to ich wnętrzem, to wierzchem, tak jak ostrzy się brzytwę

o skórzany pasek.

Przed sobą miał przymknięte drzwi do sypialni. Postąpił krok naprzód, otworzył je na oścież i zajrzał do środka. Zobaczył wielkie podwójne łóżko z pościelą odciągniętą po obu stronach oraz dwie poduszki z wciąż widocznymi zagłębieniami po głowach. Tak jakby ci, którzy tu spali, wstali ledwie parę minut temu i właśnie wychodzili na pastwisko albo czekali, aż kawa się zaparzy.

Obrócił się i ruszył korytarzem, oddalając się od kuchni i pokoju dziennego. Minął drzwi do kolejnych dwóch sypialni. Każde z nich otworzył, przystanął i zajrzał do pokoiów. Jedno pomieszczenie miało niebieskie ściany, z sufitu zwisały modele samolotów zbudowane z jakiegoś tworzywa. Następną sypialnię pomalowano na różowo, a na toaletce stały wypchane zwierzaki i małe zabawkowe konie. Wiele z nich się przewróciło, ale część wciąż stała w różnych pozycjach, jakby zastygły w ruchu uchwyconym w dziecięcej dioramie.

– Słyszałem, że miałaś córkę.

Lonny stał na końcu korytarza, trzydzieści kroków od Willa. Po prostu stał tam i przyglądał się mu.

– Słyszałeś?

– Tak mi powiedzieli, kiedy przydzielili mi zadanie pilnowania cię.

Will ponownie rzucił okiem na sypialnię. Przyjrzał się kolorowi ścian i firankom przesłaniającym jedyne okno. Istotnie miał kiedyś córkę. Miał też żonę. Rodzinę. Miał całe życie i to była jego wina, że żona i córka nie były już z nim, że nie były już częścią jego świata. I chociaż przyszedł do Ojca i Bram Edenu w poszukiwaniu czegoś na kształt przebaczenia, wiedział, że znalazł coś zupełnie innego.

Zamknął na chwilę oczy. Czuł zapach kurzu i czegoś jeszcze, czegoś słodkiego i niemal znajomego. Kiedy ponownie otworzył oczy, obrócił się i spojrzał na Lonny'ego.

– Co tu się stało? – zapytał.



– Jesteś jednym z nas, Will. Ale kiedy ty, John, Ojciec czy nawet ja patrzymy na to samo, nie znaczy, że to samo widzimy.

Szli przez pastwisko. W miejscu, gdzie zginęła krowa, a niedźwiedź najadł się do syta, po czym ruszył dalej, na trawie wciąż było widać ślady krwi.

– Każde z nas służy jakiemuś celowi. Żyłeś tam, na odludziu i oddawałeś przysługi Kościołowi. I oni są ci za to wdzięczni.

– A Kershawowie? – zapytał Will.

Wciąż myślał o pustych pokojach i o tym, co usłyszał. O odpowiedzi, której udzielił mu Lonny i która wcale odpowiedzią nie była.

– Oni też służyli pewnemu celowi. Tak jak ty, tak jak ja. Wszyscy jesteśmy sługami.

– A jaki jest twój cel?

Will przyklęknął, rozejrzał się wkoło i zaczął odtwarzać w myślach szlak niedźwiedzia, obrazować go sobie. Grę potężnych mięśni, gdy zwierz biegł, lśnienie futra w promieniach słońca, wzbijane w powietrze potężnymi pazurami kurz i grudy ziemi.

– Ja pilnuję, żeby Ojciec i Kościół dostawali to, co jest im należne.

– Czy tak to teraz nazywają?

– Tworzymy społeczność. Jak sam dobrze wiesz, jeśli Kościół ci pomaga, oczekuje odpłaty za okazaną dobroć.

– I Kershawowie odpłacili?

– Odpłacali. Aż nie mogli dalej odpłacać.

– A teraz?

– Teraz służą innym celom.

Will wstał i podszedł do miejsca, w którym płot został wygięty. Widział wyraźnie udeptaną ziemię, przyciśniętą do niej trawę, wgłębienia i inne ślady pozostawione przez niedźwiedzia.

– Czy Kershawowie byli tu, kiedy to się stało?

– Byli. Ale docierali już do końca swojej użyteczności. Zabili już wiele

swoich krów, by nakarmić Kościół, i ich czas tutaj, ich władza nad tym miejscem dobiegały końca.

Teraz Will przyglądał się pobliskim drzewom. Pomyślał o wszystkim, co już widział. O grasującym w okolicy niedźwiedziu. Zastanawiał się, czy wciąż gdzieś tu jest, czy może w tej właśnie chwili ich obserwuje.

– Widziałem wczorajszej nocy Ojca – powiedział. – Widziałem Johna. Chrzest w wodach rzeki.

– Nie tylko Kershawowie są coś winni Kościołowi. Wsparliśmy wielu członków tutejszej społeczności. Spłaciliśmy ich hipoteki. Pomogliśmy im pozbyć się długów. Wszyscy ssali pierś Bram Edenu – ciągnął Lonny, podczas gdy na jego usta wkradł się okrutny uśmiech. – A Kościół i Ojciec proszą tylko o to, co im się należy. Czy to będzie zabicie krowy, czy uzyskanie plonów, czy oddanie swojej duszy Bramom Edenu.

– Niektórzy nie oddawali swoich równie entuzjastycznie, co inni.

Lonny się roześmiał, po czym spojrzał na Willa.

– Niektórzy oddają je chętniej niż inni, ale koniec końców wszyscy oddadzą.

Will pomyślał o pokoju dziewczynki. O przeszłości. O tym, jak jedna butelka prowadziła do następnej. O zupełnie innym życiu. W końcu się odezwał:

– W Kościele znajdujemy zbawienie.

– Rozumiesz już teraz – powiedział Lonny. – A ja już zaczynałem myśleć, że zapomniałeś.

\*\*\*

Dół – pułapka na niedźwiedzia – był wykopany na skraju lasu. Korzenie zostały gładko przycięte, a na wszystko były naciągnięte młode sosnowe gałęzie. Na dnie jamy wkopano w ziemię zaostrzonym końcem do góry grube, proste konary.

Will obejrzał rezultat prac i gdy uznał, że jest zadowolający, przyniósł

bobry z domu i przeciął nożem sznurek, którym wcześniej zawiązał gruczoły.

– Ktoś ci z tym pomagał? – zapytał myśliwy, mocując przynętę do cienkiego drutu, który potem miał zawisnąć nad jamą.

– John przyszedł z paroma chłopakami. Pomogli mi wykopać jamę, a potem zaostrzyliśmy paliki i zamocowaliśmy je na dnie. Był pod wrażeniem twojego pomysłu.

– Powiedziałaś mu o tygrysie?

– To i owo pominąłem.

– Na przykład to, że zabijał każdego, kto spróbował na niego zapolować?

– Coś takiego – rzucił krótko Lonny.

Will ruszył wzdłuż brzegu dołu, ciągnąc za sobą drut. Gdy dotarł do szerokiego drzewa, obwiązał pień jednym końcem drutu, po czym obszedł pułapkę dokoła i drugi koniec zamocował do drzewa rosnącego po drugiej stronie jamy.

– To zadziała?

Will spojrzał na niego. Ten przyglądał się drutowi i leżącym na ziemi bobrom. Podniósł jedno ze zwierząt i podsunął ogonem w stronę Lonny'ego.

– Pociągnij nosem. Co czujesz? – zapytał, stojąc nieruchomo.

Drugi mężczyzna nachylił się nieco, po czym spojrzał Willowi w oczy.

– Coś słodkiego? Trochę jak świąteczne ciastka?

– Wanilia – wyjaśnił Will. – One mają tu gruczoł, który pachnie i nawet smakuje jak wanilia. Kiedyś traperzy sprzedawali tę wydzielinę. Czasem wciąż to robią. Przy najbliższej okazji, kiedy będziesz w sklepie, spójrz na etykietę pudełka z ciastkami. Chyba zaliczają to do aromatów naturalnych.

– Jaja sobie ze mnie robisz.

– Chciałbym.

– I niedźwiedzie to lubią?

– Uwielbiają.

Will podszedł do drzewa, naciągnął mocno drut i zawiesił bobry nad samym środkiem pułapki.

– Lecą jak muchy do gówna.

– Albo jak niedźwiedź do bobrzej dupy – skwitował Lonny.

\*\*\*

Kiedy skończyli, przez godzinę siedzieli na skraju ganku na krzesłach przyciągniętych z pokoju dziennego. Lonny palił. Co jakiś czas wydłubywał spomiędzy zębów lub zeskubywał z wargi kawałek tytoniu i gdzieś strzepywał. Siedział pochylony do przodu, z przedramionami opartymi na udach i papierosem zwisającym spomiędzy palców. Przez większość czasu obserwował skraj lasu, gdzie wykopali jamę. Czasem wyciągał rękę, prosił o karabin, przykładał oko do okularu i lustrował głębokie leśne cienie albo unosił łufę, by przyjrzeć się odległym góróm.

– Myślisz, że gdzieś tam jest? – zapytał, oddając karabin Willowi.

– Jest.

Nakładka lufy była ciepła od dłoni brodacza. Traper uniósł kolbę do ramienia, spojrzął przez lunetę, po czym opuścił broń z powrotem.

– Skąd taka pewność?

– Gdzieś musi być, co nie?

Lonny pokręcił głową.

– Nie wiem, jak dajesz radę robić to dzień w dzień. Po prostu siedzieć tak i czekać, aż coś może wylezie spomiędzy drzew – rzucił, po czym wstał. – Znalazłem kilka butelek czegoś mocniejszego, które Kershawowie trzymali w ukryciu. Chcesz trochę, żeby sobie umilić czas?

– Zastanawiasz się czasem, co by się stało, gdyby John albo Ojciec się tu zjawili i przyłapali cię na łamaniu ich zasad?

– Wszyscy mamy swoje tajemnice – powiedział Lonny. – Wszyscy co do jednego.

\*\*\*

Will czekał, przyglądając się Lonny'emu. Ten pił łyk za łykiem, potem mamrotał do siebie, aż zwinął się na kanapie, wciąż ściskając w dłoni butelkę. Po pięciu minutach rozległo się chrapanie.

Miało się już ku wieczorowi i pojawiły się owady. Will przyglądał się ich powietrznemu tańcowi; niektóre zygzakowały w ostatnich promieniach słońca, podczas gdy inne tylko przemykały, tak jakby bardzo się gdzieś śpieszyły. Przez pewien czas mężczyzna dzielił swoją uwagę między owady a miejsce, gdzie wykopali jamę. Potem odwrócił się od okna i ruszył korytarzem do pierwszej sypialni.

Usiadł na łóżku i rozejrzał się. Na wieszaku przy drzwiach wisiała kobieca koszula nocna. Uszyto ją z cienkiego białego materiału. Ozdobny haft obrębiający bardzo krótkie rękawy biegł też w poprzek piersi. Will przyglądał się ubraniu przez parę chwil, tak jakby stanowiło część tajemnicy, którą trzeba było rozwikłać.

Niebo już pociemniało, a wraz z nim wnętrze pokoju. Mężczyzna rozejrzał się, prześlizgując wzrokiem po bliźniaczych komodach i lustrze umieszczonych pod przeciwległą ścianą. W rogu stało samotne krzesło, przez które przewieszono ubrania zarówno kobiece, jak i męskie. Na siedzisku stał wypełniony niemal po brzegi kosz na pranie.

Kiedy wrócił wzrokiem do koszuli nocnej, nie spodziewał się, że zrobi to, co uczynił po chwili. Wstał z łóżka, podszedł do drzwi, zdjął koszulę z wieszaka i przytrzymał ją w obu dłoniach. Jego żona miała kiedyś taką. I chociaż nauczył się już nie myśleć o niej ani o ich córce, to teraz właśnie one wyłoniły się z jego pamięci.

Przysunął trzymane ubranie do twarzy. Czuł zapach lawendy, zabrudzeń i czegoś, co chyba mogło być kremem przeciwsłonecznym. Wyprostował ręce, podszedł do łóżka, położył koszulę tam, gdzie jego zdaniem była zwykle kładziona, po czym obszedł mebel dokoła i przysiadł na chwilę. Przekonywał sam siebie, że to jest jakieś szaleństwo; że gdyby John albo

Ojciec teraz tu weszli, od razu poznaliby, że nie został zbawiony, tak jak im to oznajmił dawno temu; że rzeczy, które prześladowały go wtedy, nadal nie dawały mu spokoju; że żadne zbawienie ze strony Kościoła czy Ojca nie mogło mu przynieść wytchnienia.

\*\*\*

Kiedy obudził się rano, tamta koszula nocna leżała na łóżku blisko niego. Sięgnął ku niej ręką i przesunął dłonią po materiale. Przez chwilę żałował, że obok nie leży ktoś z krwi i kości. Pomyślał o kobiecie, którą kiedyś poślubił, i o życiu, które razem wiedli. Zamknął oczy... i wtedy usłyszał ciche szczekanie; ktoś inny mógłby je wziąć za głos szczeniaka, ale Will wiedział, że to odgłos niedźwiedzia.

Kiedy traper wyszedł z sypialni Kershawów, znalazł Lonny'ego wciąż śpiącego na kanapie. Butelka zdążyła się wysunąć z jego dłoni i upaść na podłogę. Karabin leżał tam, gdzie go zostawił po opuszczeniu ganku. Will przeszedł przez pomieszczenie, chwycił broń, uniósł lufę i spojrzał przez lunetę w stronę pułapki wykopanej na skraju lasu. Na drucie brakowało jednego bobra, a gałęzie przykrywające jamę zniknęły.

Szybko odjął broń od ramienia i odciągnął zamek, aż jego oczom ukazał się tkwiący w komorze nabój. Zabezpieczył z powrotem broń, po czym obrócił się i rozejrzał w poszukiwaniu plecaka, w którym miał zapas amunicji. Kiedy go znalazł, zarzucił na plecy, podszedł do drzwi frontowych i wyszedł na poranne światło zalewające ganek.

Ponownie spojrzał przez lunetę w stronę pułapki, po czym przesunął lufę wzdłuż linii drzew. Wszystko było takie, jak je zapamiętał – poza tym jednym brakującym bobrem i brakującymi gałęziami.

Kiedy znowu usłyszał szczekanie, zrozumiał, że nie złapali wielkiego grizzly, którego widział wtedy w deszczu. Nie, to był mniejszy okaz. Will zszedł z ganku i ruszył przez pastwisko najszybciej i najciszej, jak potrafił. Gdy dotarł do przygotowanej poprzedniego dnia pułapki, spojrzał w dół.

To była niedźwiedzica grizzly i myśliwy zrozumiał, dlaczego tamten wielki samiec zszedł tu z gór. Głodny podążał za samicą z małym. Will rozejrzał się po lesie, ale nigdzie nie dostrzegł żadnego śladu niedźwiedziątka, które przecież musiało gdzieś być. Zapadła całkowita cisza. Malec mógł uciec, ale najpewniej po prostu gdzieś się schował. Na dnie jamy leżała jego martwa matka. Naostrzone pale przebiły ją na wylot w kilku miejscach. Biel świeżo naciętego drewna była teraz poplamiona krwią.

Will ruszył wzdłuż krawędzi jamy. Na ziemi dostrzegł odcisk łapy niedźwiedzicy. Obok widniały ślady jej potomstwa. Niemal zatarło trop matki, chodząc tam i z powrotem nad brzegiem pułapki i nawołując matkę. To właśnie obudziło Willa.

Sądząc po wielkości odcisków, niedźwiedziątko miało co najwyżej kilka miesięcy. Najświeższe ślady prowadziły pod górę, głębiej w las, mniej więcej w linii prostej ku biegnącej wyżej drodze.

Will zrobił kilka kroków w tamtą stronę, po czym odwrócił się z powrotem do pułapki. Nad jamą wciąż wisiały dwa bobry. Traper sięgnął po nie i odczepił jeden z końców drutu, po czym zdjął oba truchła. Z jednym z bobrów w dłoni ruszył tropem małego niedźwiedzia w górę zbocza, uważnie rozglądając się po okolicy, wypatrując jakiegokolwiek ruchu i nasłuchując jakiegokolwiek dźwięku.

Poruszał się ostrożnie, powoli i z rozmysłem. Jego czujność była podyktowana w mniejszym stopniu obawą o spłoszenie małego, a w większym podejrzeniem, że niedźwiedziątko mogło przyciągnąć z lasu co innego. Will dobrze wiedział, że zapewne nie on jeden poluje teraz na malca; że ani chybi ma rywala w postaci wielkiego grizzly.

Kiedy dotarł do drogi, łatwo znalazł miejsce, w którym niedźwiadek przebiegł po żwirze. Will spojrzał na ślady przednich łap, po czym przypatrzył się tym pozostawionym przez szerokie tylne kończyny, które z każdym susem spychały żwir w tył. Przeszedł na drugą stronę, nie

odrywając wzroku od tropu, po czym skierował się do lasu i szedł dalej po śladach. Czasem znikwały mu na chwilę z oczu; wtedy sugerował się złamaną gałązką lub kawałkiem sierści pozostawionym na szorstkiej korze sosny.

Po dwóch godzinach tropienia dotarł do gęstwiny dzikiego bzu. Słońce stało już wysoko na niebie i las zaczynał parować. Will przystanął. Cały czas niósł karabin w ręce. Teraz oparł go o pień drzewa, przyklęknął i przyjrzał się świeżemu odciskowi łapy, pozostawionemu przez niedźwiadka w błotnistej ziemi tuż przed pierwszą fasadą z liści bzu. Gęstwina zdawała się porastać niewielkie wgłębienie koryta cieku wodnego, którego Will jeszcze nie widział. Dalej grunt stawał się jeszcze bardziej grząski. Myśliwy spojrzał w tamtą stronę i dostrzegł cienkie zielone łodygi ciemiężycy z szerokimi, przypominającymi wiosła liśćmi o słodkim, piżmowym zapachu, teraz chylącymi się ku ziemi pod ciężarem trujących owoców.

Kiedy ponownie spojrzał na splątane łodygi i liście, mógł przysiąc, że w gęstwinie coś się poruszyło. Nie uniósł karabinu, tylko przesunął się nieco do przodu. Dojrzał ciemne, ubłocone przednie łapy niedźwiadka, a wyżej, gdzie znikwały za liśćmi, dostrzegł plamę jasnobrazowego, niemal żółtego letniego futra.

Nie chcąc spuścić wzroku z miejsca, gdzie wypatrzył malca, sięgnął za siebie i po omacku chwycił mocno jednego bobra. Rzucił truchło przed siebie, tak jak to zrobił parę dni temu z zającem. Czekał i wpatrywał się w gęstwinę. Najpierw pojawił się nos, czarny i umazany błotem. Niedźwiadek z początku powąchał mięso, po czym chwycił je zębami i wciągnął głębiej. Następnie przycisnął bobra do ziemi jedną łapą i zaczął rwać kęsy. Przez cały ten czas obserwował tkwiącego w bezruchu Willa.

Kiedy malec uporał się z pierwszym bobrem i błysnęła biała kość, mężczyzna ponownie sięgnął za siebie i chwycił drugie truchło. Tym razem wyciął kawałek mięsa nożem i rzucił przed niedźwiedzia. Potem kolejny nieco ponad stopę od krzewów bzu. Gdy maluch uporał się z pierwszą



przynętą, przeczołgał się po ziemi do drugiej porcji, po czym przystąpił na leżąco do konsumpcji, cały czas nie spuszczać Willa z oka.

– Byłeś głodny – mruknął niemal bezgłośnie myśliwy.

Niedźwiadek obrócił się w jego stronę z uszami położonymi płasko na łbie i poświęcił mu całą swoją uwagę. Traper wyciągnął przed siebie rękę z kolejnym kawałem mięsa i czekał. Nie położył przynęty na ziemi, ale trzymał ją cały czas w dłoni, tak jakby próbował uspokoić zaginionego dawno psa, który zdążył już przywyknąć do życia w dziczy. Kiedy niedźwiadek zbliżył się i skubnął mięso zębami, Will nie zwolnił chwytu, zmuszając malca do podejścia jeszcze bliżej. Ważył dobre sto funtów, może nawet więcej, i już zaczynał przypominać budowę dorosłego osobnika. Zakrzywione pazury łap zagłębiały się w ziemi niemal jak zęby w mięsie. Kiedy zwierzę zdobyło się w końcu na odwagę, by wziąć smakowity kąsek Willowi z ręki, ten już się zastanawiał, jak daleko malec zechce za nim iść.

\*\*\*

Po ognisku został tylko popiół i kilka poczerniałych kawałków drewna. Will spojrzął w stronę rzeki, po czym pod nogi: lekki powiew od strony wody nieustannie podrywał kawałki popiołu, pokrywając cienką szarą warstwą pobliską ziemię. Podszedł do brzegu i przyjrzał się miejscu, w którym stali wierni. Uniósł wzrok i spróbował wypatrzeć na wysokiej skalnej ścianie swój wcześniejszy punkt obserwacyjny, ale różnych cieni i załamania było zbyt wiele, by mógł z całą pewnością ustalić, gdzie to było. Odwrócił się plecami do rzeki i podszedł ponownie do miejsca po ognisku. Niedźwiadek czekał tam na niego, trącając łapą na wpół spaloną gałąź.

Na dźwięk kroków człowieka malec odskoczył spłoszony, po czym powoli, bardzo powoli podszedł do niego. Od spotkania przy dzikim bie minęło już kilka godzin. Will kilkakrotnie stracił zwierzaka z oczu, ale za każdym razem czekał cierpliwie i wreszcie dostrzegał malca biegnącego przez trawę albo kluczącego między pniami sosen, bez mała sto stóp dalej.

Teraz stał i przyglądał się, jak niedźwiadek wraca do szerokiego kręgu zimnego już paleniska. Ciekawskie zwierzę wsadziło nos w szaro-biały popiół, po czym cofnęło go gwałtownie i poczęło parskać i kichać. Malec wyprostował się i uniósł przednią łapę do nosa, żeby go oczyścić.

Kiedy Will wyszedł z kotliny, w której Kościół przeprowadził ceremonię, z rozczarowaniem stwierdził, że niedźwiadek nie podążył za nim. Gdy jednak cofnął się jakieś sto stóp, zobaczył malucha biegnącego wzdłuż brzegu rzeki, bawiącego się w płytkiej wodzie i przystającego, by się napić, po czym ponownie zrywającego się do biegu. Myśliwy przyglądał się mu przez chwilę, potem zawołał go i zwierzak wyszedł z rzeki, aby podążyć za człowiekiem.

Gdy dwie godziny później dotarli do leśnej chaty, nowy towarzysz trapera szedł już tylko niespełna dwadzieścia stóp za nim. Człapał, kiwając zadem na boki. Przyglądał mu się, a zwierzak odwzajemnił spojrzenie. Kiedy malec wszedł na polanę na szczycie wzgórza, zawahał się i stanął, jakby natrafił na niewidzialną ścianę otaczającą chatę z przyległościami.

Will oglądał się na niedźwiedzia i obserwował, jak ten chodzi to w lewo, to w prawo, aż w końcu wydaje z siebie znane mężczyźnie gardłowe szczeknięcie, przywołując go. Myśliwy cofnął się i wysunął rękę do niedźwiadka. Ten wyciągnął szyję, powąchał skórę sięgającej ku niemu dłoni, po czym zaczął ją trącać i nie przestał, aż Will położył rękę na małym łbie i zaczął drapać go za uchem, zupełnie jakby znali się od dawna i robili to już z tysiąc razy.

\*\*\*

Kiedy obudził się następnego dnia, niedźwiadek czekał na niego. Wieczorem Will nie rozpałał ognia i nie spał do późna, karmiąc zwierzaka swoimi zapasami. Czuwał i obserwował malca, aż ten zrobił się senny i zwinął się w kulkę w sposób, w jaki zwinąłby się pies przy ciepłym palenisku w odległym, przytulnym miejscu, które Will już dawno utracił.

Teraz myśliwy ponownie nakarmił swojego podopiecznego, a potem, jak to miał w zwyczaju, założył kapelusz, by osłonić oczy przed wschodzącym słońcem, i wyruszył w dzicz z siłkami, plecakiem i karabinem. Zszedł ze wzniesienia, na którym stała jego chata, kierując się wzdłuż łąki. Niedźwiadek podążył za nim, podskakując wesoło, często zatrzymując się, by skubnąć delikatne końce źdźbeł trawy. Kiedy mężczyzna wkroczył między drzewa rosnące wzdłuż strumienia, jego towarzysz pobiegł za nim z trzaskiem łamanych gałązek. Przystanęli obaj nad potokiem, żeby się napić oraz zanurzyć łapy i dłonie w wodzie.

Wiele sideł zostało naruszonych. Will dokładnie oglądał każde z nich i nastawiał ponownie. Dwukrotnie zamiast pułapki znalazł tylko trochę krwi i zajęcej sierści. Niedźwiadek obwąchał ziemię, po czym skierował nos w stronę wyżej położonego terenu.

– Stawiam na kojota – stwierdził myśliwy.

Uniósł wzrok i rozejrzał się po okolicy w poszukiwaniu zaginionych sideł. Zaczął obchodzić teren, zataczając coraz większe kręgi, aż znalazł miejsce, w którym zajęc został zjedzony. Pozostały po nim jedynie kupka kości i parę strzępów sierści. Linka od sideł leżała kawałek dalej.

Tylko w jednej z dziesięciu pułapek znalazł przynętę. Sprawnie skrzył kark zajęcia, rzucił w całości niedźwiadkowi i przysłuchiwał się odgłosowi kości i kręgów trzaskających pod naciskiem potężnych szczęk.

Kiedy skończył z ostatnimi wnykami, było już popołudnie. Will ruszył w drogę powrotną przez trawę z niedźwiadkiem podążającym w ślad za nim, to podbiegającym kawałek, to przystającym – tak jak wcześniej.

Gdy myśliwy dotarł do wzniesienia, na którym stała jego chata, malec wciąż baraszkował na łące. Wspinając się na zbocze, słońce miał przed sobą. Jego wysmuklony cień kładł się daleko, sięgając pola, niczym mroczne lustrzane odbicie, rozciągnięte w jednym kierunku po trawie.

Patrzył przed siebie, na odcinającą się na tle słońca chatę, i układał w głowie plan na resztę dnia, wręcz na resztę życia. Przez chwilę się

zastanawiał, idąc tak krok za krokiem w górę zбочa, czy mógłby tak funkcjonować: obserwować rosnącego niedźwiedzia i pomagać mu wkroczyć w życie.

\*\*\*

Powietrze rozdarł odgłos wystrzału i Will błyskawicznie padł płasko na brzuch. Wczepił się palcami w korzenie i ziemię, a jego nozdrza wypełniła woń trawy. Upłynęło już czterdzieści lat, odkąd ktoś do niego strzelał. Było to w innym kraju, który sprawiał wrażenie – przynajmniej wtedy – zupełnie innego świata. Ale uczucie pozostało takie samo, podobnie jak i nagły napływ adrenaliny, która teraz krążyła w jego żyłach.

Padł kolejny strzał, tym razem gdzieś z wysoka. Myśliwy uniósł wzrok i spojrzał przed siebie, ale zobaczył tylko trawę i rosnące dalej sosny. Usłyszał szczęk zamka, sprzeczny z sytuacją śmiech i odgłosy rozmowy dwóch mężczyzn. Uniósł się na łokciu i obejrzał przez ramię na łąkę, gdzie niedźwiadek przystanął, powąchał powietrze, po czym wspiął się na tylne łapy i skierował wzrok w stronę Willa.

Huknął kolejny wystrzał; traper usłyszał świst kuli przecinającej powietrze i zobaczył kłęb unoszącej się tuż obok zwierzęcia ziemi. Chwilę później do jego uszu dotarło przekleństwo i ponowny szczęk zamka. Niedźwiedź obwąchiwał miejsce, w które trafiła kula, tak jakby miała to być jakaś nowa zabawa, przygotowana przez jego ludzkiego towarzysza.

Will spojrzał z powrotem w górę. Nie mógł wypatrzeć strzelców, ale ich słyszał. Nie miał wątpliwości, że zamierzali zabić malca. Zerknął jeszcze raz ku swojej chacie, lecz słońce zdążyło się jeszcze trochę obniżyć i teraz jasne promienie go oślepiały.

Usiadł świadomy, że to nie on był celem strzelających, zdjął z ramienia swój karabin, odbezpieczył go i przyłożył oko do okularu lunety. Jego pierwszy strzał obsypał nos niedźwiedzia ziemią. Zwierzę – jakby wiedząc, że je zdradził – obróciło się w jego stronę. Myśliwy wyrzucił łuskę

i załadował kolejny nabój. Mężczyźni schodzili w dół zbocza, śmiejąc się i wołając do siebie, a teraz też do Willa, ale on ich nie słyszał, tylko ponownie uniósł karabin i skierował lufę w stronę niedźwiedzia, celując tuż ponad jego uchem, po czym pociągnął za spust. Oceniał, że pocisk przeleciał tuż obok głowy zwierzęcia, które wnet rzuciło się do ucieczki.

Kiedy malec dotarł do linii drzew, zarysowanej na drugim końcu łąki, przystanął i obejrzał się. Will patrzył za nim przez lunetę. Obserwował, jak węszy w powietrzu. Jak wodzi wzrokiem po okolicy, aż w końcu spogląda na Willa i mężczyzn schodzących ze wzniesienia. Wtedy rozległ się kolejny strzał. Traper nie potrafił ocenić, czy kula sięgnęła celu. Zobaczył tylko, jak zwierzę skacze i momentalnie znika, tak jakby nigdy go tam nie było, jak opuszcza świat widzialny i rozplywa się w mrocznej gęstwinie drzew, które porastają brzeg płynącego nieco dalej strumienia.

Will obrócił się i dostrzegł Johna Seeda idącego ku niemu przez trawę. W ręce trzymał karabin z drewnianą kolbą i zamkiem ryglowym. Z lufy unosił się szary dym, który następnie wił się smugą nad ramieniem mężczyzny niczym wąż. Za Johnem podążali jego ludzie, a wśród nich Lonny. Wszyscy nieśli broń i teraz rozchodzili się na kształt szerokiego wachlarza, by otoczyć Willa, który wciąż siedział w trawie ze sztucerem trzymanym blisko siebie na kolanach.

– Lubisz niebezpieczne gry – powiedział John, podchodząc do trapera. – Pamiętam cię pijącego. Pamiętam, w jakim byłeś stanie, kiedy przybyłeś do nas i poprosiłeś o pomoc. Czy wciąż jesteś tamtym człowiekiem?

– Nie.

– Cieszy mnie to, Will. Bardzo mnie to cieszy. Przez chwilę można było odnieść inne wrażenie.

– Jakie?

– Że może usiłowałaś zaprzyjaźnić się z posiadaczem pazurów, które mogłyby cię kiedyś zabić.

Will zerknął w bok na Lonny'ego. Kiedy wrócił spojrzeniem do Johna,

zapytał, czy znaleźli niedźwiedzia leżącego w jamie.

– Dlatego tu jesteśmy – odparł John. – Lonny to zaproponował. Powiedział, że potrafisz wytropić praktycznie każde stworzenie. To prawda?

Will ponownie zerknął na Lonny'ego.

– Odkąd mnie umieściliście w tym miejscu, polowałem na niemal wszystko, co chodzi lub pełza na czterech łapach. Czego konkretnie tu szukacie?

– Mamy pewną sprawę, którą chcemy, byś rozwiązał. Czy mógłbyś kogoś dla nas znaleźć?

– Kogoś?

– Zaginęła pewna dziewczyna.

– Żaden ze mnie detektyw, jeśli o to wam chodzi.

– Nie potrzebuję detektywa. Czy zdołasz ją wytropić w tych lasach i sprowadzić z powrotem do nas?

– Prosisz mnie, bym zapolował na człowieka?

John się uśmiechnął.

– Tak naprawdę to nie proszę.

## II

**Pewnego dnia zgubiłem się w dziczy i wtedy zrozumiałem tę przestrzeń, sam stałem się dziki. I w tej dziczy wzrosłem na nowo, nie tylko jako człowiek, ale też jako zwierzę, pokryte krwią zdobyczy, dziki w sercu, ostrzący kły na wszystkich tych, którzy chcieliby źle dla mnie albo tej dziczy, którą teraz zwałem już domem.**

Ojciec, Bramy Edenu, hrabstwo Hope, stan Montana

Will na wpół się ześlizgnął, na wpół zszedł po zboczach, podążając śladem połamanych gałęzi i zdeptanych liści. Do samochodu zostało mu jeszcze jakieś pięćdziesiąt stóp. Z tej perspektywy widział tylko opony i podwozie z wałem korbowym biegnącym w prostej linii od przodu do tylnej osi. Miał ze sobą plecak i karabin.

Kiedy wieźli go do jego chaty na miejsce wypadku, słuchał Johna mówiącego, dlaczego i którędy jego zdaniem poszła dziewczyna.

– Rozumiesz, że mamy zamiar jej pomóc?

– Dlatego chcecie ją znaleźć? – zapytał Will.

– Chcemy ją ocalić. Chcemy dać jej nowe życie, tak jak daliśmy je tobie.

Will odwrócił wzrok. Ścisnął oburącz karabin i wyrżał przez boczną szybę na rozmyte od prędkości drzewa i krzewy. W pewnym momencie dostrzegł stojącego nieopodal jelenia. Przyglądał mu się, kiedy go mijali, ale też dalej, aż zniknął za zakrętem. Wtedy jego wzrok padł na plandekę rozciągniętą na pace półciężarówki. Jeden róg się zsunął.

– Co tam jest? – zapytał.

John zerknął przez ramię, żeby sprawdzić, co właściwie Will zobaczył.

– Jacob, mój najstarszy brat, tropił w pobliskich górach wilki. To część jego sprzętu.

Will próbował dojrzeć, co kryje się pod plandeką, ale samochód ciągle podskakiwał na nierównościach; nie mógł niczego wypatrzeć.

– Pomysł jest dość prosty – dodał John. – Łapiesz jednego i przywieszasz mu lokalizator. Potem go wypuszczasz i śledzisz sygnał. W ten sposób wilk zaprowadzi cię do stada. Dlatego właśnie, Will, musisz znaleźć Mary May. Musisz ją do nas przyprowadzić. Chcemy pomóc jej zrozumieć, że jest częścią czegoś więcej. Musi uwierzyć tak jak ty, jak ja wierzę, że możemy pomóc wszystkim mieszkańcom hrabstwa. Pomóc im



pojąć, jak silni mogą być, jeśli tylko połączą siły.

– I to działa?

– Wiesz o tym lepiej niż ja. Jesteś myśliwym. Wiesz, że na łowach zawsze używa się najlepszego dostępnego narzędzia.

Teraz, kiedy dotarli już na miejsce, Will zastanawiał się nad słowami Johna. Sunął po zboczu jeszcze pięćdziesiąt stóp i zatrzymał się tuż przed przednią osią pikapa. Nad nim schodził Lonny, nieco ostrożniej od trapera, bo przytrzymując się cienkich pędów dzikich porzeczek, które spowolniły i zamortyzowały upadek samochodu, kiedy ten wypadł z drogi i osiadł kilkaset stóp niżej.

Wszystko, czego się do tej pory dowiedział, chociaż widział chrzest i to, co obecnie mogli nazywać zbawieniem, przeczyło zapewnieniom mężczyzn o chęci pomocy dziewczynie.

Will obszedł półciężarówkę i przyjrzał się uszkodzeniom. Przednia szyba była spękana, karoseria na boku miała świeże zadrapania, a do tego jeden z reflektorów był rozbity. Will chwycił zderzak i rozbijał nieco samochód. Dziewczyna miała sporo szczęścia, że nie potoczyła się dalej i nie rozbiła o rosnące w dole sosny. Podźwignął się i zajrzał do kabiny. Szyby od strony pasażera nie było i widział wyraźnie gałęzie i liście przygniecione ciężarem pojazdu.

Nigdzie nie zobaczył natomiast krwi. Opuścił się z powrotem na ziemię i ponownie przyjrzał samochodowi, tak jakby widział go po raz pierwszy.

Kiedy Lonny do niego dołączył, Will się odezwał:

– Znam ten samochód.

– Podejrzewałem, że go rozpoznasz.

– W co my się tu pakujemy?

– Dama w opałach – odparł Lonny, spoglądając na Willa z uśmiechem.

– W jakich opałach?

– Takich groźących wiecznym potępieniem – rzucił Lonny. – Są w nich także wszyscy pozostali.

Will posłał mu jeszcze jedno spojrzenie, po czym obszedł samochód, aż dotarł do tylnego zderzaka.

– Mówili, że jechała na północ?

Lonny stanął obok niego. Niósł własny plecak i pochylał się nieco z jedną ręką wyciągniętą w bok, żeby utrzymać równowagę na śliskim zboczu.

– Poszła tędy – powiedział do Willa, wskazując wąskie przejście między zielonymi krzewami, które mogło być ścieżką zwierząt, ale przeczyły temu gałązki złamane na wysokości piersi.

– Poszli za nią?

– Szli, póki dawali radę. Mówili, że kiedy tylko ruszyła w las, zmieniła się w prędko uskakującą cholerną kozicę.

Myśliwy odwrócił się i spojrzał w górę zbocza, gdzie stały dwa samochody Kościoła. John tkwił tam i przyglądał się im.

– Co ci John powiedział o tym wszystkim? – zapytał traper.

– Tylko tyle, że powinniśmy ją znaleźć. Że rozpowiadała o Kościele różne rzeczy, nieprawdziwe rzeczy. Że podburzała ludzi w miasteczku, próbowała nakłonić szeryfa, by się przyjrzał naszym działaniom.

– A jest się czemu przyglądać?

Lonny wzruszył ramionami.

– Znasz ją, prawda?

– Znam. Chodziłem z ojcem Mary May do szkoły, kiedy była tu jeszcze szkoła.

– No to wiesz, jaka potrafi być – stwierdził drugi mężczyzna, spojrzał w górę na Johna, a potem z powrotem na Willa. – Lepiej ruszajmy. John nie przywiózł nas w to miejsce, żebyśmy tu sterczeli i mieli ozorami.

\*\*\*

Mary May podeszła wyżej, skrajem ukształtowanego przez lawinę, wyschniętego żlebu, przytrzymując się smukłych gałęzi jałowca. Jakiś czas

temu opuściła las i teraz poruszała się po otwartym terenie. Oddychała ciężko, zmęczona wysiłkiem, a przepocona koszula lepiała jej się do skóry. Słońce zachodziło, jego promienie przyjemnie grzały ją w plecy, zaś metal wsuniętego za pasek spodni rewolweru stanowił krzepiący ciężar. Po wypadku zdążyła zabrać z samochodu tylko rewolwer i zapinaną na suwak bluzę z kapturem.

Johna i resztę zgubiła blisko pięć godzin temu, więc teraz wspinała się spokojnie. Górski powiew, poruszający paroma luźnymi kosmykami wokół jej twarzy i zwisającymi luźno połami koszuli, niósł woń spękanego kamienia i roztopionego lodu.

Zatrzymała się pod granią, położyła rewolwer i nabrała w dłonie nieco wody ze strumienia, by obmyć twarz, zwilżyć włosy i przetrzeć kark. Potem ujęła jeszcze trochę i napiła się. Gdy skończyła, wstała i rozejrzała się po okolicy. Wiatr poruszał gałęziami i liśćmi, a Mary May czekała i liczyła skrycie, że mężczyźni nie idą już za nią.

Uznawszy, że w tej chwili nic jej nie grozi, usiadła na dużym głazie i zsunęła dzinsy, by przyjrzeć się ciemnemu siniakowi na udzie, którego się nabawiła, uderzając w drzwi samochodu. Siniak był fioletowo-czarny, zaczynał się na wysokości trzech czwartych uda, znikał pod brzegiem majtek i pojawiał się ponownie na boku, przy żebrach. W innych miejscach była podrapana, częściowo wskutek wypadku, a częściowo z powodu krzewów, przez które się przedzierała większość dnia.

Raz naszła ją myśl, żeby zejść do drogi, ale zrezygnowała, wiedząc, że John wciąż gdzieś tam był, że wciąż jej szukał. A kiedy uciekała od wywróconego pikapa, kiedy lawirowała między drzewami, ścigana odgłosami tratujących krzewy i ścigających ją mężczyzn, nabrała pewności, że nie mogła się z ich strony spodziewać żadnej pomocy.

Dwadzieścia minut później skręciła ostro na wschód i schowała się za grubym pniem powalonej jodły, której szerokie korzenie wciąż były oblepione kamieniami i ziemią. Przesunęła się wzdłuż pnia, trzymając się

jak najbliższej ziemi, aż doszła do bryły korzeniowej. Wtedy spojrzała w dół zbocza, gdzie John stał z kilkoma swoimi ludźmi, nie dalej niż sto stóp od niej. Wszyscy byli uzbrojeni. Wytatuowani brodacze sondowali wzrokiem otaczający ich las, usiłując ustalić, w którą stronę powinni się udać.

Mary May ścisnęła rewolwer w dłoni, obserwowała sytuację i nasłuchiwała. Kiedy wypuściła wstrzymywane powietrze, jej oddech wydał się głośniejszy niż kiedykolwiek wcześniej. Chociaż wiedziała, że tak naprawdę przypominał raczej ledwie słyszalny szept i że wydał jej się głośny tylko z powodu strachu.

– Mary May – zawołał John, wodząc oczami po lesie. – Wyjdź, wychodź, gdziekolwiek się schowałaś.

Jego głos był niemal śpiewny. Teraz patrzył na wielką powaloną jodłę, ale jego spojrzenie tylko się po niej prześlizgnęło.

– Nikt cię nie skrzywdzi – dodał mężczyzna.

Zrobił kilka kroków naprzód, podczas gdy ona przyglądała się trzymanemu przez Johna wielkiemu rewolwerowi Magnum, zataczał nim łuki to w jedną, to w drugą stronę, tak jakby broń była radiestetyczną różdżką, a Mary May cenną wodą.

– Nikt nie chce, żeby to zaszło dalej, niż musi.

Czekała. Przyglądała się mu, jak stawia kolejne kroki. Towarzyszący Johnowi mężczyźni zdążyli go wyprzedzić, a on cały czas się rozglądał. Mroczne leśne cienie zbierały się wokół niego i gęstych gałęzi.

– Wyjdź tu do nas, a zabierzemy cię do brata. Zabierzemy cię prosto do Bram Edenu. Możemy się zaprzyjaźnić. Możemy być wszyscy jedną, wielką, szczęśliwą rodziną. Ty. Twój brat. Ja. I wszyscy inni. Ojciec i wszyscy, którzy słyszą jego słowa.

Przyglądała się mu, aż zniknął jej z oczu za bryłą korzeni. Wtedy ruszyła z powrotem wzdłuż pnia, co chwilę zerkając, w którą stronę idzie. Nagle obrócił się i spojrzał w jej kierunku, ale zdążyła szybko paść na ziemię i przycisnąć twarz do wilgotnej ściółki, cały czas dzierżąc rewolwer. Kiedy

zaryzykowała kolejne spojrzenie, był już jakieś sto stóp dalej i podążał w ślad za resztą mężczyzn. Patrzyła za nim, aż całkowicie zniknął jej z oczu. Wtedy puściła się biegiem.

Kilka godzin później odpoczęła przy strumieniu, a po kolejnej godzinie wspięła się żlebem na otwartą przestrzeń, wspomagając się przy wspinaczkę nisko rosnącymi krzakami jałowca. Teraz stanęła na szczycie chłostanej wiatrem grani i spojrzała w dół. Po drugiej stronie znajdowały się głównie strome skalne ściany. Przysunęła się do krawędzi i spojrzała w mroczne cienie głębokiej otchłani. Trzysta stóp pod nią znajdowało się osypisko skalne.

Wspięła się tutaj, licząc na lepszą orientację w okolicy, ale zobaczyła kolejne lasy, kolejne wzgórza i ciągnące się przed nią długim pasmem góry, jedną i zaraz następną. Gdzieś tam był jej brat. O Bramach Edenu wiedziała tylko tyle, że ich siedziba znajdowała się gdzieś dalej, nad brzegiem jeziora, w miejscu wyżłobionym tysiące lat temu przez lodowce, gdzie głęboką błękitnozieloną wodę otaczały wysokie góry i wzgórza. Ale wciąż była daleko od wyznaczonego punktu. Popatrzyła w stronę celu wędrówki, po czym rozejrzała się po grani i skierowała wzrok dalej, daleko w dół zbocza, na rzeczną dolinę.

\*\*\*

Jakieś dwie albo trzy mile dalej, na przeciwległym zboczu, dostrzegła białe kropki – zwierzęta przemierzające górską łąkę. To, co z początku wzięła za stado kozic, okazało się trzodą owiec. Obserwowała je i trawę wokół nich, aż w pewnym momencie spomiędzy pobliskich drzew wyszedł jakiś mężczyzna, przez chwilę stał i przyglądał się owcom, po czym wrócił do lasu.

Mary May stała i analizowała wszystko dobre pięć minut, w końcu ruszyła wzdłuż grani, aż znalazła niewielki łagodny żleb schodzący na samo dno doliny.

\*\*\*

Obchodząc powaloną jodłę i bryłę korzeniową, Will zachowywał pewną odległość i uważnie przyglądał się każdemu znalezionemu śladowi. Widział, jak w pewnej chwili Mary May przyklękła na ziemi, kształt zagłębienia zdradzał lekkie przeniesienie ciężaru ciała, kiedy – mógł tylko zgadywać – ukryła się za wielkim pnem, a potem wyrzała w stronę prześladowców.

– Co mówiła? – zapytał.

Lonny obrócił się w jego stronę, czekał i przyglądał się mu. Stał nieco dalej, w miejscu, w którym traper kazał mu się zatrzymać.

– Co mówiła ludziom w mieście? Dlaczego tu przyjechała?

– Paskudne rzeczy – odparł Lonny. – Że jesteśmy mordercami. Że ukrywamy rozmaite rzeczy, że mamy jakieś tajemnice.

– A jest tak?

Lonny nie spuszczał wzroku z Willa. Uśmiechnął się półgębkiem, po czym zwrócił się w kierunku, z którego przyszli, tak jakby się spodziewał, że zobaczy Johna.

– Nie zrobiliśmy niczego, czego nie trzeba było. Widziałeś chrzest.

– Widziałem, ale albo mnie pamięć zawodzi, albo kiedy bracia przybyli tu z Georgii, przebiegało to nieco inaczej – zauważył Will.

– Ojciec chce oczyścić stado. Oddzielić słabych od silnych.

– A do której grupy należy Mary May?

– Znasz ją, prawda? Jak sądzisz?

– Znałem ją – poprawił go Will. – Ale to było dawno temu, zanim przyszedłem do Bram Edenu. Znałem też jej rodzinę i widziałem jej brata, Drew, ale odkąd ten dołączył do Kościoła, zamieniłem z nim tylko parę słów. Nie było mnie przy jego chrzcie i nie wiem, co się z nim działo. Jako dzieciak zawsze ubóstwiał swojego ojca, Gary’ego, łąził za nim jak cień. Przy czym Gary był zawsze przeciwnikiem Bram Edenu, Drew najwyraźniej doszedł do innych wniosków.

– Cóż – stwierdził Lonny. – Pozmieniało się. Dużo się pozmieniało

nawet od dnia, kiedy ja tu przyszedłem. Kiedy John mnie tu zaprosił i roztoczył wizję krainy mlekiem i miodem płynącej.

– Ale nie płynęła, prawda?

Lonny rozejrzył się po lesie i skupił wzrok na powalonej jodle.

– Czy to ci wygląda na mleko i miód? – zapytał. – Jak myślisz: jak długo nam zejdzie?

– Wytropię ją najszybciej, jak zdołam. Ale to nie znaczy, że ją znajdziemy. Mogła wejść do rzeki albo przejść po nagiej skale i nie pozostawić żadnego śladu. W każdym razie zaznaczam: samo to, że jej szukamy, nie musi równać się temu, że ją znajdziemy.

– Cóż, w którą stronę poszła?

Will oderwał wzrok od powalonego pnia i rozejrzył się po lesie.

– Wygląda na to, że biegła, tędy.

– I ty to wszystko wiesz ze śladów?

– Chodzi o odległość między kolejnymi odciskami stopy – wyjaśnił Will, wstając i pokazując kilka wgłębień. – Dogonienie jej nie będzie proste.

– Tak mówisz?

Will ruszył przed siebie, nie odrywając wzroku od ziemi. Podążał tą samą drogą, którą Mary May uciekała przez las. Zdradzały ją igły osypujące się w miejscach, gdzie wylądowała pięta, albo gdzie odepchnęła się od podłoża palcami stopy.

Kiedy widział ją ostatni raz, była nastolatką, ledwie w takim wieku, by móc pracować za barem; dawno temu. Wiele już lat minęło, odkąd przyszedł do kościoła i oddał swoją duszę Ojcu, odkąd wziął rozwód ze wszystkim, co należało do dawnego życia.

\*\*\*

Pojawiła się, kiedy właśnie kończyli jeść kolację. Jeden z nich wstał spod drzewa, gdzie nad rozpalonym ogniem wisiał kociołek, i podszedł do niej, a ona powitała go i przyjrzała się mu. Słońce chowało się już za drzewami

i wkrótce miało zniknąć całkowicie. Mężczyzna powiedział tylko kilka słów po hiszpańsku i zachęcił gestem do zbliżenia się do ogniska.

Było ich dwóch, ojciec i nastoletni syn. Pierwszy z nich powitał Mary May, poprosił, by dołączyła do nich i podzielił się posiłkiem. Jedli kukurydziane tortille, podgrzane na patelni przysuniętej do ognia, a w kociołku pyrkotała gęsta, mocno przyprawiona potrawka z mięsa i fasoli, pachnąca jakimś innym, nieznanym światem. Ślina napłynęła jej do ust. Nałożyli jej jedzenia do miski i wręczyli tortille. Usiadła i zajęła się konsumpcją, a oni się jej przyglądali. Kiedy uporała się z jedną tortillą i zabrała za następną, wycierając nią naczynie, starszy mężczyzna szepnął coś do syna, po czym ten zapytał po angielsku, co ją tu sprowadziło.

– Szukam swojego brata – odparła.

Syn powtórzył jej słowa ojcu.

– Zaginął? – zapytał.

– Można tak to ująć.

Owce skubały w tym czasie trawę porastającą górską łąkę; spojrzała na nie i okolicę. Chciała zapamiętać układ terenu przed zapadnięciem zmroku. Na północy, między górskimi grzbietami, zauważyła przesmyk, którym mogłaby przejść dalej. Kiedy przeniosła wzrok ponownie na ognisko i siedzących przy nim pasterzy, zapytała, jak daleko jest stąd do kościoła Bram Edenu.

– *Está buscando por la iglesia?* – zapytał ojciec, obrócił twarz w jej stronę i przyjrzał się jej, po czym, nie czekając, aż jego syn przetłumaczy jego pytanie, dodał: – *Es una mala iglesia.*

Mary May spojrzała na nastolatka i poczekała na tłumaczenie.

– Mówi, że to złe miejsce – przetłumaczył młodzieniec. – Próbowali kilka razy porozmawiać z naszym pracodawcą. Chcieli go zmusić, żeby im oddał owce i zaczął myśleć tak jak oni.

– To samo zrobili z wieloma innymi – powiedziała. – I próbują ze mną.

Wytarła ostatnim kawałkiem tortilli resztę potrawki, po czym złożyła



i umieściła w ustach.

– To złodzieje – stwierdził chłopak. – Czasem przychodzą nocą i zabierają owcę; są jak wilki. Wkrótce, jeśli nasz pracodawca będzie dalej tracił zwierzęta i związany z nimi zarobek, nie będzie miał wyboru i będzie musiał sprzedać wszystko za te marne pieniądze, które mu oferują.

– To samo zrobili i mnie – powiedziała. – Zawracali dostawy alkoholu, którego potrzebuję w swoim barze w Fall's End. Odcięli mnie od wielu dystrybutorów, a połowę z nich odstraszyli na dobre.

– Chcą zbyt wiele – dodał chłopak. – Wydaje im się, że wszystko już należy do nich. Ale ta ziemia nie należy do nikogo; jest dla ludzi, dla owiec, dla pani, żeby pani mogła tędy przejść i pójść tam, gdzie zechce.

Powiodła spojrzeniem od jednego do drugiego, po czym podziękowała im za kolację. Na koniec wstała i oddała miszkę.

– *Adónde vas?* – zapytał ojciec.

– Po mojego brata – odparła.

– *Él está con ellos?*

– Tak.

Przez chwilę stała w miejscu i przyglądała się mężczyźnie. Widziała wyraźnie, jak roztrząsa w myślach jej słowa. Po chwili on również wstał i zapytał, czy nie chciałaby z nimi zostać. Powiedział, że mają zapasowy koc i chętnie go użyczą, a jako że wkrótce robi się zupełnie ciemno, nie chciałby, żeby zgubiła się w górach.

Potem wszedł między drzewa i po minucie wrócił na grzbiecie rosnącego deresza, po czym wbił mu piętę w boki, by zmusić konia do kłusa. Przy siodle, w starym skórzanym pokrowcu, miał karabin z wytartą od wielokrotnego używania drewnianą kolbą. Mary May patrzyła, jak odjeżdżał, po czym pytająco spojrzała na syna.

– Karabin jest na wilki, w jakiegokolwiek postaci.

– Jest aż tak źle?

– Ciężko odpowiedzieć na to pytanie, dopóki człowiek nie znajdzie się

w sytuacji, w której musi podjąć decyzję. Nie mam pewności, jak bardzo jest źle, naprawdę nie wiem. Czas pokaże.

– A twój ojciec? – zapytała.

Spojrzała w ślad za jeźdźcem na koniu, którego ciemna sylwetka sunęła między owcami na tle szarego nieba niczym łódź przełamująca fale.

– Zastrzeliliby ich?

– Pojedzie i ostatni raz przed zapadnięciem nocy przejrzy stado – odparł chłopak, zaczynając czyścić kociołek szmatką i wodą. – Jest pasterzem. Zawsze był pasterzem. Zabrać mu jego stado, to odebrać mu życie. Rozumie pani? – Kontynuował robotę, ale zapytał jeszcze: – Pani brat jest wierzący?

– Nie wiem – odpowiedziała. – Czuję się, jakbym już go nie знаła. Chyba już jakiś czas temu staliśmy się dla siebie obcy.

– Czasem słyszymy różne rzeczy – dodał chłopak. – Słyszemy ich modlitwy, śpiewy. Słyszemy głosy w lesie, czasem widzimy ogniska. Niektórzy są wierzący. Inni nie do końca. I ci właśnie mają zawsze najtrudniej, bo myślą, że wkraczają do świata uformowanego Boską miłosierną dłonią, lecz prędko okazuje się, że wchodzą nie do domu Boga, lecz do kłębówiska grzeszników, a słowa tego ich Ojca niewiele mają wspólnego z Bogiem. Są obliczone na zniewolenie ludzi.

Przyglądała mu się, po czym odwróciła się i spojrzała na starszego mężczyznę, zaganiającego w oddali owce na górskiej łące.

– Mądry z ciebie chłopak – rzekła do nastolatka.

Młody pasterz skończył czyścić kociołek, odstawił go na bok i zabrał się za miski oraz dużą chochlę, którą nakładali potrawkę.

– To, że żyjemy tutaj, na odludziu, nie znaczy, że nie dostrzegamy, co się dzieje w miasteczku i wszędzie indziej w tym hrabstwie. Czasem to właśnie dystans, czy to fizyczny, czy emocjonalny, pozwala widzieć wyraźniej.

\*\*\*

Kiedy nastał mrok, zatrzymali się u podnóża grani i zjedli część zapasów, które Will miał ze sobą. Rozpalili niewielkie ognisko i traper przyglądał się, jak gałązki i małe kawałki drewna giną w tańczącym żarze. Lonny zaś zwinął sobie papierosa i wyraził nadzieję, że jutro znajdą dziewczynę.

Will odparł, że też na to liczy. Ale nie był pewien, co dobrego sprowadzenie jej przyniesie samej Mary May czy Kościołowi.

– Ona nie jest wierząca – zauważył. – Jej rodzina zawsze nienawidziła Kościoła i nie wiem, jak niby sprowadzenie jej siłą miałyby to zmienić.

– Lepiej mieć ją pod kontrolą, niż żeby miała tu biegać luzem – stwierdził Lonny, zapalił papierosa i się zaciągnął. – Przed tym wszystkim rozmawiała z szeryfem.

– Co mu mówiła?

– Ani słowa prawdy. Ale rzuciła cień podejrzania na Ojca i Kościół i moim zdaniem John nie może tego znieść.

– Znałem ją jako dzieciaka – powiedział Will. – Nawet wtedy nie dawała sobie w kaszę dmuchać. Nie sądzę, żeby się wiele od tamtego czasu zmieniła.

– Zobaczymy – skwitował Lonny.

Palił papierosa i wpatrywał się w iskry. Kiedy skończył, wrzucił pet do ognia. Pięć minut później już spał.

Will przyglądał się płomieniom, aż na środku paleniska uformowanego z kamieni, które znalazł w pobliżu, zostały ledwie żarzące się węgle. Myślał o niedźwiadku i o tym, jak chciał go uratować, ale koniec końców mu się nie udało.

Tej nocy po raz pierwszy od dawna śnił o swojej córce. Zawsze lubiła, kiedy siedział przy jej łóżku, i nie chciała zasnąć, jeśli go przy niej nie było. Jako dziecko, gdy się obudziła i stwierdziła, że fotel obok jest pusty, potrafiła krzyczeć w środku nocy. Will śnił o niej leżącej w pościeli z zamkniętymi oczami, ale myślami jeszcze silnie trzymał się jawy.

– Nie zostawisz mnie? – zapytała.

– Nie. Będę tu siedział.

– Nawet kiedy zasnę, dalej tu będziesz?

– Tak – obiecał. – Będę tu cały czas. Będę się tobą opiekował i nigdy cię nie opuszczę.

– A co z mamą? – zapytała. – Kto się nią opiekuje?

– Ja. Opiekuję się wami obiema.

– Nawet kiedy tu siedzisz przy mnie?

– Tak – odparł.

Przyglądał się jej przez parę chwil. Wsłuchiwał się w jej oddech. Zauważył zmianę w jego rytmie, kiedy zapadła w sen. Siedział w starym pokoju, który kiedyś był jej, w domu, który kiedyś należał do niego i jego żony i stał wysoko na skarpie. We śnie, wyglądając przez okno w sypialni, widział też okoliczny krajobraz, złocisty i wyrazisty, przypominający pola suchej pszenicy tuż przed żniwami.

Wstał z fotela, wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi, nadal we śnie. Przez chwilę stał po drugiej ich stronie ze świadomością, że jego córka jest tam, wewnątrz, bezpieczna i że żyje. Następnie poszedł szukać żony, ale nie mógł jej znaleźć. Przystanął w kuchni i wyrztał przez okno. Zapadł już mrok, więc zobaczył tylko własne odbicie w szybie. Zdawało mu się, jakby dom się zmienił, jakby w odbiciu brakowało dużej części świata za jego plecami.

Kiedy się odwrócił, usłyszał przeszywający krzyk nawołującej go córki; prosiła, by przyszedł i wziął ją na ręce, tak jak to zwykł robić, kiedy była małą dziewczynką i budziła się zaniepokojona samotnością w pustym pokoju.

W mgnieniu oka stał już przed jej drzwiami, jakby był tam oczekiwany, ale chociaż raz za razem przekręcał gałkę, drzwi nie chciały się otworzyć, a on cały czas słyszał dochodzące z wewnątrz krzyki córki, która pytała, gdzie jest tata, błagała, by przyszedł do niej. Ten nieprzerwanie próbował się dostać do środka, ale bez rezultatu. Wiedział już bez wątplenia, że dzieje się

coś strasznego, czemu nie zapobiegnie; że nawet we własnym domu nie może jej pomóc.

Obudził się gwałtownie i nie mógł przestać kaszleć. Do świtu brakowało jeszcze godziny, ale już można było dostrzec światło powoli wznoszące się na wschodzie. Przyłożył dłoń do ust i zakaszłał potężnie. Poczuł, jak coś w środku drga i odrywa się. Wykrztusił to, wypluł i siedział wpatrzony w plwocinę. Śluz, ciemny i złowrogi, leżał na ziemi niczym jakiś prekambryjski organizm wyciągnięty z błota.

Will po godzinie wciąż nie spał. Tylko leżał i obserwował, jak słońce przegania z nieba ostatnie gwiazdy. Na ziemi obok niego, czarna niczym plama smoły, wysychała krew z wrzodu czy jakiegoś innego cholerstwa rosnącego gdzieś głęboko w trzewiach.

\*\*\*

Chłopak obudził ją rano potrząśnięciem za ramię. Kiedy otworzyła oczy, wrócił do ogniska, usiadł na ziemi i zamieszał w kociołku. Jego ojciec siedział obok niego. Obaj wyglądali, jakby od wczoraj nie ruszyli się od ognia, wciąż tkwiący w tych samych miejscach, w tych samych ubraniach, spoglądający na nią wyczekująco.

– *Estabas hablando* – odezwał się w końcu starszy mężczyzna.

Pokręciła głową na znak, że nie rozumie, spojrzała na chłopaka i czekała.

– Mówiła pani przez sen.

Nabrał chochlą z kociołka ciemnego płynu, nalał go do miski i przyniósł jej. Kiedy ponownie uniosła wzrok, siedział już z powrotem przy ogniu. Powąchała zawartość miski, dmuchnęła, po czym uniosła naczynie do ust i upiła łyk na próbę.

– Kawa? – upewniła się. – *Gracias*.

– *De nada* – odparł ojciec chłopaka.

Ten tylko skinął głową, ponownie zanurzył chochlę w kociołku i nalał

ojcu, na końcu zaś sobie.

Kiedy skończyła pić, znalazła na dnie zmielone ziarna i przypomniała sobie stare kowbojskie opowieści o przepowiadaniu przyszłości z fusów, snute przez najstarszych bywalców baru. Ale chociaż wpatrywała się w miskę przez minutę albo i lepiej, nie potrafiła niczego wyczytać. W końcu wstała, przechyliła naczynie, wyjęła palcami fusy i odrzuciła je na bok.

Chłopak podgrzewał teraz tortille i fasolę. Po nałożeniu dodał na wierzchu trochę masła, żeby się roztopiało w czasie jedzenia.

Kiedy kucnęła między drzewami, obejrzała ponownie siniaka na udzie. Przesunęła po nim dłonią i nacisnęła lekko. Skóra była bardzo wrażliwa. Brzegi fioletowej plamy powoli stawały się niebieskie i żółte. Po oględzinach wciągnęła z powrotem spodnie i zapinając guziki, wyszła z lasu.

Chłopak zdążył osiodłać konia i czekał na nią na jego grzbiecie.

– Teraz pójdzie pani szukać swojego brata?

– Spróbuję go znaleźć.

Chłopak wyciągnął rękę w jej stronę.

– Mogę panią zawieźć aż do wysokiego grzbietu – powiedział. – Kościół jest kilka mil za nim, może będzie widać dym. Wciąż jednak uważam, że próba dostania się tam to zły pomysł.

Spojrzała na chłopaka, po czym chwyciła zaoferowaną dłoń i wciągnęła się za nim na konia. Wtedy podszedł do nich jego ojciec. Wyciągnął przed siebie otwartą dłoń z leżącym na niej chromowanym rewolwerem, jakby ofiarowywał jej jakiś dar.

– Był w pani kocu – poinformował, patrząc na trzymaną przez ojca broń.

Mary May spojrzała na starszego mężczyznę, potem na chłopaka, po czym wzięła rewolwer i podziękowała.

– Należał do mojego ojca – rzekła, po czym przypomniała sobie, że zna adekwatne hiszpańskie słowa. – *De mi padre* – dodała.

– *Dónde está tu padre?*

– Nie żyje. Wypadek samochodowy.

Starszy pasterz mlasnął, pokręcił głową i wyraził swoje współczucie. Patrzył za odjeżdżającymi, kiedy chłopak obrócił konia i ruszył przez łąkę między owcami, które rozstępowały się niczym spienione fale na wzburzonym oceanie.

Po jakimś czasie Mary May obejrzała się w stronę obozowiska, ale dostrzegła już tylko coraz cieńszą smużkę dymu; ojciec chłopaka najwyraźniej poszedł przygotowywać się do kolejnego dnia gdzieś dalej.

Wjechali na grzbiet góry, zygzakując wyraźnie wydeptaną ścieżką. Kiedy dotarli na szczyt, chłopak zsunął się z konia i pomógł jej zsiąść. Wskazał dolinę i miejsce, gdzie był kościół, czyli po drugiej stronie niecki, za paroma wzgórzami i potem jeszcze kawałek w stronę jeziora – przestrzeń będącą teraz poza zasięgiem wzroku.

– Brat jest wszystkim, co pani ma, prawda?

– Tak – odparła.

\*\*\*

Will zgubił trop na żlebie. Kilkakrotnie musiał się cofać i ponownie szukać śladów, by zaraz potem na powrót stracić je z oczu. Kiedy wraz z Lonnyem dotarli na grań, zrozumiał, że dalej nie będzie lepiej. Na chłostanej wiatrem nagiej skale nie było żadnej wskazówki.

Podszedł na skraj przepaści i spojrział w dół. Szerokie wachlarze żwiru i pokruszonych kamieni znaczyły zbocze góry i rozciągały się aż po rzeczną dolinę. Niżej wszystko stopniowo znikало pod połaciami turzycy, a dalej był już tylko mrok leśnej gęstwiny.

Gdy wracał znad tej krawędzi, idąc wzdłuż grani, dostrzegł na górskiej łące położonej po drugiej stronie doliny białe grzbiety owiec. Pasły się wysoko na zboczu. Przyglądał się im, aż w pewnej chwili zauważył konnego jeźdźca sunącego przez rozstępujące się stado.

– Poszedłbym tam – powiedział Will. – Gdyby było mi zimno i gdybym

nie wiedział, gdzie dokładnie jestem. Kierowałbym się tam, gdzie są ludzie.

Wskazał Lonny'emu jeźdźca i owce. Potem uniósł karabin do ramienia i omiótł łąkę wzrokiem przy użyciu lunety. Gdy w końcu odjął oko od okularu, podał broń Lonny'emu:

– Widzę dwóch mężczyzn – stwierdził Will. – Nie widzę zaś Mary May.

Lonny długo patrzył przez lunetę. Traper przyglądał się, jak wodzi nią to w jedną stronę, to w drugą. W końcu opuścił karabin i oddał broń Willowi.

– Tam byś poszedł?

– Tam bym poszedł – powtórzył Will.

Jeszcze sporo przed południem przeszli na drugi brzeg rzeki i rozpoczęli wspinaczkę na przeciwległe zbocze, w stronę łąki, pasących się na niej owiec i dwóch obserwujących ich pasterzy.

– *Buenos dias* – powitał ich starszy, wychodząc im naprzeciw od strony wygasłego ogniska.

Will uniósł dłoń i odpowiedział pasterzowi tym samym pozdrowieniem, po czym obejrzał się na Lonny'ego.

– Mówisz po hiszpańsku?

Lonny pokręcił głową.

– Jedynych znanych mi Meksykanów spotkałem w więzieniu, a nawet oni mogli równie dobrze pochodzić z innego kraju, tak wyglądało to miejsce.

Will spojrzał ponownie na pasterza.

– Mówi pan po angielsku?

Zapytany obejrzał się na chłopaka, w którym teraz Will rozpoznał syna starszego mężczyzny. Nastolatek stał przy palenisku i przyglądał się całej scenie. W odpowiedzi na pytające spojrzenie ojca tylko pokiwał przecząco głową.

– *Estamos buscando...* – zaczął Will.

Starał się złożyć zdanie, ale nie znał odpowiednich słów. Kiedy wrócił z wojny, przepracował kilka letnich sezonów na wschodnich polach, ale to



było dawno temu i nawet wtedy nie mówił po hiszpańsku zbyt dobrze.

– *Estamos buscando* kogoś – powiedział ostatecznie, wykonując dość bezsensowny gest.

Starszy pasterz ponownie spojrzął na chłopaka, a ten tylko wzruszył ramionami i przyglądał się dwóm przybyszom.

– Oni nie mają bladego pojęcia, o czym, kurwa, mówisz – zauważył Lonny.

Wyszedł z za Willa, wyminął starszego mężczyznę, podszedł do paleniska i spojrzął na okalające je osmalone kamienie.

– Zapytaj, czy mają coś do żarcia. Albo jakiś alkohol – dodał, oglądając się na Willa i nawet nie próbując się zwracać do pasterzy. – Zabiłbym jedną z tych owiec, gdybyśmy dzięki temu mieli co zanieść Johnowi i reszcie Kościoła.

– *Iglesia?* – zapytał starszy pasterz.

Uniósł dłoń do twarzy i udał gest gładzenia długiej brody, takiej jak te noszone przez Willa i Lonny'ego, a także wszystkich mężczyzn w Bramach Edenu.

– Tak – odparł Will. – *Iglesia*. My obaj. – Wskazał Lonny'ego, a potem przyłożył dłoń do swojej piersi. – *Iglesia*.

– Zapytaj ich o żarcie – przypomniał Lonny, zaczynając obchodzić niewielkie obozowisko i przeglądać różne pakunki i sprzęt obozowy.

Chłopak wodził za nim wzrokiem.

– Do diabła, zapytaj, czy mają jakiś alkohol! Może się nam poszczęści.

Will uniósł dłoń do ust.

– *Comida?* – zapytał starszego, chociaż patrzył na jego syna.

– *No* – odparł pasterz.

– *No?* – zareagował szybko Lonny. – Powiedz im, że są nieuprzejmi – mówił do Willa, ale wpatrywał się w stojącego kilka stóp od niego chłopaka. – Jesteście, kurwa, nieuprzejmi – dodał. – Rozumiesz, pierdolona niemowo? – Lonny pochylił się, rozejrzał po ściółce i zaczął iść w stronę

uwiązanego konia. – Zabieram ich konia i owce i jadę stąd w cholerę. Mam już dość tego... cokolwiek robimy.

Chłopak podbiegł i stanął między Lonny a koniem. Trzymał przed sobą, na wysokości bioder, niewielki nóż, który nagle skądś wy dobył.

Lonny uniósł ręce, po czym spojrzał na towarzysza, a potem na starszego pasterza. Na jego twarzy rósł nieprzyjemny uśmieszek. Wszystko przebiegło tak szybko, że Will nie dostrzegł, co się właściwie stało. Chłopak leżał na ziemi, a z jego nosa płynęła krew. Lonny stał nad nim i butem przyciskał do podłoża przegub ręki, w której młody pasterz trzymał nóż.

Ojciec zaatakowanego obrócił się do napastnika, ale Will był na tyle blisko, że zdążył się na niego rzucić i powalić na ziemię. Potem zdjął karabin z ramienia i wycelował w mężczyznę, który właśnie usiłował wstać. Na odgłos przesuwanej dźwigni zamka stary pasterz zamarł w bezruchu.

Chłopak próbował sięgnąć po nóż drugą dłonią, ale Lonny pochylił się i uderzył go mocno w żebra, po czym sięgnął do unieruchomionej ręki, odebrał mu broń i odrzucił daleko. Cofnął się o krok, a pasterz jęknął i z trudem łapał powietrze.

– Przestań – powiedział ostro Will przyglądający się całemu zajściu. – Próbował tylko chronić swoją własność.

– Swoją? – zapytał Lonny z niedowierzaniem. – Swoją?

Odsunął się od chłopaka jeszcze dalej, zamachnął się i kopnął go w bok tak mocno, że ten aż oderwał się od ziemi i potoczył kawałek, skamłając z bólu. Kiedy się zatrzymał, spróbował podnieść się na czworakach.

– Przestań – powtórzył Will.

Oderwał wzrok od Lonny'ego i spojrzał na starszego mężczyznę, który przyglądał się całemu zajściu. Kiedy przeniósł spojrzenie z powrotem na swojego towarzysza, dostrzegł na jego twarzy ten sam dziki uśmiech co poprzednio.

Lonny kopnął chłopaka dwa razy w bok, kiedy ten usiłował wstać. Teraz próbował odtoczyć się od napastnika, ale Lonny szedł za nim i wymierzał

kopniaki na tyle mocno, że aż dyszał z wysiłku.

– Kiedy oni się nauczą? Kiedy oni wszyscy w końcu, kurwa, rozumieją? – pomstował. – Co należy do nich, należy do mnie. Wydaje im się, że są mądrzejsi ode mnie czy Johna. Że mogą po prostu zamknąć oczy, odwrócić wzrok.

Ponownie kopnął chłopaka. Potem nachylił się, chwycił swoją ofiarę za kołnierz, podniósł na nogi i – nie zwalniając chwytu – drugą ręką zaczął okładać pięścią.

Will ruszył na Lonny'ego, kiedy tylko zdecydował, że musi go powstrzymać. Zarzucił mu od tyłu karabin i przycisnął do szyi, jedną dłonią ściskając kolbę, a drugą lufę, i odciągnął od obozowiska, nie dając mu spokojnie zaczerpnąć powietrza.

– Zabiłbyś go – powiedział. – Uspokój się. Uspokój się, do jasnej cholery.

Starszy pasterz wstał z ziemi i nachylił się nad synem. Will zauważył, że chłopak porusza się bardzo powoli, że oberwał solidnie, ale wciąż żył i był przytomny. Traper odciągnął Lonny'ego jeszcze dalej. Kiedy poczuł, że ten zaczyna omdlewać, poluzował nacisk karabinu i zapytał, czy się wreszcie uspokoi.

Puścił go. Lonny stanął i zaczął rozcierać szyję. Był zwrócony bokiem do Willa i obozu, gdzie starszy pasterz starał się jakoś pomóc synowi.

– Nikogo tu nie ma – wykrztusił.

– To nie znaczy, że możesz ich zabić.

– Widziałeś, jak zareagowali, kiedy wspomniałem Kościół.

– Widziałem, jak zareagowali, kiedy chciałeś ich okraść. Musisz ochłonąć, Lonny. Musisz przez chwilę pomyśleć.

Żyłasty brodacz wciąż rozcierał szyję.

Spojrzał na Willa.

– Nadszedł czas, by się dowiedzieli. By wszyscy się dowiedzieli, co ich czeka.

– Czyli co? – zapytał Will.

– Zbliża się koniec i mogą albo pomóc nam i dostąpić ocalenia, albo się nam sprzeciwić i spłonąć ze wszystkimi pozostałymi.

Will przyglądał się Lonny'emu. Nie wiedział, co powiedzieć.

– Jesteś pieprzonym świrem – wykrztusił w końcu.

– Nie – odparł Lonny. – Jestem wiernym, który przeżyje. Płyniemy arką, wszyscy, tylko niektórzy z nas jeszcze o tym nie wiedzą.

Will spojrział jeszcze raz na towarzysza, a potem na starszego pasterza klęczącego nad synem i pocieszającego go. Kiedy do niego podszedł, mężczyzna odwrócił się, wyciągnął w jego stronę otwartą dłoń.

– *Ella fue a la iglesia. Allá.* – Po tych słowach wskazał grzbiet górski.

Will przyjrzał się górze. Chciał coś powiedzieć, ale nie było słów, które w jakikolwiek sposób poprawiłyby sytuację. Działy się tu rzeczy dla niego niezrozumiałe. Zerknął na Lonny'ego i jeszcze raz popatrzył na grań.

\*\*\*

Jastrząb ponownie przeleciał nad Mary May. Teraz, kiedy ptak zawrócił, unoszony prądami ciepłego powietrza, jego cień był widoczny na trawie. Była w połowie drogi przez łąkę biegnącą środkiem doliny. Spojrzała w niebo i spróbowała wypatrzeć drapieżnika.

Chociaż przeczuwała, że to, co zamierza zrobić, nie ma ani sensu, ani szans powodzenia, ruszyła przed siebie, w stronę wskazaną przez chłopaka. W myślach rozważała cały czas pytanie, które jej zadał. „Brat jest wszystkim, co pani ma?”.

Drew był od niej trzy lata młodszy; jego klasa była ostatnią w miejscowym liceum, zanim je zamknęli. Ona przez pewien czas po prostu pracowała. Zajmowała się barem, tak jak zawsze robiła, co do niej należy, i nie myślała o bracie. Czasem tylko zjadali wspólnie posiłek albo trafiała na niego, kiedy wpadał na chwilę do domu rodziców. Nie chciała się rzucać w oczy, oszczędzała i starała się pomagać rodzicom z interesem.

Kiedy przyszedł i oznajmił jej, że wyjeżdża – że wstąpił do wojska i lada dzień zaczyna szkolenie – nie wiedziała, co powiedzieć. Zrozumiała, że już od dłuższego czasu, odkąd przestali być dziećmi, w ogóle z nim nie rozmawiała. Nigdy nie przyszło jej do głowy, by zapytać go o coś poważniejszego.

Szła dalej. Myślała o słowach syna pasterza. O tym, co zrobi, kiedy znajdzie brata; jak ma zamiar postąpić, jeśli się okaże, że Drew jest kimś innymi, niż ona sądzi.

– Mam nadzieję, że ty dla niego znaczysz tyle samo, co on dla ciebie – powiedział chłopak, kiedy się rozstawali.

Potem zawrócił konia, skinął jej lekko głową i skierował się z powrotem do obozowiska.

\*\*\*

Will dotarł na grań pierwszy, a po chwili Lonny do niego dołączył. Skorzystali z tej samej idącej zakosami ścieżki, na której widniały ślady końskich kopyt. Była pokryta turzycą i owczymi odchodami.

Kiedy Will obejrzał się na stado wciąż pasące się w dole, nie zdołał pod osłoną drzew dostrzec obozu. Od rozstania z pasterzami zamienił z Lonnym zaledwie kilka słów, ale co pewien czas słyszał pomruki niezadowolenia i utyskiwania, że jeśli chcą dogonić Mary May, powinni chociaż wziąć konia.

– Tak to teraz jest? – zapytał Will. – My przeciwko nim?

– Zawsze tak było – odparł Lonny.

– Kiedy przyszli do mnie i zaoferowali mi miejsce u siebie, byłem im za to wdzięczny. Nie próbowali mnie przymusić.

– Prostsze czasy – stwierdził drugi mężczyzna. – Teraz nadchodzi taki moment, kiedy nie będzie już tak prosto. Im więcej nas będzie, im więcej będziemy mieli chętnych do wysłuchania słów Ojca, tym lepiej dla nas wszystkich.

– Zachowujesz się, jakby świat miał się skończyć już jutro.

– Może nie jutro, może nie pojutrze, ale to nie znaczy, że koniec się nie zbliża. A przetrwają ludzie tacy jak ty i ja.

– A jakiego niby rodzaju ludźmi jesteśmy? – spytał Will.

– Takimi, którzy robią to, czego tamci potrzebują.

– Nie jeśli w tym celu trzeba innych wziąć pod but.

– Ty i ja – powtórzył Lonny. – Inaczej widzimy świat, ale jesteśmy tacy sami.

– Wszyscy mamy swój cel w życiu – stwierdził Will, wracając myślami do tego, co usłyszał od swojego kompana o pustym domu Kershawów.

– Właśnie – zgodził się Lonny. – To ciągle powtarza John. Wszyscy mamy swój cel w życiu. Wszyscy musimy wypełniać swoje obowiązki względem Kościoła.

Gdy dotarli na szczyt grani, Will zorientował się, że przypomina ona tę poprzednią. Po jednej stronie było zbocze umożliwiające wędrowkę, po drugiej zaś skała opadała niemal pionowo w dół, jakby cała ziemia została wybrana stąd dłonią przez jakiś niebiański byt. Przepaść była stroma i groźna, a dno miała zasłane kamieniami osypującymi się z miejsca, w którym właśnie stali.

Will zatrzymał się i spojrzął w dolinę. Zaczekał, aż Lonny zrobi te ostatnie parę kroków i stanie obok niego, po czym zdjął karabin z ramienia, odsłonił soczewki lunety i przyłożył okular do oka. Dolina była szeroka, z dużą porośłą turzycą i trawą łąką, którą myśliwy właśnie przeczesywał wzrokiem. Kiedy oderwał oko od lunety, niemal nie mógł uwierzyć, że znalazł Mary May.

Szła przez sam środek pola, widział ją wyraźnie. Zostało jej jeszcze jakieś ćwierć mili do linii lasu. Will ponownie spojrzął przez lunetę i przez chwilę obserwował Mary May. Kiedy skończył, przystanął na moment i spoglądał na łąkę. Kobieta była małą kropką na morzu trawy. Gdyby nie luneta, nie zdołałby jej wypatrzeć.

Nie odrywając wzroku od idącej, podał karabin Lonny'emu.

– Popatrz sam – zwrócił się do niego, cały czas pilnując maleńkiej postaci w oddali.

Nad jej głową przesuwawała się inna kropka – jastrząb, który przeszywał ciepłe powietrze.

– Widzisz tego jastrzębia? Spójrz na niego przez lunetę, a potem opuść karabin na łękę.

Przyglądał się, jak Lonny odszukuje jastrzębia, a potem powoli opuszcza lufę, aż do punktu, w którym zobaczył Mary May.

– John będzie bardzo zadowolony – stwierdził Lonny.

Oderwał oko od lunety i spojrzał na Willa. Wtem rozległ się huk wystrzału z karabinu – ale nie tego, który trzymał Lonny.

Traper obrócił się i ruszył w stronę źródła dźwięku. Dobiegał z górskiej łąki, ledwo co przez nich opuszczonej. Potem padł kolejny strzał. Odgłos poniósł się echem i odbijał wielokrotnie to od jednego, to od drugiego skraju doliny. Potem rozległy się kolejne wystrzały: terkot broni automatycznej i potężny huk strzelby.

Z początku sądził, że podążyli za nimi pasterze. Albo lepiej: że zajęli jakąś pozycję, by dokonać zemsty. Ale kiedy Will wyjrzał spoza sterty luźnych kamieni na położone niżej pastwisko, dostrzegł starca i nastolatka. Strzelali w stronę pięciu mężczyzn sunących w górę przez łąkę – prosto do miejsca, gdzie teraz znajdowali się Will i Lonny.

Na czele pochodu, wśród pierzchających owiec, które kotłowały się i napierały niczym jakiś biały huragan, kroczył John Seed. Przed sobą trzymał dużą metalową antenę, przypominającą kratownicę. Will od razu ją rozpoznał i zrozumiał, że John nie polował na wilki, ale na nich i Mary May. Powinien był to wiedzieć od początku.

Pasterz wystrzelił ponownie. Ludzie Johna uchylili się, po czym znów zaczęli strzelać ponad grzbietami owiec, nie przestając sunąć przez pastwisko. Will przyjrzał się jednemu z nich, jak ostrzeliwuje obozowisko,

jak pociski jego kałasznikowa wzbijają w powietrze kłęby ziemi.

Od strony lasu padło jeszcze kilka pojedynczych wystrzałów z karabinu, ale Will nie mógł już wypatrzeć strzelców. Pasterze byli schowani gdzieś pod drzewami i mierzyli do mężczyzn przedzierających się między owcami. Chwilę później traper usłyszał stukot kopyt i zobaczył starca z synem dosiadających razem konia: jechali dolnym skrajem łąki, z dala od obcych. Kilku ludzi Johna strzelało jeszcze za nimi, celując ponad grzbietami owiec.

Gdyby w końcu nie przestali strzelać, Will mógłby nie usłyszeć szczęku własnego karabinu. Ale rozległ się blisko, a do tego był aż nazbyt znajomy, traper obrócił się więc niemal w tej samej chwili, kiedy Lonny odbezpieczył broń. Żyłasty mężczyzna miał na muszce idącą doliną Mary May. Nie musiał przesunąć dźwigni, by umieścić nabój w komorze, ponieważ – co Will nagle zrozumiał ku swemu przerażeniu – traper zrobił to już wcześniej.

\*\*\*

Mary May przeszła już trzy czwarte łąki, kiedy usłyszała huk gromu. Stanęła i spojrzała w niebo. Było błękitne niczym jajo drozda. Obróciła się w stronę grani, z której zeszła, po czym zrobiła ku niej kilka kroków.

Ponownie usłyszała grzmot, lecz zrozumiała, że to nie burza. Odgłos szybko się rozchodził i był raczej pomrukiem, przypominał echo odległego gromu. Ale w tym nowym dźwięku dosłyszała trzask karabinu, który dobrze знаła, bowiem towarzyszył jej przez całe życie spędzone na wsi.

Nie odrywała wzroku od grani i zastanawiała się, czy mogła zaradzić temu, co się stało – cokolwiek to było – by po chwili ruszyć energicznym krokiem w drogę powrotną. Wkrótce zerwała się do biegu i wydobyła rewolwer zza paska, ściskając mocno rękojeść w dłoni, żeby go nie zgubić. Była już niemal w połowie drogi, kiedy strzały ucichły i na chwilę świat zdał się wrócić do normy. Skupiła się na powiewie wiatru poruszającym gałęziami odległych drzew, słońcu na niebie...

Pocisk minął ją w odległości nie więcej niż stopy. Przeleciał



w powietrzu, po czym wbił się w ziemię kolejne dziesięć stóp dalej. Poczowała na twarzy pęd powietrza, obróciła się i zobaczyła chmurę kurzu wzbitego z ziemi. Stała jak wryta. Powoli do niej docierało, co się właśnie stało. Wówczas na szczycie grani rozległ się odgłos kolejnego wystrzału.

\*\*\*

Will dopadł Lonny'ego, kiedy ten pociągał właśnie za spust. Traper powalił żyłastego mężczyznę na plecy. Karabin wysunął się z rąk strzelca, przejechał kawałek po kamieniach, po czym ześlizgnął się przez krawędź grani i zniknął im z oczu.

Lonny zerwał się z ziemi i uniósł obie ręce niczym zapaśnik przyjmujący pozycję wyjściową.

– Chciałeś ją zastrzelić – powiedział Will.

Dzieliło ich nie więcej niż pięć stóp. Will obserwował Lonny'ego, okrążającego go cały czas z uniesionymi rękami i ze wzrokiem utkwionym w oczach trapera.

– Lepiej zrobić to tutaj. Żeby wyglądało, jakby poszła w las i nigdy z niego nie wróciła.

– Chryste, Lonny. Mieliśmy ją znaleźć. Kazali nam ją odszukać i jej pomóc.

Lonny zaatakował szybko pięścią i Will miał tylko chwilę na kontrolowany upadek, amortyzowany jedną ręką. Momentalnie zerwał się na nogi. Czuł się zbyt stary i zbyt powolny na walkę z Lonnym, z którego szybkością nie mógł się równać. Żyłasty mężczyzna uśmiechał się do niego; ponownie wyprowadził cios pięścią, która otarła się o prawy policzek Willa. Obaj wciąż mieli na ramionach plecaki i to z ich powodu ruchy walczących były pokraczne i niezborne. Will zatoczył krąg na szczycie grani, po czym zszedł niżej, starając się utrzymać poza zasięgiem rąk Lonny'ego.

– Jesteś całkiem zwinny jak na takiego staruszka – zauważył Lonny, po czym nagle skrócił dystans i wyprowadził mocny cios od dołu, trafiając

Willa w żebra. – Ale wciąż pozostajesz staruszkciem.

Will zgiął się w pół i uszło z niego całe powietrze. W czasie gdy starał się rozpaczliwie złapać dech, Lonny wyprowadził drugą pięścią cios prosto w kość policzkową trapera.

Will upadł twarzą na wygładzoną wiatrem skałę grani. W miejscu gdzie trafiła pięść Lonny'ego, skóra go paliła, a mięśnie brzucha kurczyły się i rozciągały, tak jakby w jego trzewiach dochodziło do przeciągania liny. Spróbował się odtoczyć, ale Lonny go kopnął; Will wykorzystał siłę uderzenia, żeby sturlać się z grani i wylądować cztery stopy niżej.

Czuł się, jakby ktoś rzucił mu pod nogi dynamit. Został wyrzucony w górę i wylądował ledwie żywy czterdzieści stóp dalej. Nie miał pewności, czy sobie czegoś nie złamał. Różne części ciała bolały go tak mocno, jak się nie zdarzyło już od lat, ale Will doskonale wiedział, że musi wstać. Wiedział, że musi się zebrać i powstrzymać Lonny'ego przed tym, co ten zamierzał zrobić.

Stanął więc szybko i otrząsnął się, akurat kiedy Lonny dotarł na skraj niewielkiej półki skalnej. Zdołał go zaskoczyć i chwycić za jedną z nóg, po czym pociągnął mocno i powalił brodacza na plecy. Usłyszał odgłos trzaskającej o skałę kości: Lonny najpierw uderzył o ziemię plecakiem, a potem szarpniętą w tył siłą bezwładności głową. Will okrążył go, rżąc i trzymając się ręką za brzuch. Wszedł na skalny występ, na którym Lonny właśnie przetaczał się na bok. W jego włosach i na skale – w miejscu gdzie uderzył głową – można było dostrzec krew.

Zanim Will zdołał go dopaść, ten zdążył się obrócić i unieść na jedno kolano. Po chwili stał już na nogach i Will począł obchodzić go łukiem, wypatrując czegokolwiek, co mógłby wykorzystać do obrony. Lonny dostrzegł to, ponownie uniół pięści i ruszył na trapera. W pobliżu leżało kilka luźnych kamieni, chwycenie których Will przez chwilę rozważał, ale dostać się do nich oznaczałoby wejść w zasięg ramion Lonny'ego.

Myśliwy wycofał się tak daleko, jak tylko zdołał. Poruszał się

z powrotem w stronę grani, podczas gdy Lonny postąpił za nim. Po szyi napastnika ściekała skapująca z włosów krew. Will obejrzał się i tym razem nie dostrzegł niczego, co mogłoby go powstrzymać. Gdzieś tam w dole był karabin. Dziesięć stóp niżej? Pięćdziesiąt? Sto? Obejrzał się jeszcze raz; od krawędzi dzieliły go teraz już tylko cale, ale dostrzegł za to broń. Zatrzymała się na niewielkim występie jedynie trzy stopy niżej. Will poruszył się, ale w chwili kiedy uznał, że to może być jego jedyna szansa, Lonny zamachnął się i wyprowadził prawy sierpowy, którego traper spróbował uniknąć, rzucając się w stronę karabinu.

Gdyby tuż przed atakiem nie zdecydował się na skok, pięść napastnika by go dosięgła. Ale teraz, kiedy Lonny zaczynał tracić równowagę, osłabł i miał rozciętą skórę z tyłu głowy, cios chybił. Will obrócił się w tej samej chwili, kiedy pięść go mijała. Ręka poleciała dalej siłą rozpędu i skrzyła cały tułów żyłastego mężczyzny tak mocno, że przeleciał przez krawędź grani i runął w przepaść.

Will spojrzął za nim, kiedy ten spadał. Zdało mu się, że minęła minuta, zanim Lonny uderzył w ziemię, ale na pewno była to sekunda, może dwie. Mężczyzna wylądował na kamiennym osypisku sto stóp niżej, odbił się od niego w dziwny sposób, po czym rozkołysany zjechał w dół zbocza z rozrzuconymi rękami i nogami, aby w końcu zatrzymać się wśród większych głazów u podnóża osuwiska.

Will stał w miejscu i wpatrywał się w dół. Jedno z ramion Lonny'ego leżało nienaturalnie wykrzywione i przygniecione ciałem, a zwrócona twarzą w górę głowa sprawiała wrażenie, jakby została odczepiona, odciągnięta od barków, trzymała się bowiem tylko na skórze szyi.

Will kucnął, a następnie położył się na skraju przepaści. Sięgnął dłonią w stronę karabinu i po chwili chwycił za kolbę. Szybko odciągnął dźwignię i obejrzał uważnie broń z obu stron, omiatając wzrokiem drewno i metal. Wyglądała na sprawną, ale kiedy uniósł okular do oka, zobaczył pęknięcie na soczewce. Mimo tej wady spojrzął przez lunetę na łąkę, którą ledwie

kilka minut temu szła Mary May.

\*\*\*

Chociaż płuca ją bolały, łapały powietrze tak łapczywie, jakby ono samo im nie wystarczało, naczynia wieńcowe paliły zaś jak rozbłyskujące w oddali gwiazdy, migoczące gdzieś daleko, ale z każdą chwilą coraz bliżej – Mary May biegła. Była wykończona, ale pędziła, prosto przed siebie, bez oglądania się za plecy, bez przerwy. Cholera, nie było mowy, żeby pozwoliła się komukolwiek złapać. W szachownicy cienia i przenikających spoza sosnowych gałęzi promieni słonecznych świat kołysał się w jej polu widzenia, jakby szarpała nim diabelska piła orząca glebę gdzieś głęboko, wydawać by się mogło, że aż w jądrze Ziemi.

Dopiero obezwładniający lęk, kiedy uświadomiła sobie, że ktoś może usłyszeć każdy jej krok, każde uderzenie buta o skałę i nastąpienie na igliwie, sprawił, że przerwała bieg i stanęła. Obróciła się w prawo i oparła plecami o gruby pień wysokiej sosny, starając się uspokoić oddech. Nagle dotarło do niej, jak bardzo jest osamotniona, jak odległa jest możliwość jakiegokolwiek pociechy, jakiegokolwiek ratunku. Na rozległej, oświetlonej słońcem łące, z której właśnie uciekła, nie widziała nikogo. Nie słyszała już żadnych odgłosów, odkąd kula przeleciała koło niej i uderzyła w ziemię ledwie dziesięć stóp dalej.

Musiała stąd uciec, teraz. Rozejrzała się po skąpanym w półmroku lesie. Teraz już wiedziała, dlaczego tak wielu spośród pierwszych osadników ginęło bez wieści w miejscach podobnych do tego. Wszędzie wokół otaczały ją sosny – smukłe niczym strzały, o pniach jak słupy telefoniczne, jedna podobna do drugiej, jak w jakimś domu strachu w lunaparku, z którego nie było ucieczki.

\*\*\*

Will zszedł z grani, na wpół się ześlizgując, na wpół idąc po luźnym żwirze

zebranych u podstawy skalnej ściany. Kiedy dotarł do Lonny'ego, jego otwarte oczy były już nieruchome, a z boku głowy, od policzka po ucho, miał paskudne rozcięcie. Kark był ewidentnie złamany, a skóra posiniaczona w wielu miejscach. Kiedy Will schylił się i chwycił go za ramię, by przewrócić mężczyznę na brzuch, poczuł, że wszystkie mięśnie są rozluźnione, a ciało całkowicie bezwładne.

Mimo to przetoczenie mężczyzny wymagało pewnego wysiłku. Był, co prawda, lżejszy od trapera, ale poruszenie go wymagało trudu. Will poczuł wyraźny zapach wyciekających z ciała płynów. Gdy wreszcie odepchnął martwego do końca, sięgnął do jego plecaka.

Poluzował sznurek ściągający materiał i począł wyciągać po kolei zawartość, układając wszystko obok. Większość przedmiotów Will widział już, kiedy obozowali poprzedniej nocy. Ale gdy natrafił na wilczą obrozę z nadajnikiem, ani trochę go to nie zdziwiło. Wyjął ją ze środka i wstał, by się jej lepiej przyjrzeć. Obrócił obrozę w dłoni. Ważyła kilka funtów i z boku miała niewielki przełącznik.

Will stał tak przez dziesięć sekund i przyglądał się znalezisku, po czym włożył je z powrotem do plecaka wraz z resztą rzeczy Lonny'ego i przewrócił jego zwłoki na plecy. Spojrzał w górę, w stronę miejsca, gdzie niedawno stał, po czym przeniósł wzrok na łąkę rozciągającą się sto stóp w dół zbocza, może trochę niżej. Odwrócił się i ruszył w kierunku, w którym zmierzała Mary May. Miał świadomość, że Bramy Edenu nie są zbyt daleko.

Kiedy dotarł na drugi kraniec pola, na grani pojawiły się jakieś postacie. Przyglądał się im. Sam stał już pod osłoną drzew, nie chciał, żeby go dostrzegli. Uniósł karabin i spojrział przez lunetę. Obserwowani patrzyli w dół, na miejsce, w którym leżał Lonny.

Nie spuszczał ich z oczu wystarczająco długo, by zobaczyć, jak ruszają gęsiego wzdłuż grani i docierają w miejsce, w którym on zaczął schodzić na dół. Potem szli przez zwały luźnych kamieni i żwiru, tak jak on to robił.

John ponownie kroczył na przedzie, trzymając przed sobą antenę i bez wątpienia namierzając w ten sposób nadajnik przymocowany do wilczej obroży z plecaka Lonny'ego.

\*\*\*

Mary May czekała, żeby zobaczyć, ilu ludzi za nią podąża. Obserwowała z oddali sylwetkę jednego mężczyzny. Ten zszedł na dół i ruszył przez łąkę niemal tą samą trasą, którą ona wcześniej obrała. Widziała karabin przewieszony przez plecy. Mężczyzna zatrzymał się w połowie drogi i przyjrzał czemuś, co dostrzegł w trawie. Co prawda, już wcześniej nie miała wątpiwości, że jest śledzona, lecz dotychczas tak naprawdę nie przypuszczała, że istotnie ktoś może ją złapać.

Nie chcąc dawać mężczyźnie więcej czasu na dogonienie jej, zdjęła buty i wsunęła do środka skarpetki. Następnie, z butami w dłoniach i rewolwerem zatkniętym za plecami, ruszyła szybkim krokiem na północ, w górę niewielkiego wzniesienia, z którego miała nadzieję rozejrzeć się po okolicy. Poruszała się bardzo ostrożnie, wiedząc, że jeśli idący za nią mężczyzna wytropił ją tutaj, to raczej nieprędko zgubi trop.

Szła boso po dywanie opadłego igliwia, często się zatrzymując, by spojrzeć za siebie. Zostawiała mniej śladów, ale nadal tu i ówdzie widać było zagłębienia po stawianych stopach. Wychowała się w tych lasach. Ojciec i jego przyjaciele nauczyli ją tropić i polować, więc wiedziała doskonale, że doświadczony myśliwy zdoła wywęszyć praktycznie wszystko na dowolnym terenie, no, poza wodą i całkowicie nagą skałą.

Z wyciągniętymi przed siebie rękoma wspinała się metodycznie na wzgórze. Zbocze robiło się coraz bardziej strome, czego nie przewidziała, a dodatkowo większość drogi przed nią przesłaniały pnie gęsto rosnących drzew i krzaków podszycia leśnego. W połowie drogi upadła i ześlizgnęła się cztery stopy niżej. Szybko wstała z powrotem i spojrzała na ciemną smugę, którą pozostawiła na igliwiu. Nie mogła nic na to poradzić, więc

tylko ruszyła dalej szybszym krokiem.

Wkrótce dotarła na szczyt wzniesienia i po rzuceniu szybkiego spojrzenia za siebie podciągnęła się na spory skalny występ. Położyła się na nim na płask, żeby jak najmniej było ją widać. Skala przecinała szczyt wzgórza niczym kręgosłup, ale w odróżnieniu od pokonywanych wcześniej grani i gór nie zapewniała tak dobrego widoku, na jaki liczyła. Wystawała ponad ziemię tylko na tyle, by Mary May mogła się pobieżnie rozejrzeć po okolicy.

W ciszy, która nastąpiła po wsłuchiwaniu się w bicie własnego serca, wydało jej się, że słyszy czyjś oddech. Wstrzymała własny i zamarła w bezruchu. W oddali, gdzieś na drugim zboczu wzniesienia, rozległ się krzyk spłoszonej dzierzby. Dźwięk poniósł się echem po lesie, a ptak z trzepotem skrzydeł wzbił się w górę, minął szczyt wzgórza i odleciał dalej w las.

Przez chwilę odprowadzała wzrokiem odlatującego ptaka. Mógł zostać spłoszony przez jakiegoś drapieżnika, jednakże Mary May zdawała sobie sprawę, że było to tylko pobożne życzenie, że gdzieś tam w dole był tropiący ją mężczyzna z karabinem.

Przez krótki moment spoglądała w dół, w przyćmione leśne światło. Było już dobrze po południu i słońce zaczynało swoją wędrówkę w dół. Opuściła się z powrotem na ziemię, po czym pełzła na brzuchu, dopóki nie mogła bezpiecznie wstać niezauważona. Wiedziała, że gdzieś w tam dole biegnie droga, a jeszcze dalej jest kościół stojący nad jeziorem, w którym miała nadzieję go znaleźć. Swojego brata.

Wychowała się w tym hrabstwie i doskonale znała te drogi, te lasy, te góry. Chociaż nigdy się tak daleko nie zapuściła, ani też nie schodziła ze ścieżek łączących liczne jeziora i biegnące wzdłuż nich góry, wiedziała, gdzie główna droga styka się z granicą ziemi Bram Edenu, zatem przeliczyła wszystko w głowie i ustaliła właściwy azymut. Wzgórza porastały sosny i osiki, a niżej, na podmokłym terenie zaczynającym się jakąś milę stąd,

rosły brzozy. Zanim dotrze do żwirowisk i łąk położonych tuż przy drodze, cały czas będzie miała gdzie się ukryć.

Spojrzała po raz ostatni poza skraj wystającej skały, po czym odwróciła się i ruszyła w dół zbocza. Po przejściu kilkuset stóp zatrzymała się i spojrzała za siebie. Tam, gdzie jeszcze niedawno leżała i rozglądała się po okolicy, stał mężczyzna, którego widziała wcześniej. Patrzył na nią.

\*\*\*

Will nie uniósł i nie wymierzył w nią karabinu, nawet nie wykonał najmniejszego ruchu. Stał na niewielkim wzniesieniu i spoglądał w dół, na nią. Dorosła, odkąd widział ją ostatni raz. Miała na sobie dżinsy, koszulkę i brudną, zapinaną na suwak bluzę. Stała tak, z butami w rękach, patrząc na niego. Jeśli go rozpoznała, to nie pokazywała tego po sobie.

Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, puściła się biegiem. Nie ruszył od razu w pogoń. Wiedział, dokąd zmierza. I chociaż zdjęła buty i zacierała pozostawiane ślady, teraz już wiedział, że nie będzie miał problemów z podążaniem za nią. Martwiło go co innego: wzbierające stopniowo w brzuchu ból i nudności. W związku z tym szedł lekko zgięty, z ręką przyciśniętą do miejsca, w które Lonny najpierw uderzył go pięścią, a potem kilkakrotnie kopnął. Dotąd skutki starcia – obity organ wewnętrzny czy pęknięte żebro – ukrywała przed nim adrenalina wpompowana do krwi podczas walki. Ale teraz, z każdym krokiem, stan lekkiej euforii i koncentracji ustępował miejsca bólowi.

Spojrzał w punkt, gdzie jeszcze przed chwilą stała Mary May, po czym ruszył w dół zbocza, prosto w las. Mignęła mu na chwilę, biegnąc między pniami. Smugi światła błyskały, kiedy je przecinała. Zrobił kilka kroków przed siebie. Teraz ból w brzuchu był już na tyle silny, że wykrzywił mu twarz. Zatrzymał się, rozejrzał, ale jej już nie było. Will zastanawiał się, ile mu zostało czasu. Pomyślał o Lonnym i o tym, co ten mu powiedział, zanim spadł z półki skalnej.



Potem zgiął się wpół, a treść żołądka chlusnęła mu z ust i rozbryznięła się na ziemi. Opadł na kolano i poczuł niemal natychmiastową ulgę. Ponownie mógł oddychać, a mięśnie żołądka nie sprawiały już wrażenia zawiązanych na supeł. W wymiocinach dostrzegł krew i ponownie się zastanowił, co za cholera w nim siedziało; czy to były wrzody, czy też rezultat łomotu, jaki odebrał ledwie pół godziny temu? Nie było czasu na rozmyślanie; dźwignął się więc na nogi i obejrzał za siebie.

John wciąż tam był z czwórka swoich ludzi i jeśli którykolwiek z nich umiał tropić, z pewnością wkrótce go znajdą. Will popatrzył na szczyt wzgórza, na ścieżkę, którą schodził. Nie miał pewności, co robić. Nie wiedział, co się stanie, a raczej co się miało stać.

John powiedział, że chce pomóc Mary May, tak jak on i Ojciec jemu pomogli, tak dawno temu.

Odwrócił się i ponownie spojrzął w ostatnie miejsce, w którym widział uciekającą. Stracił zbyt wiele czasu i dobrze o tym wiedział. Dziewczyna bała się pościgu, a teraz wręcz wiedziała, że ktoś ją śledzi. Zawołał ją, najpierw cicho, a potem, po zrobieniu paru kroków, złożył dłonie w tubę i krzyknął głośno. Wołał, że ją obroni. Że zapewni jej bezpieczeństwo, że jej pomoże, ale nie będzie mógł tego zrobić, jeśli ma zamiar nadal uciekać. Że nie może nic dla niej zrobić, jeśli jej nie znajdzie. Ponownie wykrzyczał jej imię.

– Mary May – zawołał. Poczekał, aż echo wybrzmi, i krzyknął jeszcze raz.

\*\*\*

Gdy Mary May usłyszała swoje imię, zwróciła się w stronę, skąd dobiegało wołanie. Zawahała się i przez sekundę rozważała poniechanie dalszej ucieczki. Ale przecież do niej strzelano, a mężczyzna, który zapewne pociągnął za spust, cały czas za nią szedł i teraz, tak jak myśliwy naśladujący łosia, wołał ją po imieniu w nadziei, że się zatrzyma i pozwoli

mu się zbliżyć.

Dwadzieścia minut później zobaczyła drogę. Cofnęła się po własnych śladach i przecięła las w taki sposób, że w przyszłości archeologowie badający odlewy jej śladów w błocie będą się zastanawiali, czy nie była już w jakiś sposób ranna lub nie majaczyła, ruszając w stronę najbliższego dołu ze smołą.

Wypadła spomiędzy drzew na teren porośnięty dereniem i jarzębem, z wyłaniającymi się tu i ówdzie połaciami turzycy. Mięśnie nóg zaczynały ją już piec, a dłonie i przedramiona, choć silne, bo zaprawione latami pracy w barze, miała pokryte zadrapaniami, drobnymi rozcięciami i siniakami.

Nie miała pojęcia, gdzie się podział śledzący ją mężczyzna, w każdym razie już go więcej nie widziała. Zatrzymała się i nasłuchiwała dźwięków lasu. Kiedy upewniła się, że zgubiła prześladowcę, włożyła z powrotem buty na nogi. Jakąś milę wyżej, za granią, usłyszała silnik sporego samochodu nadjeżdżającego od strony gór, z północy.

Usiłowała wychwycić coś więcej, ale zdołała tylko w przybliżeniu ustalić, że to była chyba ciężarówka do przewożenia drewna, chociaż zdawało się to niemożliwe. Kościół przecież już całe lata temu wykupił i zamknął tartak.

Kiedy dotarła do drogi, nie wyszła od razu na nią. Blask dnia już gasł i zaczynała odczuwać zimno. Nie miała jak ustalić, gdzie konkretnie znajdują się Bramy Edenu, czy miała iść w lewo, czy w prawo; wiedziała jedynie, że prowadziła tam ta droga. Zaczynała już dygotać, a mrok wokół niej gęstniał. Myśl o spędzeniu kolejnej nocy w dziczy wprawiała ją w przygnębienie. W końcu wyszła na jezdnię i zaczęła biec; czuła pracę płuc w piersi, powiew powietrza na skórze.

Kiedy daleko przed nią samochód zaczął pokonywać zakręt i światło reflektorów powoli sunęło w jej stronę, szybko zeskoczyła z nasypu i ukryła się wśród krzaków. Ale pojazd, który okazał się pikapem, nie minął jej, tylko stanął jakieś pięćdziesiąt stóp od niej. Strumień światła reflektorów

rozlewał się po betonie, a ostatnie promienie zachodzącego słońca malowały wszystko wokół na ognistą czerwień.

Usłyszała, jak drzwi pikapa się otwierają, a zaraz potem chrzęst butów na podłożu i zobaczyła na tle reflektorów sylwetkę idącego w jej stronę mężczyzny. Wycofała się, zwiększyła dzielącą ich odległość, niemal pewna, że znowu będzie musiała biec. Szykując się do ucieczki na złamanie karku, pomyślała, że ktokolwiek ją zobaczy, ruszy za nią i dokończy to, co się zaczęło kilka dni temu.

Ale kiedy mężczyzna zawołał ją po imieniu, zrozumiała, że to nie był ten sam głos, który słyszała w górach. To nie był głos Johna, lecz inny, znajomy, którego nie słyszała od bardzo dawna. Wstała i ruszyła w stronę samochodu. Ponownie usłyszała swoje imię, podeszła więc do drogi, niemal nie mogąc uwierzyć, że go znalazła, albo że to właściwie on ją znalazł.

– Drew? – zapytała z niedowierzaniem.

\*\*\*

Stał na skraju drogi i patrzył na nią z góry. Był chudszy, niż go pamiętała, ale jednocześnie miał bardziej rozbudowane ramiona i klatkę piersiową. Chociaż dolną część twarzy przesłaniała broda, skórę i oczy miał takie same i Mary May nie miała wątpliwości, że oto stoi przed nią brat, o którym tak często myślała i na poszukiwania którego wyruszył jej ojciec.

– Drew – powtórzyła jego imię tylko po to, by je wymówić, tak jakby się obawiała, że później nie może mieć już na to szansy.

– To ja – odpowiedział.

Podszedł do niej, podał rękę i wyciągnął ją z przydrożnego rowu. Był od niej o kilka cali wyższy. Przyciągnął ją do siebie i przytulił, po czym przez dłuższą chwilę nie wypuszczał z objęć.

– Słyszałeś o tatku? – zapytała. – I mamie?

Puścił ją. Stał cały czas tuż obok, z dłońmi opartymi na jej ramionach.

– Słyszałem – odparł. – Słyszałem, co się stało.

– On chciał cię zabrać do domu.

Nie zdołała powstrzymać łez. Odwróciła wzrok, a on przyciągnął ją ponownie do siebie. Czowała ciepło jego uścisku, pierś unoszącą się i opadającą w oddechu. Oparła na nim głowę i płakała przez, zdało jej się, bardzo długą chwilę.

Kiedy szlochy ustały, wytarła oczy dłonią, odsunęła się od niego i zebrała w sobie.

– Zawiozę cię do domu – powiedział. – Zabiorę gdzieś, gdzie jest ciepło. Zjesz coś, napijesz się wody. Zabiorę cię gdzieś, gdzie będziesz bezpieczna.

Przyglądała mu się przez chwilę bez ruchu, wyczekując następnych słów. Ledwie mogła uwierzyć, że on tu jest, że ją znalazł, że zabierze ją daleko od tego wszystkiego i świat będzie mógł być na powrót takim, jakim zawsze powinien.

– Chodź – zachęcił ją.

Zaczął ją prowadzić do pojazdu, ale ona się zatrzymała, a chwilę potem on też stanął. Przyjrzała się znakom na boku karoserii, a potem przeniosła wzrok na niego.

– Tym przyjechałeś? Jednym z ich pikapów. Jednym z kościelnych.

Popatrzył na nią, jakby myślał, że zwariowała.

– Wszystko będzie w porządku – zapewnił ją. – Nic ci się nie stanie. Zabiorę cię do domu. Zobaczysz. Jestem twoim bratem. Ze mną nic ci nie grozi.

Spojrzała na niego. Pozwoliła jego słowom wybrzmieć.

– Zabierzesz mnie do domu? – zapytała. – I pójdziesz ze mną?

– Tak – odpowiedział. – A teraz wsiądź do środka i pozwól mi sobie pomóc.

\*\*\*

Will dotarł do drogi akurat w chwili, kiedy zgasły światła stopu i półciężarówka ruszyła w dalszą drogę. Przez chwilę stał w miejscu, po

czym przeszedł kilka kroków i odprowadzał wzrokiem jej tylne światła pozycyjne, aż zupełnie zniknęły mu z oczu. Widział wszystko z góry: jak samochód się zatrzymuje i jak Mary May wychodzi z rowu w stronę stojącego na drodze mężczyzny, który podawał jej rękę.

Niemal w tej samej chwili Will ruszył pędem przez porastające zbocze derenie i jesiony. Kiedy wypadł na polanę koło drogi, przyklęknął, zdjął karabin z pleców i spojrzał przez lunetę na pojazd stojący na samym środku jezdni.

Mary May tuliła się do mężczyzny. Traper wycelował w niego i zaczekał, aż ją puści. Kiedy to zrobił, kiedy cofnął się i odwrócił w stronę pikapa, Will widział go równie wyraźnie, co stojącą wtedy na górze i oglądającą się na niego dziewczynę. To był jej brat Drew. Will opuścił karabin i – nie zmieniając pozycji – patrzył, jak rodzeństwo wsiada do kabiny i odjeżdża.

Po chwili wyszedł na drogę i po przejściu jakichś pięćdziesięciu stóp stanął i spojrzał w dół, na pusty beton. Światło dnia już praktycznie całkowicie zniknęło. Z przydrożnego rowu dobiegał rechot żab, a mrok robił się coraz gęstszy i granatowy. Odwrócił się i spojrzał na samotny klon rosnący na środku polany. Chociaż nie było to jeszcze nawet późne lato, liście zmieniły kolor i wiele z nich zalegało już na ziemi.

Will zszedł z drogi i zrobił duży krok nad rowem, po czym ruszył na przełaj.

Grunt był grząski, tu i ówdzie widział błotniste kałuże pokryte oleistym filmem. Zatrzymał się w pewnym oddaleniu od drzewa i uniósł wzrok na gałęzie. Po ich wysokości i rozłożystości poznał, że klon rośnie tu już długo i może rósłby jeszcze dłużej, gdyby podłoże się nie zmieniło. Kiedy tak stał, kilka liści oderwało się od gałęzi i spadło na ziemię. Drzewo nie było jeszcze nagie, ale niewiele mu brakowało.

Z nagła usłyszał zza pleców głos Johna, ale nie odwrócił się. Cały czas wpatrywał się w klon i zastanawiał, jak długo jeszcze wytrzyma w tych

warunkach.

– Dobrze się spisałeś – powiedział John.

Stanął obok Willa, po czym również spojrzął na drzewo.

– Mary May jest teraz z nami. Pomogłeś nam ją ocalić.

Will odwrócił się. John stał przed nim i się mu przyglądał. W pewnej odległości za nim, przy drodze, widział jego ludzi z bronią trzymaną w poprzek tułowia. Wyglądali na zmęczonych, ale spokojnych.

– A Lonny? – zapytał Will. – Powiedział, że chciał ją zabić!

– Tak – odparł John. – Widziałem, co robił. Powinienem był dostrzec to wcześniej.

– Ale co?

– Jego picie. Osłabienie wiary. Nie wierzył prawdziwie. Oddalał się od nas, odsuwał coraz bardziej i wpadał w rutynę dawnych grzechów.

– Dlatego nas śledziłeś? Dlatego szedłeś za nami na tę górę?

– Tak – przytaknął John. – Nie mogłem mu ufać. Nie wiedziałem też, czy mogę ufać tobie. Lonny zwykł mawiać, że jesteś zagadką.

Kolejny liść odpadł z drzewa, zawirował, zakręcił się, po czym spoczął na ziemi między nimi.

– Zagadką?

– Mniejsza o to, nie tego dokładnie słowa użył – powiedział John. – Teraz widzę, że to jemu nie można było ufać. Powinienem był dostrzec to wcześniej. Powinienem był wiedzieć, że to wszystko, co powiedział i zrobił, prowadziło właśnie do obecnej sytuacji.

– Nie chciałem go zabić.

– Nie zabiłeś go – odparł John. – Nigdy byś czegoś takiego nie zrobił. On zwyczajnie upadł. Spadł z urwiska, uderzył o skałę i skręcił sobie kark. To był wypadek, wszyscy to wyraźnie widzieliśmy. Nie masz na rękach jego krwi.

Will spojrzął Johnowi w oczy, a ten wyciągnął dłoń i położył ją na ramieniu trapera.

– Wciąż jesteś z nami. Wciąż stanowisz część tego, czym jesteśmy. Oddałeś nam przysługę i jesteśmy wdzięczni za to, że jesteś, i za wszystko, co robisz. Nie wstydzmy się tego. Kiedyś miałeś wobec nas dług, ale to już dawno minęło i teraz to my jesteśmy twoimi dłużnikami. Zabierzemy cię do Bram Edenu, gdzie otrzymasz swoje błogosławieństwo. Damy ci miejsce, gdzie będziesz mógł spocząć, i pomożemy ci, tak jak ty pomogłeś nam. Wciąż jesteś z nami, prawda, Will?

– Oczywiście – odparł traper, nie wiedząc, co innego mógłby powiedzieć.

– Daliśmy ci zbawienie. Ale ty za to dałeś nam swoją duszę.

– Tak, wiem – potwierdził Will. – Nigdy o tym nie zapomniałem.

– To dobrze – powiedział z zadowoleniem John. – Ojca bardzo to ucieszy. Czeka na ciebie. Czeka, by ponownie dać ci swoje błogosławieństwo. Dzisiaj zanocujesz w Bramach Edenu, będziesz naszym gościem, moim i Ojca.

John cofnął rękę i odwrócił się z zamiarem odejścia. Will go zatrzymał.

– A co z Mary May?

– Nie musisz się o nią martwić – odparł John. – Wkrótce ją zapewne zobaczysz. Teraz jest z nami. Jest z nami w takim samym sensie jak ze swoim bratem. Oboje teraz są częścią naszego zgromadzenia, naszego organizmu.

\*\*\*

Patrzyła na Drew i czekała, aż coś do niej powie, ale nie odzywał się ani słowem. Całkowicie koncentrował się na prowadzeniu samochodu. Jechali drogą w dół. Nastąpiła noc i kiedy Mary May wyjrzała w mrok, zobaczyła tylko rozmyty ciemny las i wpatrujące się w nią własne odbicie.

Spojrzała na brata i zapytała:

– Gdzie się podziewałeś?

Był już bardziej mężczyzną niż chłopakiem i przez chwilę zastanawiała

się, kiedy i jak to się stało.

– Tu i tam – odparł. – Pracowałem, tak to chyba można nazwać.

Przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu, bojąc się zadać to pytanie.

– Pracowałeś? – Przełamała się w końcu.

– Byli tu dla mnie dobrzy.

– Naprawdę?

Kiwnął jej potakująco głową.

– Nie ufasz im, prawda?

– Tak nas wychowano. Część ludzi by powiedziała, że nie bez powodu.

Ponownie na nią zerknął.

– Mówisz o tacie i mamie?

– A o kim innym? – odpowiedziała pytaniem. – John i inni odstraszaali naszych dostawców. Próbowali doprowadzić do zamknięcia baru.

– Dalej sprzedajesz alkohol?

– Bez niego trudno mówić o barze.

– Mają powody, by działać w ten sposób. Dobre powody.

Pokręciła głową.

– Mówisz tak jak oni.

– Do tego też mam dobre powody – stwierdził.

Po jakichś pięciu milach drogi Drew obrócił kierownicę i zjechali z betonowej drogi. Mary May słyszała teraz chrzęst żwiru pod kołami i stuk drobnych kamyczków uderzających w nadkola.

– Co ty robisz? – zapytała. – Mówiłeś, że zabierzesz mnie do domu.

Spojrzał na nią, ale nie powiedział ani słowa. Kiedy tylko opuścili główną drogę, wyprostowała się na siedzeniu i pochyliła do przodu, próbując wypatrzeć w ciemności, dokąd właściwie zmierzają.

– Powiedziałem, że zabiorę cię do domu – przytaknął. – Ale nie miałem na myśli twojego domu ani domu mamy i taty.

Dostrzegła teraz po obu stronach drogi betonowe cokoły i bramę, która w tym momencie otworzyła się, aby mogli przejechać. Członkowie Kościoła



stali po bokach, a ona dobrze widziała trzymaną przez nich broń i spojrzenia, które jej posyłali.

Siedziała bez ruchu i przyglądała się im. Kiedy Drew pojechał dalej, obróciła się i zobaczyła, jak brama się zamyka.

– Drew? – zapytała niepewnie.

– Nie martw się.

Sięgnęła za plecy, wyciągnęła rewolwer i opuściła rękę tak, by z zewnątrz nie było widać broni.

Jechali jeszcze jakiś czas; widziała teraz zabudowania, światła i wieżę kościoła. Na zewnątrz było już ciemno i z każdą chwilą mrok zdawał się gęstnieć. Jezioro odcinało się od nocnego nieba wyłącznie dzięki odbitemu światłu reflektorów samochodu. Wiedziała, że za zabudowaniami i kościołem teren wznosił się od jeziora w stronę gór i był porośnięty lasem poprzetykanym łąkami.

Drew zatoczył łuk, zatrzymał się i przestawił dźwignię skrzyni biegów w pozycję parkingową, po czym wyłączył silnik i wyjął kluczyki ze stacyjki. W nagłej ciszy Mary May nagle poczuła się bardzo samotna, tak jakby jej brat nie siedział obok. Wiedziała, że teraz jest zdana tylko na siebie.

– Czy to rewolwer taty? – zapytał.

Odwrócił się w jej stronę, spojrzął na broń, po czym przeniósł wzrok na nią i patrzył wyczekująco.

– Tak.

– Zastanawiałem się, czy dalej go ma.

– Zastanawiałaś się?

– Czasem o tym myślałem. Myślałem tutaj o wielu rzeczach.

– Żałuję, że ojciec cię nie znalazł – powiedziała. – Że nie udało mu się z tobą porozmawiać.

– Sądysz, że to by coś zmieniło?

– Tak, sądzę, że tak. Szkoda, że sobie wszystkiego nie wyjaśniliście.

– Tak naprawdę to nigdy nie dał mi na to nawet cienia szansy –

stwierdził Drew. – Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

Przyjrzała się uważnie profilowi jego twarzy.

– Był uparty, ale to nie znaczy, że było mu wszystko jedno.

– Rozumiem – odparł Drew. – Słuchaj, przygotowali ci miejsce. – Wskazał ruchem głowy niewielki dom stojący na wprost. – Możesz tam wziąć prysznic. Wypocząć. Na pewno jesteś zmęczona. Na pewno potrzeba ci trochę czasu.

– Czasu na co? Nigdy nie chciałam się tu znaleźć. Nie chcę tu być. Chcę, żebyś mnie zabrał do domu. Nie tu, do domu. Naszego domu.

– Są pewni ludzie, którzy chcą się z tobą spotkać. Zrozum, jesteś tu gościem. Pragną tylko z tobą porozmawiać.

– Jeśli tak, to mogą przyjść do baru – odparła. – Jest otwarty codziennie od południa do drugiej w nocy.

– Wiesz, co mam na myśli. Nie chciałbym, żebyś była nieuprzejma.

Posłała bratu harde spojrzenie.

– Wiesz, że do mnie strzelali? Że strzelali do mnie dziś po południu?

– To musiało być jakieś nieporozumienie – stwierdził Drew. – Tu żyją dobrzy ludzie. Sama zobaczysz.

Nie odrywała od niego wzroku.

– Słuchaj – podjął po chwili. – Nie zastrzel nikogo. Chcą z tobą porozmawiać. Od tego nikomu nie stanie się krzywda. A kiedy będzie po wszystkim, możesz wrócić do Fall's End i swojego baru.

– A ty?

– Co ze mną?

– Powinieneś wrócić ze mną do miasteczka, Drew. Tego by chcieli tata i mama.

– Miło, że tak sądzisz, ale oboje wiemy, że w tych słowach nie ma zbyt wiele prawdy.

\*\*\*

Will siedział na tylnej kanapie pikapa, którym jechała jeszcze czwórka innych mężczyzn. Wszyscy byli o trzydzieści, czterdzieści lat młodszy od niego; mieli tatuaże i kolczyki w kształtach i miejscach, które Willowi nigdy nie przyszłyby do głowy. Praktycznie się do niego nie odzywali, ale co jakiś czas wyłapywał ich spojrzenia. Widział, jak patrzyli na niego i jego karabin, zanim ruszyli w las i noc, w drogę powrotną, gnając czterdzieści mil na godzinę. Nikt nie rozmawiał. Wiatr wył opętańczo, a oni jechali główną drogą, by potem skręcić w żwirową aleję prowadzącą do Bram Edenu.

John jechał z przodu, na siedzeniu pasażera. Will widział z tyłu, jak wychyla się przez okno, rozmawia z jednym ze strażników, po czym wskazuje na zabudowania.

Ostatni raz traper był tu trzy tygodnie temu. Widział, jak na granicy posiadłości zaczęto wbijać słupki metalowego płotu. Budowali też nowy dom – jeden z wielu tworzących tę osadę małych budynków, niektóre stały wzdłuż żwirowych alejek przecinających cały teren wciąż niepomalowane, na wpół odnowione, na wpół nadal dość pierwotne, bo zbudowane z grubo rżniętego drewna. W wielu miejscach płonęły ogniska. Will rozejrzał się po stojących wokół ludziach, z których część znał, ale wielu widział po raz pierwszy.

Kierowca wiózł ich między domami i niewielkimi przybudówkami. Will wychylił się i spojrzał w stronę pikapa, którego, jak mu się wydawało, prowadził Drew. Stał przed niewielkim domem ze ścianami z białych desek. Z okna padało światło, ale z powodu zasłon traper nie zdołał dostrzec niczego wewnątrz.

– Dziewczyna jest w środku? – zapytał, zwracając się do mężczyzny, który siedział obok niego.

Zapytany tylko skinął głową. Ich samochód zatrzymał się przed drzwiami kościoła.

John wysiadł, obszedł samochód, uderzając dłońmi o burty paki, po czym klepnął Willa w plecy i kazał iść ze sobą. Przeszli do budynku

stojącego kilkaset stóp od kościoła. Była to stara kwadratowa szopa, służąca do przechowywania traktorów. Do drewnianego szkieletu przymocowano ściany z arkuszy aluminiowej blachy. Obecnie służyła za stołówkę całemu zgromadzeniu. John wprowadził Willa do środka.

– Jak się przekonasz, pewne rzeczy się zmieniły – rzucił.

Było ciemno. Odgłos ich kroków odbijał się echem w pustej sali. Z krokwi zwisały lampy, a raczej pojedyncze żarówki w zielonych stożkowych osłonach, zawieszane na kablu. W ich świetle całe pomieszczenie wydawało się nijakie. W jednym z kątów zbiegały się i znikwały pod podłogą rury oraz przewody doprowadzające wodę i prąd do domów, a także kościoła.

Will szedł dalej. John doprowadził go do długich drewnianych stołów piknikowych i kazał mu usiąść.

Podobnie jak większość budynku i to miejsce było słabo oświetlone. Traper usiadł, odstawił plecak na podłogę i położył karabin na stole. John zniknął za drzwiami, a Will wpatrzył się w nie.

Nie musiał długo czekać, zanim otworzyły się ponownie i do środka weszła kobieta niosąca tacę z jedzeniem i szklanką wody. Rozpoznał ją niemal od razu. Wstał i patrzył, jak podchodzi.

Zdjął czapkę, a ona się nachyliła, spojrzała na niego i postawiła tacę na stole między nimi.

– Masz trochę tego jelenia, którego ustrześliłeś w zeszłym tygodniu. Pomyślałam, że chętnie go spróbujesz.

Podziękował jej i zaczekał, aż usiądzie pierwsza, po czym zajął miejsce naprzeciwko.

– Ty już jadłaś?

– Tak. Tutaj wszystko działa jak w zegarku. To na twoim talerzu to prawie sama końcówka. Obecnie wszystko się dość szybko kończy. Tyle nowych twarzy, a wszyscy młodzi i głodni.

Przyglądała mu się, jak wbija widelec w mięso. Zostało ugotowane na

wolnym ogniu i widać było, że dodali trochę tłuszczu. Kiedy uniósł wzrok, napotkał jej spojrzenie.

– Jak sobie radzisz, Holly?

– Lepiej niż zanim tu trafiłam.

– Aha – odparł.

Zjadł jeszcze trochę mięsa. Holly położyła mu też na talerzu grubo posmarowaną masłem pajdę chleba z mąki kukurydzianej. Wziął ją i również zjadł.

– Lubię patrzeć, jak mężczyźni jedzą – powiedziała.

– Cóż, ja też lubię od czasu do czasu popatrzeć na kobietę – odparł.

Uśmiechnęła się do niego.

– Nieodmiennie uroczy. Ale zważywszy na twój wiek, wątpię, żebyś miał dla mnie jeszcze w zbiorniku dość paliwa.

Odwzajemnił uśmiech, wziął szklankę i wypił połowę wody. Była od niego o blisko trzydzieści lat młodsza i przez jakiś czas miał ją za najbliższą sąsiadkę. Mąż ją bił, więc Will odwiedzał ją niemal co tydzień tylko po to, żeby sprawdzić, czy u niej wszystko w porządku. Kiedy jego żona i córka umarły, nie widział jej przez cztery lata, może pięć, aż pewnego dnia pojawiła się tak po prostu pod bramą kościoła i oznajmiła, że jej mąż zniknął. Ale Will zawsze podejrzewał, że to Holly go „zniknęła”.

– John powiedział, że teraz, kiedy Lonny’ego już nie ma, może będziemy cię widywać częściej – powiedziała, nie odrywając od niego wzroku. Will niemal zadławił się kawałkiem mięsa; przyłożył dłoń do ust i odkaslnął.

– Wieści szybko się roznoszą – zauważył.

– John mi właśnie powiedział. Że Lonny miał wypadek. Nie powiem, żeby mi to przeszkadzało. Był niezłym dupkiem. Zawsze próbował przelecieć każdą z nas.

– Naprawdę? – zapytał Will.

– Tak – odparła. – To jak myślisz, będziesz częściej tu zaglądał? Muszę

ci powiedzieć, że zaczyna tu być nieco dziwnie – dodała, obniżając głos.

Nachyliła się nad stołem i spojrzała mu prosto w oczy.

– Od czasu do czasu pieprzę się z Johnem. Opowiada mi różne rzeczy. Rzeczy, których nie powinnam słyszeć. Połowy ni cholery nie rozumiem, ale resztę widać wszędzie wokół. Ojciec i jego pismo, i to całe pieprzenie o proroku i nadejściu ogni piekielnych. O grzesznikach i świętych. O zbawieniu i potępieniu.

– Nic nowego – stwierdził Will.

Skończył jeść i pchnął tacę lekko w jej stronę.

– W tej okolicy to uchodzi za normalną rozmowę – dodał.

– Jesteś zahartowanym, starym kowbojem – powiedziała Holly. – Zawsze to w tobie lubiłam. Ale uważaj, żebyś nie został starym głupcem, tak jak tylu innych durnych mężczyzn, których znałam.

Spojrzał na nią wyczekująco, ale nie powiedziała nic więcej.

– No to mi o tym opowiedz – zachęcił ją po chwili milczenia.

Holly obejrzała się na drzwi, po czym wyprostowała się nieco.

– Od czego by tu zacząć – powiedziała. – Broń, dużo broni, a większość dzieciaków w moim wieku i nawet młodszych jest na tym gównie, które wciągają nosem. Nazywają to Błogością i pomagają im robić wszystko, co muszą zrobić.

– To znaczy?

– Większość zabiłaby własną matkę, jeśli dzięki temu dostałaby kolejną działkę. Ale to, jak traktują farmerów, ludzi, których znaliśmy, to skandal – ciągnęła. – To nie jest działanie zgodne z pismem, które znamy z nabożeństw. Znajdą twoją słabość i zaczną cię naciskać. Będą naciskać i naciskać, coraz mocniej i mocniej. W końcu coś pęknie.

Spojrzał na nią i przez chwilę czekał, aż powie mu więcej.

– Dalej wierzysz? – zapytał.

Roześmiała się.

– I to ty mnie pytasz? Ty, który każdego miesiąca wolisz spędzić trzy

tygodnie samotnie w lasach na łapaniu królików i strzelaniu do jeleni, niż siedzieć tu i rozmawiać z innymi ludźmi?

– Wszyscy pełnimy służbę, każdy na swój sposób.

– Owszem – przytaknęła i uśmiechnęła się do niego. – Tak właśnie robimy. Wierzę w Ojca. Wierzę w to, co widzi. W jego słowa i w to, że coś nadchodzi. Ale czasem... – Zawahała się.

Zza kuchennych drzwi za jej plecami dobiegł odgłos kroków. Kobieta wstała, zabrała tacę i odwróciła się akurat w chwili, kiedy na salę wszedł John. Podszedł do stołu, mijając ją po drodze.

– Chcesz czegoś jeszcze, Will?

Zapytany uniósł otwartą dłoń.

– Najadłem się – odparł.

– To dobrze – rzucił John. – Będziesz potrzebował sił. Ojciec chce się z tobą zobaczyć w kościele, w cztery oczy. Chce nałożyć na ciebie uzdrawiające dłonie i osobiście ci podziękować za wszystko, co zrobiłeś.

\*\*\*

Mary May wzięła prysznic. Kiedy już włożyła ubrania, które zostawił dla niej brat, weszła do niewielkiego salonu, w którym na nią czekał.

Drew wstał na jej widok.

– Cieszę się, że mnie znalazłeś – powiedziała.

– Ja też się cieszę.

Popatrzyła na niego i rozejrzała się dokoła. Dom był niewielki, zamiast oddzielnej kuchni był tylko aneks w salonie.

– Gotowa? – zapytał.

Spojrzała na brata, nie ruszając się z miejsca.

– Nie chcę tego robić – odparła. – Moim zdaniem powinniśmy po prostu stąd odejść. Wrócić do domu.

– Jesteś tu gościem, Mary May. Nasi rodzice zawsze nam powtarzali, żebyśmy nie byli nieuprzejmi. – Spojrzał na nią, jakby spodziewał się, że

powie mu coś jeszcze, po czym dodał: – Nie bądź złośliwa czy bezczelna.

\*\*\*

„Wielu dostało łaski dopiero po tym, jak wiele wycierpiało. Cierpienie było im przeznaczone. Było ich wyborem. Świadomą decyzją. Wkroczyli do otchłani, a ciemność zamknęła się wokół nich i tylko dzięki swej wierze znaleźli odkupienie, tylko dzięki niej wyszli z otchłani bez szwanku”.

Will otworzył oczy, kiedy tylko z jego ramion zniknął ciężar dłoni Ojca. Został przyprowadzony przez Johna do kościoła i zobligowany do ukłęknięcia. Czekał w samotności, rozglądając się po wnętrzu. W każdym oknie widniał symbol zgromadzenia, a z przodu wisiała duża flaga, podobna do amerykańskiej, ale z krzyżem i promieniami Bram Edenu na środku niebieskiego pola, wśród gwiazd.

Ojciec przyszedł wkrótce potem. Jego kroki dudniły na drewnianej podłodze. Zatrzymał się na wprost Willa. Miał na sobie dżinsy i koszulę zapiętą aż pod szyję. Podobnie jak wszyscy inni członkowie zgromadzenia nosił brodę i chociaż bardzo przypominał swojego brata Johna, był nieco odeń wyższy i szerszy w piersi i barkach. Włosy miał zebrane z tyłu głowy. Przez całą rozmowę patrzył Willowi prosto w oczy.

– Życie wystawiło cię na próbę, Will. Musisz w to teraz uwierzyć. Musisz wierzyć, że jesteś tu nie bez powodu. Zostałeś wybrany dla dobra naszego gatunku. Czekają nas mroczne czasy. A my wówczas będziemy światłem.

Will przytaknął.

– Kiedy straciłeś żonę i dzieci, to była dla ciebie ciężka próba. Dzisiaj przeszedłeś kolejną.

Ojciec przyklęknął przed traperem i oparł łokcie na kolanach. Jego twarz była tak blisko, że kiedy mężczyzna ponownie zaczął mówić, Will czuł zapach jego oddechu i kropelki śliny opadające na jego skórę.

– Nadchodzi czas. Kres naszych dni. Samo powietrze stanie



w płomieniach. A ja wezwę swoją trzodę, zgromadzę wszystkich i przykażę im, by się przygotowali. Gdyż wyruszymy w podróż niczym pionierzy, którzy przybyli na te ziemie wiele lat przed nami. Zapytam więc ciebie: czy będziesz na tę podróż gotowy?

– Tak.

Ojciec wstał i spojrzał na Willa z góry.

– Wspomogłeś nas, ale będziemy od ciebie potrzebowali jeszcze więcej. Będziemy potrzebowali oka, które spogląda na ludzi przez lunetę. Będziemy potrzebowali ręki, która dzierży nóż i nim włada. Będziemy potrzebowali palca, który pociąga za spust. Czy rozumiesz? Czy rozumiesz wszystko, o co cię proszę?

Will zawahał się. Uniósł wzrok na stojącego przed nim mężczyznę.

– W historii ludzkości było wiele takich momentów, że nie zaufano wierze. I ta wiara równie wiele razy wystawiała ludzi na próbę. Tak samo było z nami wszystkimi, którzy zdecydowaliśmy się podążyć tą drogą. Drogą zbawienia, ale też drogą konieczności. Albowiem jeśli nie jesteś gotów przebyć jej do końca, zginiesz marnie. A teraz nadszedł czas i zapytam cię ponownie, tak jak zapytałem dawno temu, kiedy przyszedłeś do nas po raz pierwszy: czy jesteś gotów zrobić to, co jest niezbędne do osiągnięcia zbawienia?

Wypowiedziawszy te słowa, Ojciec zamilkł. Oddalił się o kilka kroków i odwrócił ponownie twarzą do Willa. Stał i patrzył w oczekiwaniu na odpowiedź. Ale ten milczał i unikał wzroku kaznodziei.

– Kiedy twoja żona i dzieci opuściły ten świat, lękaliśmy się o twoje życie – podjął Ojciec. – Obawialiśmy się, że pozwoliłeś słabości sobą zawładnąć. Ale tak się nie stało. Zostałeś myśliwym, nie zwierzyną. Odrzuciłeś grzech. Odrzuciłeś występki i całe zło, które przepelniało twoje życie. Złożyliśmy na tobie dłonie i wspólnie odegnaliśmy grzech. Wycięliśmy go z twojej piersi, tak jak uczyniliśmy z każdym członkiem Kościoła.

Will pokiwał głową. Wrócił myślami do tamtych dni. Do tatuażu. Do brzytwy. Do wyzbycia się grzechu. Po chwili spojrzął na Ojca.

– Pamiętam.

\*\*\*

Właśnie wstawał z podłogi przed ołtarzem, kiedy do środka weszła Mary May. Stała z tyłu, za rzędami pustych ławek. Zwątpienie trawiło ją niczym choroba rozprzestrzeniająca się wszystkimi naczyniami po ciele. Patrzyła, jak traper wstaje i jak Ojciec bierze go w objęcia niby najbliższego krewnego.

Rozpoznała go niemal od razu. To jego widziała tam na wzgórzu. To on ją wytropił. To on do niej strzelał i niemal ją trafił. Lęk, który zapuszczał już korzenie w jej ciele, teraz nagle rozkwitł i przeszył jej głowę. Przybycie tu było błędem. Nie powinna była tracić czujności. Może nawet nie powinna była ufać własnemu bratu.

Mary May cały czas stała przy drzwiach, a Drew obok niej, kiedy traper odwrócił się i ruszył w stronę wyjścia. Jego brodata twarz była pomarszczona i ogorzała od lat spędzonych pod gołym niebem. Skórę przy oczach znaczyły głębokie bruzdy, przypominające spękana, wyschniętą glinę. Włosy mu już rzedły i zaczynały siwieć. Obserwowała go w milczeniu. Gdy się zrównali, skinął jej głową.

– Dobrze cię widzieć, Mary May.

Tak samo przywitał się z Drew, po czym założył na głowę ścisną w dłoni czapkę.

Chwilę później już go nie było. Zrobiła krok za nim, ale Drew ją powstrzymał, chwytając za łokieć.

– Will Boyd – szepnął jej do ucha.

Nie odezwała się ani słowem. Pamiętała tego mężczyznę. Była z rodziną na pogrzebie jego córki i żony. Jeśli dobrze sobie przypominała, zginęły w wypadku samochodowym. Will podczas uroczystości stał samotny, ludzie

tylko podchodzili do niego po kolei. Jej rodzice uścisnęli go pocieszająco. Mary May pamiętała, że nawet wtedy czuć było od niego alkohol i coś słodkawego, jakby woń słonego potu przemieszana z zapachem przeistaczającego się ciała.

Sądziła, że już nie żyje, ale teraz stało się oczywiste, że się myliła. Kiedy spojrzała z powrotem w stronę ołtarza, Ojciec wyciągnął ku nim ręce.

– Chodźcie, dzieci. Podejdźcie! – zawołał.

Drew przesunął się między ławki i zaczął czekać na nią. Ruszyła niepewnie, skręciła w przejście i skierowała się w stronę Ojca. Jego też pamiętała. Niewiele się zmienił przez ten czas. Pamiętała go, kiedy przed laty przybył z Georgii, uczestniczył razem z nimi na nabożeństwach i przemawiał do zgromadzenia jako przyjaciel. Wygłaszał słowo Boże tylko na prośbę, a kiedy przemawiał pastor, siedział w ciszy i skupieniu. Stosunki między nimi pogorszyły się dopiero wiele miesięcy później. Ojciec – czy raczej wtedy jeszcze Joseph – poszedł w swoją stronę, mówiąc wszystkim, którzy zechcieli za nim podążyć, że tylko on może ich zbawić.

Ojciec postąpił krok w jej stronę i utkwiał w niej spojrzenie.

– Podejź – zachęcił ją ponownie i wyciągnął ku niej ręce, spoglądając prosto na nią, przyzywając ją wzrokiem.

Posłuchała go i wkrótce objął ją i przyciągnął do siebie. Poczowała zapach potu i siłę jego rąk. Ścisnął ją mocno, tak jakby oboje dzielili trudy ostatnich paru dni i w końcu razem znaleźli zbawienie.

– Witam cię – powiedział. – Witam cię wśród nas. Dopiero teraz zacząłem rozumieć, co się stało z twoim ojcem i z twoją matką.

Kiwnęła głową. Oczy miała utkwione w posadzce.

– Drew wiele mi o nich opowiadał. Przemawiał do mnie i do nas wszystkich, snując swoje opowieści, w jego słowach wasi rodzice będą żyć wiecznie.

Ponownie kiwnęła głową. Nie wiedziała, co ma o tym myśleć. Sposób, w jaki teraz się do niej zwracał, stał w tak wielkim kontraście

z wcześniejszym zachowaniem jego młodszego brata Johna.

– Uklęknij – zachęcił ją. – Uklęknij, a udzielenie ci błogosławieństwa i wspólnie przygotujemy się na obmycie cię z grzechu, na wypłukanie ze zła wszystkich kości, każdego kawałka chrząstki. Przekonasz się, że wkrótce wszystko zostanie naprawione. Wszystko na świecie będzie dobre, twoje miejsce tu z nami będzie miejscem czuwania, zaś ty będziesz dla mnie jednym z błogosławionych dzieci Bram Edenu.

Puścił ją z objęć i cofnął się o krok. Czuła się, jakby jego uścisk trwał całe lata. Spojrzała na stojącego nieopodal brata. Ten skinął głową w stronę podłogi, położył dłoń na jej ramieniu i przykląkł, a ona – chociaż nerwy miała napięte jak postronki – podążyła za jego przykładem.

– Dobrze będzie zbawienie twego ciała. Dobrze będzie wyrzeczenie się grzechu.

Położył dłonie na jej skroniach. Poczowała bijące od niego ciepło.

– Jesteś grzesznicą – powiedział. – Jesteś grzesznicą, a w twoich oczach widzę gniew i zazdrość, widzę poczucie winy i wstyd. Widzę wszystkie możliwe grzechy śmiertelne i daję ci możliwość zbawienia. Oferuję pomoc w ukojeniu twej duszy.

Teraz on również opadł na kolana i przyłożył czoło do jej czoła, cały czas trzymając ją za skronie.

– Zaklinam cię, usłysz mnie teraz – powiedział. – Usłysz mnie. Usłysz wezwanie Bram Edenu. Zaklinam cię, słuchaj. Nie jesteś sama, Mary May. Zgrzeszyłaś, lecz nie jesteś sama. Jeszcze nie zostałaś zapomniana.

Zaczął się cicho modlić. Obniżył głos na tyle, że dźwięk zdawał się wydobywać gdzieś z głębi trzewi. Kiedy wstał i podniósł ręce, pociągając ją za sobą, znów zaczął mówić głośniej. Prosił dla niej o wybaczenie. Mówił o alkoholu. Mówił o grzechu. Tłumaczył, że nie wiedziała, co czyni, i że podobnie jak wiele osób w tym hrabstwie i na całym świecie prosi jedynie o przebaczenie. Że słyhać łkające w ciemności dusze, nieświadomy głos wiernych. Mówił, że jest podobna wielu innym i że jej przyjście do niego,

do tego kościoła, było ledwie pierwszą oznaką większej potrzeby.

– Dziękuję ci, Mary May – powiedział na koniec. – Dziękuję, że do nas przysłaś. Dziękuję, wdzięczny jest ci także twój brat, i w podzięce ofiarowujemy ci zbawienie.

Uniosła na niego wzrok. Przestał mówić i czekał, patrzył na nią tymi swoimi wybałuszonymi oczami, które zdawały się nigdy nie mrugać. Na czoło wystąpił mu pot, a dłonie wciąż przyciskał do skroni kobiety.

– Czy przyjmujesz nas, Mary May? Czy wyrzekasz się grzechu, tak jak twój brat uczynił to przed tobą? Czy słyszysz wołanie twej duszy o uwolnienie jej z ciała, które ją dotąd dręczyło?

Puścił ją i jednocześnie odepchnął od siebie. Niemal się przewróciła, ale on był szybszy i ponownie ją chwycił, pomógł utrzymać równowagę, po czym powtórzył pytanie:

– Czy wyrzekasz się grzechu? Powiedz to, Mary May. Wymów te słowa, a wszystko zostanie wybaczone. Czy prosisz o obmycie ciała, o oczyszczenie duszy?

Ponownie ją odepchnął, a ona zatoczyła się, ale nie upadła.

Teraz cofnął się o kilka kroków. Odwrócił się do niej plecami i spojrzał na wiszącą na ścianie flagę. Z jakiegoś powodu wcześniej nie zarejestrowała jej w pełni. To była flaga Stanów Zjednoczonych, ale nie do końca. Na błękitnym polu, wśród gwiazd, dostrzegła wpleciony symbol Bram Edenu. Sam niemal przypominał gwiazdę – krzyż okolony wieloma rozchodzącymi się odeń promieniami.

Zaczął mówić, tym razem łagodniej i wolniej niż poprzednio, z większym namysłem, jakby przekazywał słowa kogoś innego, kogoś dawno zmarłego, który teraz wziął we władanie jego ciało.

– Ogień będzie końcem – oznajmił Ojciec. – Ogień i zniszczenie wszystkich, którzy nie obmyli się z grzechu. Ugodzi nas ogień i ręka nikczemności.

Obrócił się i czekał. Pozwolił ciszy zawisnąć, a potem zapytał głosem

kogoś budzącego się ze snu:

– Czy wyrzekasz się grzechu? Czy prosisz o zbawienie Odkupiciela? Czy pragniesz zostać obmyta? Oczyszczona? Czy prosisz o przebaczenie i ponowne narodziny?

„Czy... Czy... Czy...”

Przyglądała się mu. Patrzyła na szeroko otwarte, niemrugające oczy. I zrozumiała, że odpowiedź może być tylko jedna.

\*\*\*

W dniu wydarzeń sprzed dwunastu lat Will był oczywiście pijany. W stanie upojenia alkoholowego spędził większość dorosłego życia, a utrata rodziny nie poprawiła tej sytuacji. Starał się o nich już nie myśleć. Starał się je traktować jak jakichś przodków z zamierzchłych czasów, dawno zapomnianych krewnych, którzy w jakiś niezrozumiały, ale bezwzględnie konieczny sposób wpłynęli na jego świat.

To słowa Ojca pozwoliły mu się pozbyć podobnych rozmyślań. I kiedy teraz leżał w łóżku i usiłował przywołać ponownie w myślach sylwetki dawno zmarłych kobiet, które kochał, nie miał wątpliwości, że to one były powodem, dla którego trzymał się z daleka od Kościoła i miasteczka, dla którego szukał samotności nawet już po wyrzeknięciu się swego grzechu.

Podniósł się, opuścił nogi na podłogę i spojrzał na wąski pasek światła biegnący pod dolną krawędzią drzwi. Dali mu w jednym z domów pokój z dwoma pojedynczymi łózkami i otwartymi oknami, przez które wpadał zapach jeziora. W Bramach Edenu nocne powietrze zawsze zdawało się poruszać i sunąć nisko niczym głębokie prądy oceaniczne.

Siedział w mroku. Podczas wciągania spodni i sznurowania butów zbyt wiele myślał o żonie i córce. Na tyle intensywnie, że czuł już wzbierające łzy, które w końcu popłynęły po policzkach słonymi strugami, szczypiąc skórę.

Był posłańcem własnego upadku. Od utraty rodziny minęło już

dwanaście lat, a on nigdy dotąd nie miał mocniejszego przekonania co do roli, którą w tym wszystkim odegrał, i bólu, który spowodował sobie i ukochanym. To on kupił tamtego drinka. To on wystrzelił tamtą kulę z równie śmiertelną precyzją, jak każdą inną, którą posłał w swoim życiu. Ale teraz dostrzegł ukrytą prawdę; teraz zrozumiał, że sam sobie zadał tę ranę.

Wstał i pchnął drzwi. Stał w pustym korytarzu, spojrzął w jedną stronę, potem w drugą. Nie wiedział, która jest godzina, ale było mu to obojętne. Potrzebował powietrza. Potrzebował stanąć na trawie, spojrzeć na gwiazdy i księżyc, w noc, do jakiej zdążył się przyzwyczać przez lata spędzone na polowaniach dla Kościoła.

Chociaż zawsze żałował, że nie może cofnąć się w czasie i wszystkiego naprawić, wiedział, że nigdy nie udałoby mu się niczego zmienić. Kupił tamtego drinka człowiekowi, który zabił jego rodzinę. Wysłał go wówczas w świat z tak bezlitosną skutecznością, na jaką go tylko było wtedy stać; w ten konkretny wieczór, kiedy jego żona Sarah w końcu powiedziała „dość”, nie wierząc Willowi, że da radę sam wrócić do domu, kiedy posadziła ich dziesięcioletnią córkę Cali na fotelu pasażera i razem z nią pojechała wyciągnąć go z baru.

Will zadręczał się rozmyślaniami o własnym wpływie na tamtą sytuację, i nawet teraz odzywało się w nim wzbierające aż do gardła uczucie, które jakiś czas temu rozpoznał jako poczucie winy. Przełknął ślinę i zdusił to w sobie tak samo, jak czynił już tak wiele razy, po czym zatoczył się korytarzem niczym nędzny pijak, którym kiedyś był i którym mógł ponownie zostać. Parł naprzód, usiłując przezwyciężyć poczucie winy i smutek. Minął niewielki pokój dzienny, wyszedł na świeże powietrze i spróbował jakoś pozbierać do kupy swoje posypane życie.

Odszedł daleko od zabudowań, minął kilku wartowników, którzy spojrzeli na niego i tylko skinęli głową. Kiedy napatrzył się już na gwiazdy, kiedy spojrzął na drugi brzeg rozpościerający się za taflą jeziora, gdzie

wzgórza wspinały się ku mrocznym masywom gór, zawrócił do Bram Edenu.

Niedaleko akwenu płonęło ognisko. Will podszedł do niego, stanął tuż poza zasięgiem blasku płomieni i przyjrzał się kobiecie, która zapewne je rozpałała. Kiedy wyłonił się z mroku i wkroczył w krąg światła Holly, tylko raz na niego zerknęła, po czym ponownie wbiła wzrok w ogień.

– Też nie możesz zasnąć? – zapytała.

– Coś takiego.

– W tym, co mówi Ojciec, jest wiele prawdy. Chociaż rozumiem, że w ciemnych godzinach przedświtu łatwo jest popaść w zwątpienie. – Wskazała ruchem głowy stojący niedaleko niej okrągłak. – Powinieneś usiąść. To ja cię jutro odwiozę, skoro Lonny nie żyje.

Podziękował jej. Przez jakiś czas przyglądał się tańczącym płomieniom, aż w końcu zapytał:

– Skąd on wie te wszystkie rzeczy?

Holly się roześmiała.

– W sensie czy jest jasnowidzem? Medium? Boskim prorokiem?

Przez chwilę Will patrzył na nią w milczeniu.

– W sensie, czy on naprawdę WIE? – doprecyzował. – Czy wie ponad wszelką wątpliwość?

– Nikt nie posiada wiedzy ponad wszelką wątpliwość – odparła. – Bóg dał Adamowi i Ewie raj, ale nawet on nie potrafił ich powstrzymać przed skorzystaniem z wolnej woli.

– Mówisz zupełnie jak on – zauważył Will.

– Jak kto?

– Ojciec. John. Każdy z nas. Czy mężczyzna, czy kobieta.

– Adam i Ewa?

– Na to by wychodziło – stwierdził. – Ale czy to jest raj?

– To zależy od ciebie, sam sprawisz, że to miejsce będzie tym, czym chcesz, by było – odparła.



Spojrzała na niego i roześmiała się. Zaczynał podejrzewać, że to miał być jakiś hermetyczny żart, którego ni w ząb nie rozumiał.

– Uważaj, Will. Oni mogą nie dostrzegać, co się z tobą dzieje, ale ja to widzę.

– Czy to dlatego nie śpisz? – zapytał Will, uśmiechając się niepewnie w nadziei na zatrzymanie potoku myśli, które zaczynały krążyć jej po głowie.

– Czekam na Johna.

– Jak poważne są sprawy między wami?

– Na tyle poważne, żebym tu zaczekała – odparła.

Spojrzał na nią. Potem utkwiał wzrok w otaczającym ich mroku. Rozmyślał o stojącej przed nim teraz kobiecie, a także o tej, którą znał kiedyś. Były tą samą osobą, ale teraz stracił co do tego pewność.

– Doskwiera ci tu czasem samotność?

– Dobrze jest kogoś mieć – odparła. – Pomaga w powstrzymaniu myśli od zbłądzenia zbyt daleko.

Popatrzył na nią. Holly pchnęła patykiem szczapę drewna i oboje przyglądali się wynikłej z tego ruchu fontannie iskier, które następnie uleciały w strumieniach gorącego powietrza. Zastanawiał się, o kim mówiła – o sobie czy o nim – kiedy wspomniała o zbłądzeniu.

\*\*\*

Kiedy Mary May się obudziła, było jeszcze zupełnie ciemno. Brat nie zabrał jej z powrotem do Fall's End, jak obiecał. Dostała niewielki pokój w małym domku, w którym teraz stała i przyglądała się mężczyźnie, który niby był jej bratem, ale jednocześnie jakby nim nie był. Nie znała go.

– Zawieziesz mnie z powrotem do miasta?

– Tak – odparł.

– Pojedziesz ze mną.

– Tak.

– Nie zostawiaj mnie – poprosiła. – Zostań tu. Zostań tu, w tym domu, do rana. Możesz spać na kanapie, a rano zawieziesz nas oboje do miasta.

– Tak – odparł.

Stała i patrzyła na niego. Przypominał jej teraz małego braciszka, którego kiedyś miała. Odtworzyła w pamięci matkę wciąż suszącą mu o różne rzeczy głowę. Odpowiedzi, których jej udzielał. Tak. Tak. Zawsze odpowiadał „tak”.

Kiedy obudziła się w środku nocy, wiedziała, że nie jest sama.

– Drew?

Z drugiej części pomieszczenia dobiegł jakiś szmer. Szelest ubrań i trzeszczenie drewnianego krzesła pod zmieniającym pozycję człowiekiem.

– Drew? – zapytała ponownie.

– Tak – odparł. – Tak. Jestem tu.

Wsparła się na łokciu, obróciła na bok i spróbowała go dojrzeć w mroku. Widziała tylko zarys ciała, cień wśród ciemniejszych cieni pokoju.

– Czy coś jest nie tak?

– Nie.

Usłyszała, jak się porusza, jak wstaje z niewielkiego krzesła, które, jak sobie przypomniała, stało przy drzwiach.

– Czy coś jest nie tak? – powołała pytanie i nasłuchiwała wpatrzona w cień przy drzwiach.

– Musisz się obmyć – oznajmił.

– Obmyć?

– Tak. Musisz się obmyć w wodzie. Oczyszczyć się. Powiedziałeś, że tak zrobisz.

– Drew, przerażasz mnie.

– Nie ma się czego bać – powiedział uspokajająco.

Podszedł do niej, a ona instynktownie się odsunęła. Usiadła na łóżku i wyciągnęła ręce przed sobą, tak jakby mogła się w ten sposób obronić przed czymkolwiek, co jej brat planował.

– Nie bój się – powtórzył. – Musisz się obmyć. Musisz się oczyścić i przygotować, by stawić czoła swemu grzechowi.

Był już zupełnie blisko Mary May, więc ta rozejrzała się w panice. Szukała czegokolwiek, czego mogłaby użyć, by zatrzymać Drew, ale niczego takiego nie znalazła i zanim zdołała się poruszyć czy choćby zasłonić ręką, chwycił ją za kostkę i obrócił gwałtownie, by zaraz bezceremonialnie ściągnąć z łóżka.

Spadła na podłogę, wymachując ramionami i starając się czegoś przytrzymać, ale jej dłonie natrafiły tylko na pościel. Po chwili uderzyła o podłogę najpierw łokciem, a potem głową.

Momentalnie przeszył ją całą ostry ból. Od oszołomienia ciężko jej było zebrać myśli. Wiedziała tylko tyle, że jest ciągnięta po dywanie. Wywinęła się i zatopiła palce w podłodze, ale skończyło się to tylko zgromadzeniem kurzu, piachu, nitek i czego tam jeszcze pod paznokciami.

Drew otworzył drzwi na oścież i do pokoju wpadło światło. Zawołała go po imieniu, ale on się nie zatrzymał. Wymachiwała rękami, złapała za nogę od krzesła, potem za ościeżnicę.

Przez chwilę zdołała zatrzymać się w miejscu, ale wtedy on sięgnął nogą do tyłu, kopnął ją i pociągnął dalej za kostkę. Mary May wygięła się i wykręciła głowę.

– Drew! – krzyknęła. – Drew!

Ale on udawał, że jej nie słyszy. Szedł dalej, ciągnąc ją za sobą, przez pokój dzienny, otworzył drzwi i wyrzucił ją na zewnątrz.

Leżała na żwirowym podejździe, drobne kamyczki kłuły ją w twarz i wplątały się we włosy. Zakaszła. Poczowała smak krwi z jakiegoś rozcięcia we wnętrzu ust. Zakaszła ponownie i rozejrzała się.

Zobaczyła wyraźnie czekającego na nią Johna. Siedział na tylnej klapie pikapa, a wokół zobaczyła też twarze innych ludzi. Mężczyzn i kobiet, których wcześniej widziała, członków Kościoła.

– Witaj – odezwał się John.

Obróciła się, wsparła ręką o ziemię i spróbowała usiąść.

– Co tu się dzieje?

– To już koniec, przebyłaś całą drogę, a tego zawsze dla ciebie pragnąłem – powiedział mężczyzna. – Byłaś sama, żyłaś bez słowa Ojca, ale teraz wreszcie to się zmieni.

Spróbowała się podźwignąć. Kiedy zgromadzeni do niej podeszli, starała się im przeciwstawić. Usiłowała wyrwać się z uchwytu. Ale było ich zbyt wielu. Wkrótce unieśli ją w powietrze i rzucili na pakę półciągarówki.

Wykrzyknęła imię brata. Ponawiała wołanie jeszcze wiele razy, ale nie doczekała się odpowiedzi.

# III

**Każdemu z nas należy przypomnieć, jak bardzo jesteśmy samotni, kiedy oddajemy się grzechowi i żyjemy bez wiary, która utrzymuje diabła z dala od naszych drzwi.**

Ojciec, Bramy Edenu, hrabstwo Hope, stan Montana

Kiedy Will się obudził, Holly siedziała na przeciwległym łóżku.

– Gotowy? – zapytała.

– Ta – odparł. – Która godzina?

– Rano.

Nie miała zegarka ani telefonu, który zresztą byłby bezużyteczny, bo w ich okolicy nie było w ogóle zasięgu.

Zsunął z siebie koce i spuścił bosc nogi na podłogę.

– Jezu, Will. Sam sobie szyjesz bieliznę czy jak?

Spojrzał na swoje majtki. Były już stare. Po latach prania w rzece i suszenia na słońcu czarny kiedyś materiał wypłowiał do jasnego brązu. Uniósł wzrok na kobietę i uśmiechnął się.

– To tylko metafora mego życia.

– Bielizna jest zwierciadłem naszej duszy.

Usiadła i kazała mu wziąć prysznic i zaraz potem powiedziała, żeby odszukał ją później w stołówce w stodole.

Wziął prysznic i włożył swoje stare ubranie. Wciąż pachniało górami, sośniną i kurzem, spękaną skałą, potem i solą. Zabrał karabin i plecak, po czym ruszył do stołówki, gdzie znalazł czekającą na niego Holly.

Podniosła z ziemi kosz, postawiła go przed nim na stole i kazała przejrzeć znajdujące się w nim ubrania.

– Staralam się znaleźć rzeczy, które powinny na ciebie pasować.

Przeprowadził oględziny, wziął ciuchy leżące na wierzchu i położył je obok na blacie.

– Skąd to wszystko jest?

– Dary – odparła. – Will, przecież wiesz, jak to działa. Ktoś przychodzi do nas i daje to, co ma do oddania, a my wtedy przekazujemy coś w zamian. Jesteśmy komuną, chociaż ja bym nigdy w rozmowie nie użyła takiego

gównianego, hippisowskiego słowa.

Przejrzał zawartość kosza i znalazł ubrania, które powinny na niego pasować, po czym zwinął je w rulon i włożył do plecaka.

– Jest tego więcej?

– Pewnie – odparła.

Zaprowadziła go do długiego pomieszczenia, zajmującego połowę jednego z sąsiednich budynków. Kiedy włączyła światło, oczom Willa ukazały się rozściełane od ściany do ściany sterty ubrań. Były też stosy obuwia – równie wysokie, co on sam. Na inną stertę składały się rękawiczki i kapelusze. Były kopce płaszczy, spodni, koszul i bielizny. Ruszył środkiem pomieszczenia, między spiętrzonym odzieniem. Rzeczy rozsortowano jedynie według rodzaju, więc dziecięce ubrania leżały razem z tymi dla dorosłych. Zatrzymał się i podniósł za związane sznurowadła różowo-fioletowe dziecięce buty, ósemki. Białe sznurówki były pobrudzone ziemią.

Obejrzał się na Holly.

– Kershawowie? Lonny powiedział, że gdzieś ich zabrali. Mieli córkę i syna. Ale nie widziałem tu żadnych dzieci. W zasadzie to nie widziałem żadnego z Kershawów.

Wstał i rozejrzał się po otaczających go stosach ubrań. Zaczynał rozpoznawać pojedyncze rzeczy. Koszulki z logo miejscowej drużyny z małej ligi, koszula z naszywką tartaku.

– Co tu się dzieje? Gdzie się wszyscy podziali?

– Wiem, do czego zmierzasz. Ale nie musisz się martwić. Są z nami. Ale nie tutaj.

Przytrzymał buty, żeby przestały się bujać. Przypominały coś z dawno zapomnianego życia.

– Nie rozumiem – powiedział.

– Są inne miejsca – wyjaśniła Holly. – Na wschodzie jest kobieta, która zarządza naszymi farmami. Uprawia rośliny, zapewnia nam wszystko, czego potrzebujemy. Jaja, mięso różnych zwierząt. Nie spodziewałeś się chyba, że

tylko ty się tym zajmujesz. Kościół jest wszędzie i trzeba nakarmić wiele osób.

– I to tam są dzieci?

– Tak – odparła Holly. – Wszyscy są bezpieczni. Każdy wie, co ma robić. Któregoś dnia sam zobaczysz.

Zrzucił buty i jeszcze raz rozejrzył się po stosach ubrań.

– Tyle tego jest – zauważył.

– Jacob, najstarszy z Seedów, zaczął szkolić kobiety i mężczyzn w górach.

– Tych na północ stąd?

– Tak. To niezbyt daleko. Wiele się zmieniło, wiesz? Lonny nie informował cię chyba na bieżąco, tak jak powinien. Rośniemy w siłę, Will. My dwoje nie czuliśmy tego niegdyś, bo byliśmy jednymi z pierwszych, ale z czasem wielu zaczęło do nas przychodzić i prosić o ochronę.

– Ochronę?

– Owszem – przytaknęła Holly. – Przed samym sobą, tak jak ty. Tak jak wtedy, gdy przyszedłeś do Bram Edenu, porzuciłeś picie i wyrzekłeś się grzechu. Inni przyszli, bo potrzebowali wsparcia finansowego. Jeszcze inni, bo stracili wiarę. Niezależnie od powodów, wszyscy potrzebowali naszej pomocy. Dusze nie ratują się same.

Will przyglądał się jej przez chwilę. Potem jeszcze raz spojrzął na sterty ubrań i w końcu odwrócił się twarzą do niej.

– Chyba jestem gotowy – oznajmił, chociaż czuł gdzieś w środku zbudzony niepokój. I widział po wyrazie jej twarzy, że to dostrzegła.

– Budujemy tu coś ważnego – powiedziała.

– Wiem. Rozumiem. Teraz to widzę.

Schylił się po plecak, a potem chwycił karabin i zarzucił pasek na ramię.

Holly wyprowadziła go z niewielkiego oszalowanego domku na zalane porannymi promieniami słońca podwórze.

Gdy dotarli do półciężarówki, którą podjechała tu zapewne dużo



wcześniej, poleciła Willowi wrzucić bagaż na pakę samochodu. Posłuchał jej, po czym podszedł do drzwi od strony pasażera i otworzył je. Wokół nie było widać nikogo innego. Dopiero daleko na żwirowej drodze, za niewielkimi drewnianymi domkami i budynkami gospodarczymi, przy bramie stało dwóch strażników. Traper przez pewien czas przyglądał się im i broni na ich ramionach.

Kiedy w końcu wsiadł do samochodu, Holly już na niego czekała. Gdy tylko zamknął drzwi, przekreśliła kluczyk w stacyjce i uruchomiła silnik.

– Dobrze było cię spotkać, Will.

Spojrzał na nią. Cały czas ścisnął w dłoni karabin, który teraz wetknął między nogi.

– Ciebie też, Holly.

Nacisnęła pedał gazu i ruszyli powoli po żwirze.

– Naprawdę nie powinieneś się tu już czuć jak ktoś obcy. A nawet kiedy przychodzisz raz w miesiącu, nie sprawiasz wrażenia tutejszego. Teraz to widzę. Będę pamiętała, żeby cię odwiedzać. John mnie o to poprosił. Chce, żebym po śmierci Lonny'ego to ja do ciebie zaglądała. Będę wpadała co jakiś czas.

– Cieszę się – przyznał Will.

Nie patrzył już na nią, lecz na domy. Jedne pomalowano niedbale na biało, tak jak stojący za nimi kościół. Inne tylko pobejcowano, żeby choć trochę ochronić materiał przed wiatrem i deszczem. Jechali powoli przed siebie. W pewnej chwili wzrok Willa zatrzymał się na budynku, od którego nie mógł już oderwać oczu. Na białym szalunku frontowej ściany, zaraz obok drzwi, wymalowano byle jak, bo farba ociekała, wielkie litery układające się w słowo GRZESZNIK.

Obrócił głowę, aby lepiej się przyjrzeć mijanemu domostwu, a potem, kiedy już zostawili je za sobą, nadal się wykręcał, żeby nie stracić go z oczu. Wczoraj nie zauważył tego słowa, raczej go tam nie było. Zwrócił się w kierunku jazdy i wyjrzał przez przednią szybę, ale co chwilę zerkał

w boczne lusterko, w którym wciąż widać było dom z napisem. Już miał się odezwać do Holly, gdy ta zaczęła mówić.

– Nie było cię tu od kilku tygodni. Powinieneś przychodzić co najmniej raz na tydzień. Skoro jesteś z nami, powinieneś też uczęszczać na niedzielne nabożeństwa. Wysłuchiwać kazań Ojca. Ależ on przemawia! Ta siła jego myśli i przesłania, które nam ofiarowuje z głębi swojej duszy!

– Tak zrobię – odparł. – Zbyt wiele opuściłem.

\*\*\*

Holly wysadziła go w miasteczku przed sklepem wielobranżowym. Podziękował jej, wysiadł i zabrał plecak.

– Na pewno nie chcesz, żebym cię zawiozła aż do twojej chaty? – Holly zawołała do niego przez otwarte okno.

– Na pewno – odparł. – Potrzebuję nowych siodeł i pułapek, a jeszcze muszę uzupełnić amunicję do karabinu. Większość zastawionych wnyków już pewnie jest nie do użytku, są porwane albo zawleczone gdzieś daleko.

– W porządku. Podwiezie cię potem ktoś jadący w tamtą stronę, co?

– Naprawdę nie trzeba. Dziękuję, Holly.

Spojrzała na niego i już otwierała usta, by coś powiedzieć, ale rozmyśliła się i ponownie uruchomiła silnik. Obejrzała się na niego jeszcze raz i powiedziała, żeby pamiętał o zagładaniu do kościoła.

Patrzył, jak zawraca na ulicy i jedzie z powrotem.

Potem wszedł do sklepu, kupił amunicję i kilkaset stóp dwudziestoczworoplotowej żyłki na sidła. Wziął też wąskie szczypce i nożyce do drutu, bo jego stare zaczynały już rdzewieć od deszczu i śniegu, którego było pełno każdej wiosny i zimy. Wszystko kazał dopisać do rachunku, który kiedyś stworzył mu Lonny, ale zastanawiał się chwilę, czy Holly będzie wiedziała, że trzeba go regulować. Stał przy ladzie i rozmyślał o niedźwiadku. Zapytał sprzedawcę, czy ma pułapki na bobry i pływaki do kompletu. Kupił pięć zestawów i wyszedł na ulicę. Większość zakupów

upchnął w plecaku, a pułapki przywiązał sobie do pasa.

Doszedł do ostatniego budynku w ciągu, zatrzymał się i spojrzął przez szybę. Oparł dłonie na szkle i zajrzał do środka: tylko pustka, kurz i nagie stoliki. Jeszcze rok temu była tu kawiarnia. Spróbował sobie przypomnieć, kiedy ją zamknięto i gdzie się podzieli właściciele. Po chwili ruszył dalej, na drugą stronę ulicy. Stał przed barem, takim samym jak zawsze.

Podszedł do witryny i zauważył, że neony były zgaszone, a w oknie wisiał znak ZAMKNIĘTE. Postawił plecak na chodniku obok drzwi i ruszył wzdłuż ściany budynku. W ciemnym wnętrzu widział tylko cienie i zarysy przedmiotów. Stał przy jednym z okien i zajrzał do środka. Nie był głupi, zawsze umiał kojarzyć fakty. Holly powiedziała mu, że rano Mary May przyjechała z bratem... Przypomniał sobie świeżą farbę na ścianie niewielkiego domku, który mijali. Zastanowił się, czy to był ten sam budynek, o który pytał poprzedniego dnia, ten, w którym zatrzymała się Mary May.

Zachodził w głowę, jak można wciskać kit, jeszcze więcej kitu, skoro ten zaczyna odpadać tu i ówdzie. Obrócił się i rozejrzał się po miasteczku. Wiele budynków miało okna zabite deskami. Will pamiętał czasy, kiedy wszystkie były otwarte, kiedy za wszystkimi oknami, za wszystkimi drzwiami można było zobaczyć człowieka – sąsiada, pracownika sklepu, kogokolwiek. Nie wiedział, kiedy nastąpiła zmiana, nie zauważył, jak nadchodziła, ale teraz zdecydowanie ją widział.

Ponownie oparł się o szybę i spróbował dojrzeć we wnętrzu coś więcej, ale zobaczył tylko odwzajemniające spojrzenie odbicie własnej twarzy. Wrócił do swojego plecaka i nacisnął klamkę. Zamknięte. Cofnął się o parę kroków, ruszył wzdłuż budynku, skręcił za róg, a potem jeszcze raz, na tyły baru.

Pierwsze rzuciły mu się w oczy śmietniki i szopa. Dalej, w połowie długości ściany, dostrzegł drewniane tylne drzwi z metalową kratą chroniącą szybę. Minął pojemniki i nacisnął klamkę. Ku jego zdziwieniu drzwi nie

były zamknięte. Zdjął z ramienia karabin, który cały czas miał ze sobą, i ścisnął broń mocno w dłoni. W żadnym razie nie spodziewał się, że przyjdzie mu jej użyć, ale też zdawał sobie sprawę z tego, że wchodzi do cudzego baru i samo to może pociągnąć za sobą jakieś konsekwencje.

Wszedł powoli do środka i zajrzał do kuchni znajdującej się na zapleczu baru. Niedaleko, w miejscu gdzie kończyło się białe linoleum, leżała już drewniana podłoga głównej sali barowej. Widział krzesła ustawione na stołach nogami do góry i rozproszone światło wpadające przez przyciemnione szyby.

Po chwili usłyszał głosy i zamarł z dłonią wciąż trzymaną na klamce. Jeden głos był męski i dobiegał z bardzo bliska. Po chwili odpowiedział mu łagodniejszy, kobiecy. Will nachylił się, pchnął drzwi, które rozwarły się szeroko, i wszedł do środka.

Na stalowym stole kuchennym przypominającym te chirurgiczne siedział przysadzisty mężczyzna w poplamionym białym fartuchu kucharskim. Zaraz obok stała młoda dziewczyna, która na oko Willa nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia lat. Oboje odwrócili się w stronę nadchodzącego trapera. Jego wejście ucięło rozmowę w pół zdania.

Kucharz zeskoczył ze stołu. Will przeniósł ciężar ciała i opuścił lufę karabinu, ale po chwili się zmytygował, rozpoznawszy stojącego przed nim mężczyznę.

– Cześć, Casey – powitał go. – Teraz ty tu gotujesz?

Kucharz, który w szkole średniej był kilka roczników za Willem, ruszył w jego stronę i zatrzymał się u szczytu stołu. Ewidentnie wciąż starał się zorientować w całej sytuacji. Dziewczyna spojrzała na Willa, a potem na Caseya, który w końcu się odezwał:

– Will?

\*\*\*

Artykuł znajdował się na pierwszej stronie miejscowej gazety. Gazety,

w której trudno było się zaczytywać, tak mało miała treści, i którą większość mieszkańców zwyczajnie odkładała na stos i wykorzystywała potem do rozpalania w piecach. Na jej końcu znajdowały się ogłoszenia o sprzedaży ciągników czy lekcjach wędkarstwa muchowego, a na początek zwykle trafiały informacje o pogodzie, dorocznym zjeździe na kłodach albo atrakcjach organizowanych przez zrzeszenie weteranów wojennych. Casey podał mu gazetę. Will stał za barem, a Janet, kelnerka, siedziała kilka stołków dalej i mu się przyglądała.

– „Właściciel salonu znaleziony martwy” – traper przeczytał na głos nagłówek. Uniósł wzrok na Caseya. – Gary nie żyje?

– Irene zmarła dwa tygodnie wcześniej.

Kolejne myśli przemykały myśliwemu przez głowę. Wspominał oboje zmarłych. Wyliczał. Gary i Irene. Rodzice Mary May i Drew. Właściciele tego baru. Przyjaźnili się. Przynajmniej do czasu, kiedy Will zniknął te dwanaście lat temu.

– W zeszły tygodniu był pogrzeb Gary’ego – wyjaśnił Casey. – Tydzień wcześniej pożegnaliśmy Irene. Leżą w grobach jedno obok drugiego. Trawa nie zdążyła się jeszcze zakorzenić.

Will przeczytał artykuł. Potem ponownie podniósł oczy na Caseya, by po chwili przeciągnąć wzrokiem wzdłuż baru.

– Gdzie jest Mary May? – zapytał siedzącą u końca kontuaru Janet. – Albo Drew?

– Drew? – odpowiedział pytaniem Casey. – Od miesiący go nie widzieliśmy, może nawet dłużej.

– A Mary May?

Janet zerknęła na Caseya, jakby chcąc się upewnić, czy może się odezwać, po czym spojrzała na Willa i powiedziała:

– Nie widzieliśmy jej od kilku dni. Zamknęła bar. Poprosiła nas, żebyśmy wrócili tu dzisiaj spotkać się z nią. Kiedy przyszedłeś, właśnie na nią czekaliśmy. Pomyśleliśmy, że może czas wracać do pracy.

Will rozejrzał się po barze. Nie było go tu od dwunastu lat, ale na pierwszy rzut oka nic się nie zmieniło. Ta sama ciemna farba, ta sama drewniana boazeria, te same reklamy piwa, ten sam kurz w kątach.

Spojrzał na kucharza.

– Gary i Irene zostali pogrzebani na cmentarzu? Tym tutaj?

\*\*\*

Will przyglądał się nagrobkom. W jednej dłoni trzymał kapelusz, a w drugiej ścisnął karabin. Ziemia nie zdążyła jeszcze osiaść. Groby pokrywały świeże kopczyki. Uniósł wzrok i rozejrzał się po okolicznych kamieniach. Wiele nazwisk rozpoznawał. Stał wpatrzony w dwa, które znał bardzo dobrze – jego żony i córki. Można było pomyśleć, że miejscowość wymiera. Jakby wszyscy, których znał, byli już na cmentarzu.

– Prosił o pomoc, ale nikt ich nie słuchał.

Will obrócił się i spojrzał na stojącego nieopodal pastora. Był ubrany tak samo jak w czasach, gdy Will tu mieszkał: czarne spodnie, czarna koszula, czarna marynarka i biała koloratka.

Chociaż na czarnych kręconych włosach pojawiały się już ślady siwizny, nadal był przecież młodszy od Willa o co najmniej dwadzieścia lat. Z tego, co Will pamiętał, podczas pierwszej wojny w Zatoce Perskiej służył jako sierżant zbrojmistrz, po czym odnalazł Boga i przybył tu głosić jego słowo.

– Ja również ich nie wysłuchałem – dodał pastor, tak jakby chciał wytłumaczyć się ze swojego grzechu.

Will omiół mężczyznę wzrokiem. Cmentarz znajdował się przed kościołem, ponad grobami można więc było dostrzec otwarte pojedyncze drzwi, a przez nie – zarysy ławek i przeszkłonych okien.

– Pomyślałem, że może przyszedłeś wszystko spalić, nękać mnie, wyrządzić krzywdę Kościołowi. Ale teraz sądzę, że jesteś tu, by na własne oczy się przekonać, co zdołał osiągnąć twój Kościół. I zastanawiam się, skoro widzę cię tu ponownie, czy to, co widzisz przed sobą, zostawi na tobie

taki sam ślad, jaki zostawiło na mnie.

– Jerome – powitał go Will. – Jak się masz?

– Jestem zmęczony. Prawie cały czas zmęczony. Mam już coraz bardziej dość tego wszystkiego, co się dzieje.

Wychodząc z baru, Will zabrał ze sobą plecak, a karabin niósł całą drogę w obu rękach. Teraz też trzymał go nieruchomo i przyglądał się Jerome'owi.

– Nie przyszedłem cię zastrzelić, nękać ani niczego palić – powiedział. – Przyszedłem po odpowiedzi.

Jerome się roześmiał, a nigdy nie był skłonny do śmiechu. Przyjrzał się uważnie Willowi i odparł:

– Bramy Edenu mają wiele odpowiedzi. A raczej Ojciec ma wiele odpowiedzi; dla tych, którzy szukają u niego schronienia. Ale ja nie mam żadnych. Nie jestem prorokiem, za którego Ojciec się uważa i chce, by wszyscy go takim postrzegali. Podążam ścieżką Boga. Czytam Biblię. Nie przekręcam słów, by pasowały do moich urojeń.

– Chryste...! – zachnął się Will. – Możesz dać sobie z tym spokój, Jerome? Grzmij z łaski swojej o braku miłosierdzia gdzie indziej i spuszczaaj ze smyczy psy wojny na kogoś innego.

– Ludzie uwielbiają cytować Szekspira tuż przed wyruszeniem na wojnę – odparował Jerome. – Zapewne czują się dzięki temu tacy mądrzy. Zaraz przed tym, kiedy ktoś im odstrzeli tyłek. Wtedy akurat czują się bardzo głupi. Co, do kurwy nędzy, mogę dla ciebie zrobić, Will? Chcesz wyznać jakiś grzech?

– Może kilka – przyznał Will. – Ale na razie chciałbym tylko, żebyś mi powiedział, co tu się stało.

– Irene zmarła przed paroma tygodniami. Może to zabrzmie diabelnie ckliwie, ale naprawdę sędzę, że złamano jej serce.

– Jak to?

– Jakiś rok temu twoi kumple zaczęli bardzo mocno naciskać na nią i na Gary'ego. Bardzo jasno dawali do zrozumienia, że nie podoba im się, że

w barze sprzedawany jest alkohol. Nawet zatrzymali kilka ciężarówek z dostawami. A brak czegoś mocniejszego oznacza brak pieniędzy. I to brak pieniędzy postawił ich przed trudnym wyborem: sprzedać dom albo sprzedać bar.

– Zdecydowali się zatrzymać bar?

– Żebyś wiedział – przytaknął Jerome. Ale zgadnij, kto nagle się pojawia i kupuje dom za bezcen?

– Bramy Edenu.

– Szybko kojarzysz – przyznał z przekąsem pastor. – Wyszło na to, że nikt inny nawet nie myślał o kupnie. Mogli zaproponować dowolną kwotę i wiedzieli, że Gary i Irene będą musieli się na nią zgodzić.

– A co z Irene?

– Miesiąc później już nie żyła. Tętniak czy coś takiego, w każdym razie ucisk w głowie.

– A Gary?

– Próbowaliśmy kilka razy przekazać wieści Drew, ale wiesz, jacy ludzie potrafią być w Bramach Edenu. Wiesz, że nie obchodzi ich nic, co mamy do powiedzenia. W końcu Gary uznał, że po prostu tam pojedzie. Że sprowadzi tu syna, żebyśmy mogli odprawić pogrzeb Irene.

– Ale ostatecznie nic z tego nie wyszło, prawda?

Przez chwilę Jerome wpatrywał się w niego w milczeniu. Potem przeniósł wzrok na dwa nagrobki, a jeszcze później ponownie spojrzął na Willa.

– W co ty tu ze mną pogrywasz, Will? Wciąż jesteś z nimi? Powiedziałeś, że jesteś tu, bo chcesz poznać odpowiedzi, ale wygląda na to, że znasz już wszystkie. Dajmy więc sobie spokój z podchodami i pogadajmy jak weteran z weteranem. Chcesz mi wyjaśnić, o co w tym wszystkim, kurwa, chodzi?

– Zaczynam rozumieć, że znam tylko połowę prawdy – przyznał Will. – I wygląda na to, że ty znasz drugą połowę.



– Obaj wiemy, że i na wojnie tak było.

Will spojrzał uważnie na pastora.

– Irene i Gary kiedyś coś dla mnie znaczyli – powiedział po chwili. – Ich rodzina coś dla mnie znaczyła. Byłem wrakiem, ale to akurat wiedziałem.

– Wszystko się zmienia, Will – rzucił Jerome i szerokim gestem wskazał groby dokoła nich. – To miejsce jest tego świadectwem.

– Tak, ale oni mieli rodzinę... wszyscy. Na wojnie czasem się o tym zapomina. Zapomina się o domu. O ludziach, którzy w nim zostali. Obaj znamy to uczucie. Jesteś tam. Jesteś tak daleko od wszystkiego, co znasz, że zaczynasz brać swoje życie tam za to prawdziwe, a to normalne, które znasz z domu, miejsca, w którym się urodziłeś, gdzie dorastałeś... To bierzesz za fałszywe, udawane, i przez większość czasu tylko chcesz wrócić na wojnę.

– Tego właśnie chcesz? – zapytał Jerome. – Ponieważ ja już jestem starszy. Mądrzejszy. Potrafię dostrzec różnicę. Nie jestem już ślepy, tak jak kiedyś byłem. Nie jestem już tak głupi, by sądzić, że trzeba wybrać jedno albo drugie. Jest jeden świat. To życie i tamto życie, wszystko razem to tylko jeden wielki pieprzony bajzel. Większość tutejszych ludzi koniec końców to rozumiała.

Wyminął Willa i spojrzał na rozciągający się przed nim cmentarz.

Traper zastanowił się, co powinien teraz powiedzieć. Myślał o Mary May i o tym, jak ruszyła w góry, jak znalazła brata.

– Jesteś sługą Bożym – powiedział. – Widziałeś kiedyś słowo „grzesznik” wymalowane na czyimś domu?

Jerome obejrzał się gwałtownie.

– Gdzie coś takiego widziałeś? – zapytał.

– Napis znajdował się na domu w Bramach Edenu. Próbuję sobie przypomnieć, czy dzień wcześniej, zanim go zauważyłem, też tam był.

– Widziałem już coś takiego – przyznał Jerome. – Na paru domach w pobliżu Bram Edenu. Ich właściciele przychodzili do tego tu kościoła, do miasteczka. Usiłowali sprzedać swoje nieruchomości, ale nie mogli znaleźć

kupców. Nikt nie chce mieszkać przy czymś takim jak Bramy Edenu. Nikt nie chce mieć wyznawców sekty za sąsiadów. Któregoś dnia obie rodziny po prostu wyjechały. Ci ludzie zwyczajnie zniknęli bez słowa. Nie sprzedali swojej ziemi. Pewnie uznali, że jest już bezwartościowa. Słyszałem, że potem Bramy Edenu odkupiły wszystko od banku.

– Byłeś tam?

– Pojechałem tam, kiedy kilka niedziel z rzędu nie pojawili się na nabożeństwie. Domy były puste. Ani jednego mebla, ani strzępu ubrania. Po prostu puste. Na ścianie wszystkich budynków ktoś wypisał farbą słowo „grzesznik”, tak żeby wszyscy je widzieli.

Will odwrócił się i uniósł twarz do słońca. Próbował sobie przypomnieć, kiedy widział Mary May po raz ostatni. Próbował ustalić, ile czasu minęło. I miał nadzieję, że nie jest jeszcze za późno. Kiedy spojrzał ponownie na Jerome’a, zapytał:

– Masz samochód czy jakikolwiek inny wehikuł? Muszę wrócić do Bram Edenu.

– Zatem dalej jesteś z nimi? – zapytał Jerome.

– Po prawdzie to nigdy nie było mi do nich dalej. Możesz mnie nazwać głupcem, ale chyba nadszedł czas na zacytowanie Szekspira.

\*\*\*

Mary May obudziła się bez tchu, łapczywie chwytając powietrze, tak jakby spała głęboko pod wodą.

Coś jej zrobili. Coś jej podali.

Znajdowała się w ciemnym pomieszczeniu i niby już się dobudziła, ale nadal miała zawroty głowy. Co chwilę traciła ostrość obrazu, a kolory na skraju pola widzenia wyglądały jak w negatywie. Czerń była bielą, a czerwień zielenią. Zostawili ją w kącie, w którym teraz siedziała z głową wspartą o jedną ścianę, plecami zaś dotykając drugiej. Przez szparę pod drzwiami światło wpadało wąską strugą i pełzło ku niej po podłodze.

Spróbowała się poruszyć, wyswobodzić, ale szybko zorientowała się, że ręce miała związane z tyłu, a palce całkowicie zdrętwiałe.

Do tego okazało się, że nogi skrępowane jej w kostkach. Nie mogąc złapać równowagi, upadła i uderzyła czołem o podłogę. Czowała zapach kurzu i czegoś metalicznego, co skojarzyła z posmakiem krwi w ustach.

Odepchnęła się stopami od ściany i popęzła po podłodze, wypatrując światła. Powoli odzyskiwała czucie w dłoniach i palcach. Doznawała licznych ukłuć igiełek na skórze i ciepła krwi normalnie krążącej w żyłach. Odepchnęła się ponownie i przesunęła kolejny kawałek.

Wywieźli ją gdzieś półciągarówką. Położyli na podłodze paki i cały czas siedzieli wokół niej i ją obserwowali. Wielokrotnie usiłowała wstać, ale za każdym razem była powalana z powrotem. Jechali pod górę. Czowała nierówności drogi pod kołami, bujanie sprężyn amortyzatorów i zapach rosnących wszędzie wokół sosen. Gałęzie drzew przesłaniały gwiazdy i księżyc. Kiedy się zatrzymali, usłyszała szum rzeki spływającej z gór. Powietrze było inne, chłodniejsze. Unosiła się w nim woń wody, mułu i skały. Gdzieś z oddali dobiegał głośniejszy szum strumienia przyśpieszającego na progach.

Nie wiedziała jeszcze, dlaczego ją tu zabrali. Nie wiedziała też, gdzie jest jej brat. Rozejrzała się. Chwycili ją, postawili na nogi i zwlekli za ramię z paki samochodu. Potem rzucili ją w piach na brzegu rzeki.

– Czy się przyznajesz?

Uniosła wzrok i spróbowała wypatrzeć tego, kto się do niej zwracał. John stał po kolana w wodzie. Teraz podszedł do niej i spojrzał na nią z góry. Wyciągnął rękę i uniół jej twarz za podbródek.

– Czy się przyznajesz? – zapytał ponownie.

– Do czego?

– Czy się przyznajesz do grzechu?

Spojrzała na niego zadziwiona. Przez chwilę przemknęła jej przez głowę ulotna myśl, że to niemożliwe. Gdzieś głęboko w środku niej tkwiło

poczucie, że nic z tego, co się dzieje, nie może być prawdziwe.

– Wyznaj swoje grzechy, a wszystkie zostaną ci wybaczone.

Rozejrzała się rozpaczliwie w poszukiwaniu brata, ale nigdzie go nie widziała. Poczuła, jak John mocniej zaciska dłoń na jej twarzy, sięgając palcami policzka.

– Gdzie jest Drew? – zdołała zapytać.

– Drew? – John był zdumiony, jakby nigdy wcześniej nie słyszał tego imienia. – Drew to my wszyscy, a my wszyscy to on. Mało wiesz o swoim bracie. Nigdy go dobrze nie znałaś, ale wreszcie ujrzysz go takim, jaki jest, i nas również takich, jakimi jesteśmy, i w tym właśnie znajdziesz zbawienie dla siebie.

Puścił ją. Wszedł głębiej w rzekę i wznosił ramiona, tak jakby spodziewał się padającego deszczu.

– Po niebiosach przechadzają się ci, którzy uwolnili swoje serca od grzechu – powiedział, nie opuszczając rąk.

Podniósł głos, zwracając się do wszystkich: do Mary May i tych, którzy ją tu wywieźli i nie pozwalali jej wstać z podłogi samochodu.

– Ludzie wolni od grzechu mogą przechadzać się z prorokiem, trzymać go za rękę. Ludzie wolni od grzechu mają wstęp do niebios. Ale ci, którzy odrzucają jego łaskę, którzy nie ujawniają przed nami swojego grzechu, którzy odwracają się plecami do Bram Edenu i Opatrzności, ci nieliczni, którzy są na tyle krótkowzroczni, że nie potrafią zrozumieć, oni zostaną strąceni do piekła, które sami sobie zgotowali. A ogień nadejdzie i skapie świat w popiele i płomieniach.

Powoli opuścił ręce i skierował wzrok na klęczącą na ziemi Mary May.

– Teraz, bracia i siostry, musimy jej pomóc. Pomóc odnaleźć drogę.

Poczuła poruszenie wokół siebie, zgromadzeni podchodzili bliżej i bliżej. Oddychała z coraz większym trudem, tak jakby ich napór odbierał jej powietrze. Przyśpieszyła oddech, walcząc o każdy łyk tlenu. Zamknęli krąg wokół niej i dwie pary rąk dźwignęły ją do góry i poniosły w stronę

wody. Zaczęła walczyć. Miotła się, machała niezbornie ramionami i wierzgała, czuła, jak palce u stóp zagłębiają się w zimny, mokry i ciężki piach.

Weszli z nią do wody. Zauważyła, jak jeden z mężczyzn, zaraz obok niej, wlał jakiś ciemny płyn do rzeki. Ciecz unosiła się na powierzchni niczym olej. Poczowała zapach kwiatów, ale nie widziała ich nigdzie na rzece.

– Bracia i siostry, jako że wszyscy wiecie, po co i dlaczego tu jesteśmy, że przybyliśmy, by przeprowadzić to do końca, wzywam was, byście byli świadkami i wsparli pragnienie dostąpienia zbawienia, które dziś usłyszemy. Mary May jest grzesznicą, a my będziemy dłonią, która oczyści ją z grzechu.

Poczowała, jak John chwytą ją za szyję, pociąga do przodu i zanurza jej głowę w pokrytej oleistą cieczą wodzie. Walczyła, miotała się w atramentowych ciemnościach, kopała i rzucała się w ich uścisku, ale trzymali ją mocno z obu stron. Poczowała paznokcie Johna wbijające się w jej skórę.

Kiedy wynurzyła głowę, Mary May zakrztusiła się i wypluła wodę, ale nie miała sposobności nawet krzyknąć. Cały czas czuła na sobie ręce Johna i po chwili ponownie usłyszała jego głos.

– Ta opiera się zbawieniu. Ta walczy o pozostanie w grzechu. Jak widzicie, bracia i siostry, tkwi w niej demon. Zło, które próbuje wymknąć się dobrej woli, którą jej ofiarowujemy, którą obdarzył nas Ojciec. Cóż, dowie się, że walka nie ma sensu. Zrozumie, że musi przyznać się do grzechu i w ten sposób się od niego uwolnić. Zrozumie, że i moje, i wasze dłonie są narzędziami proroka i przedłużeniem jego władzy.

Ponownie zanurzył jej głowę pod powierzchnię i tym razem przytrzymał dłużej. Czuła, jak woda przepływa wokół niej, czuła zimno. Tym razem nie opierała się w obawie, że inaczej nie pozwolą jej ponownie się wynurzyć. Ale w miarę upływu kolejnych sekund jej ciałem poczęły wstrząsać konwulsje i nie potrafiła już zapanować nad potrzebą nabrania oddechu,

uwolnienia ust i nosa od naporu wody. Miotła się, a oni ją trzymali. Następną świadomą myślą była ta o przebudzeniu.

Ocknęła się w ciemnym pomieszczeniu, wciągając powietrze tak łapczywie, jakby dalej ją topili. Co zresztą prawie im się udało. Ubranie miała wciąż wilgotne. Ze związanymi rękami i nogami przesunęła się po podłodze w stronę światła jeszcze o kawałek.

\*\*\*

Jerome zjechał swoim staruteńkim oldsmobilem z szosy na biegnącą wzdłuż szczytu skarpy i przeoraną koleinami drogę gruntową. Will powiedział mu wszystko, co mógł, ale miał przy tym świadomość, że pewnie są jakieś luki w tej narracji – szczegóły, których zwyczajnie nie znał. Kiedy skończył opowiadać całą historię pastorowi, zrozumiał, że pozwolił Bramom Edenu i Ojcu się omamić. Gdy jechali po skarpie, z której widać było jezioro, a z rzadkiego lasu wyłaniały się zabudowania kompleksu, Will nie miał wątpliwości, że chociaż w końcu przejrzał na oczy i dostrzegł prawdę na temat sekty, to na pewno wciąż pozostawał ślepy na wiele innych rzeczy.

– Powiedz, do czego to doprowadzi – odezwał się Jerome. – Wciąż uważam, że to szaleństwo i że mogłeś postradać zmysły.

Will przyglądał się budynkom w dole. Z jadącego samochodu między mijanymi drzewami widział tylko ich fragmenty. Spróbował wypatrzyć cokolwiek, co znajdowałoby się przed nimi, i ułożyć jakiś plan działania, który pozwoliłby mu zejść niepostrzeżenie ze skarpy, znaleźć Mary May i przyprowadzić ją z powrotem.

– Podjedź kawałek w górę i zatrzymaj się, kiedy znajdziesz jakieś bezpieczne miejsce, niewidoczne z dołu.

Jerome obrócił się i wyprostował, żeby lepiej widzieć teren w dole.

– Masz szmat drogi do przejścia.

– Mam karabin – stwierdził Will. – Poradzę sobie. Nie pozwolę im się do siebie zbliżyć.

Jerome zatrzymał się, po czym nawrócił. Znalazł kępkę niewysokich sosen wyrastających z powalonego pnia starego drzewa. Postać przez chwilę w miejscu, po czym wyłączył silnik i spojrzał na Willa. Miał bardzo poważny wyraz twarzy.

– Zdajesz sobie sprawę, że oni też mają broń?

Will tylko popatrzył na niego i się uśmiechnął.

– Ta. Słyszałem, że to u nich norma.

– W ogóle cię to nie martwi?

– Będzie mnie martwiło tylko wtedy, kiedy zaczną jej używać.

– Mógłbym pójść z tobą – zaproponował pastor. – Pomógłbym Ci.

– Już pomagasz – odparł traper. – Jeśli ona tam jest, jeśli ją mają, jeśli zdołam z nią tu wrócić, dobrze by było, gdybyś mógł nas oboje od razu stąd zabrać.

– No dobra – zgodził się Jerome. – Spróbuj nie dać się postrzelić.

Will otworzył drzwi i zbierał się, by wysiąść z samochodu.

– To nie tak, że nigdy dotąd do mnie nie strzelano – zauważył.

– Kiedy tylko do ciebie strzelają, wszystko gra – skontrował pastor. – Gorzej, kiedy zaczynają trafiać. Zapamiętaj to sobie i postaraj się tu wrócić.

Will zamknął za sobą drzwi, przełożył pasek karabinu przez ramię i wsunął kapelusz na głowę. Wyjął z plecaka nóż myśliwski, a kieszenie spodni wypełnił kupionymi rano nabojami. Potem ruszył między drzewami. Kiedy dotarł do polanki z widokiem na jezioro i Bramy Edenu, przykucnął i spojrzał przez lunetę, żeby sprawdzić, czy ktoś nie patrzy w jego stronę.

\*\*\*

Sądziła, że widzi światło dzienne, ale im bliżej była szpary pod drzwiami, tym mocniej w to wątpiła. Leżała na podłodze ze związanymi rękami i nogami i czuła tylko niewielki ruch powietrza pod drzwiami. Drobinę kurzu unosiły się tam niczym pierwotniaki w niemrawym prądzie morskim.

Po chwili usłyszała echo czyichś kroków. Rozbrzmiewało coraz bliżej,

jakby ktoś szedł bardzo długim i pustym korytarzem. Na pewno ktoś się zbliżał. Obserwowała cały czas ten sam pasek światła i wkrótce dostrzegła przesuający się cień, który zatrzymał się po drugiej stronie.

Kiedy drzwi stanęły otworem, zalało ją oślepiające światło. Zaciśnęła mocno powieki i spróbowała odwrócić wzrok. Nie miała zbyt daleko uciec. Odotoczyła się tak daleko, jak mogła, będąc skrępowaną, po czym zamarła i starała się skupić spojrzenie. Pokój miał przeciętną wielkość, a na wszystkich jego ścianach widniały nazwy siedmiu grzechów głównych. Powtarzały się setki razy. Każde słowo wypisano na innym kawałku wyblakłego, niemal sztywnego arkusza i przymocowano w jakiś sposób do ściany.

Łakomstwo.

Nieczystość.

Chciwość.

Pycha.

Zazdrość.

Gniew.

Lenistwo.

Mary May obróciła się i przyjrzała im uważniej. Wodziła wzrokiem od jednego nabazgranego słowa do drugiego. Materiał był postrzępiony i pomięty. Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w to wszystko, aż nagle zrozumiała, czym jest unoszący się w pomieszczeniu zapach. Metaliczna, niemal octowa woń skóry. To strzępy, przybitej w setkę różnych miejsc, skóry pokrywały całą ścianę. We wszystkich odcieniach, jakie może przybrać człowiek, od jasnej po ciemną.

– Nie masz się czego obawiać – powiedział Drew.

Stał w drzwiach i zaglądał do Mary May. Począł, aż jej oczy przyzwyczajają się do światła i odzyskają ostrość widzenia.

Obróciła się, żeby spojrzeć na brata. Ten omiótł spojrzeniem ściany pokoju, po czym przyklęknął obok niej.



– W dziczy, kiedy uciekłaś w las, John chciał cię zabić. Chciał, żebyś odeszła, zniknęła. Poprosiłem go, żeby tego nie robił. Poprosiłem, żeby cię oszczędził, bo tak nas nauczono, by oszczędzać każdego, kto dostrzega prawdę.

Drew wstał i podszedł do jednej ze ścian. Przyjrzał się uważnie kawałkowi skóry, po czym ponownie zwrócił się do siostry.

– Ten – powiedział, wskazując strzępek. – Ten jest mój.

Spojrzała na ścianę i odczytała grzech: ZAZDROŚĆ.

– Ojciec i John pomogli mi dostrzec, że trawi mnie zazdrość. Że zawsze zazdrościłem innym i że dalej tak będzie, jeśli nie zaakceptuję siebie takiego, jakim jestem. Pomogli mi wyjść na prostą i w ten sposób pokazali, jak bardzo byłem zagubiony.

– Ten jest twój? – zapytała, nie rozumiejąc. Spojrzała na niego, po czym rozejrzała się dokoła. – Co to jest? Co to znaczy?

Pochylił się i klęknął przed nią. Wyciągnął ku niej rękę, dotknął palcami jej szyi i przesunął je wzdłuż mostka.

– Tatuaz umieszczają w tym miejscu. Zaglądają w twoją duszę i widzą grzech, który w sobie nosisz. Potem, poprzez tatuowanie go na piersi, wyciągają go na powierzchnię. – Wstał ponownie, odrywając dłoń od jej skóry. – Kiedy zaakceptujesz swój grzech, możesz się go pozbyć. – Z tymi słowami odciągnął palcem kołnierz swojej koszuli.

Mary May dostrzegła tam bliznę przypominającą oparzenie, ale wiedziała już, że to co innego – że wycięto stamtąd kawałek skóry. Spojrzała znów na ścianę. Na grzech, który kiedyś był wytatuowany na piersi jej brata. Kiedy wróciła do niego wzrokiem, zapytała:

– Co oni ci zrobili, Drew? Dlaczego pozwoliłeś im to zrobić? Nie jesteś taki. Nie jesteś człowiekiem, za którego cię mają.

– Nie – odparł. – Już nim nie jestem. Co do tego masz rację.

Wyciągnął zza pleców rewolwer, uniósł do oczu i przyglądał się mu przez chwilę, jakby to był jakiś skarb wyłowiony z dna morza.

– Nigdy nie traktowali mnie jak równego sobie. Nigdy nie sądzili, że mogę być taki jak ty albo cała reszta. Zawsze mieli mnie za kogoś gorszego. Nigdy mnie nie chcieli. Teraz to wiem. Wiem, że to ich grzech dał mi życie, i pogodziłem się z tym. Zaakceptowałem wszystko. To, co zrobili, kiedy obdarzyli mnie tym życiem, również. Ale oni nigdy mnie w zamian nie zaakceptowali.

– Co ty wygadujesz? – zapytała z niedowierzaniem. – Rodzice cię kochali. Tata tu przyjechał po ciebie. Przyjechał, żeby cię zabrać do domu, tak samo jak ja teraz. Musisz dostrzec, że w tym jest miłość. Musisz to zrozumieć.

– Nie – zaprotestował Drew, obracając broń w dłoni. Wyciągnął ją do niej i drugą ręką pomógł jej podnieść się na kolana. – To ty nie rozumiesz. To ty jesteś naznaczona grzechem. To ty musisz zostać oczyszczona. A ja jestem tym, który cię uratował. Jestem tym, który cały czas cię ratuje.

\*\*\*

Will schodził ze skarpy zakosami. Kiedy dotarł do płaskiego terenu, rozciągającego się w pobliżu jeziora, między rzadko rosnącymi drzewami znalazł nań widok, ale dostrzegał także zabudowania. Wyobraził sobie, że tam jest. Chociaż zasadniczo był jednym z nich, jednym z braci i sióstr Bram Edenu, wiedział, że musi zachować ostrożność. Położył się w gęstym podszyciu i popatrzył na budynki przez lunetę.

Dobrze widział dom, na którym wcześniej wymalowano słowo GRZESZNIK. Teraz ścianę pokrywała świeża biała farba. Musiał przyjrzeć się temu kilka razy, zanim dotarło do niego, co właściwie dostrzega. Wypisane farbą słowo zostało zamalowane. Tak jakby nigdy go tam nie było.

Przyjrzał się przez lunetę zwirowej drodze, a potem poszczególnym budynkom. Nie za bardzo wiedział, od czego powinien zacząć, na jakiej podstawie ma odgadnąć, gdzie Mary May może się znajdować i w jakim jest

stanie.

Dwanaście lat temu Will przybył do kościoła, by wyznać swoje grzechy. Przyszedł pomówić z Ojcem i poprosić go o wybaczenie. I chociaż Will zawsze był wierzący i uczęszczał na nabożeństwa w miasteczku, chociaż regularnie się modlił, w jego odczuciu prośby o ukojenie i akceptację tego, co uczynił, pozostały bez odpowiedzi.

Ojciec zaś powiedział mu wówczas, żeby nie tracił wiary, i nałożył na niego ręce w nieznanym Willowi dotąd sposób. Myśliwy poczuł się po tym zupełnie inaczej niż po mszy w miasteczku. Potem Ojciec objął go i uściśnął jak brata. Następnie wskazał na swoich braci: Johna i najstarszego z nich, Jacoba. I zwrócił się do Willa w te słowa:

– Będziesz dla nas niczym brat, a więź, którą dzielisz z nami, będzie mocniejsza od tej, która wynika ze wspólnoty krwi. Będziesz dla nas rodziną i będziemy o ciebie dbali jak o członka rodziny, i ty będziesz o nas dbał w ten sam sposób, i w tym znajdziemy pocieszenie, będziemy się nawzajem wspierać aż po kres czasu.

To powiedziawszy, wypuścił Willa z objęć. Przez chwilę wszyscy, w tym około dziesiątka wiernych, która wkrótce miała się rozrosnąć do wielu setek, stali w milczeniu. Will spojrzał na Ojca, a ten nakazał mu się obmyć w rzece, zanurzyć w niej i zmyć z siebie grzech.

John osobiście ochrzcił Willa, po czym zwrócił się do niego:

– Teraz musisz się wyświadczyć. Musisz wyznać swój grzech.

– Ale ja go nie znam – odparł traper.

– Znasz. Znasz go jak własne odbicie w lustrze, które, gdy ktoś je zabierze, się zapomina.

– Nie widzę go – odparł Will. – Jestem zagubiony. Zagubiony bez nich, bez mojej żony, bez mojej córki.

Wtedy John przyciągnął go do siebie tak jak wcześniej Ojciec i poprowadził na skraj rzeki, w miejsce, gdzie woda była spokojna i gładka.

– Teraz dostrzegasz tkwiący w tobie grzech – powiedział John. – Jesteś

myśliwym. Jesteś zabójcą. Jesteś człowiekiem gniewu, nie dobra. I z tego właśnie powodu tu jesteś. Jesteś tu, by pokonać swój grzech i pozbyć się tkwiącego w tobie gniewu.

Will oderwał oko od lunety. Już wiedział, dokąd zabrali Mary May. Już wiedział, co jej zrobili, i obawiał się, że może być już za późno.

\*\*\*

John wsunął jej dłoń za głowę i dmuchnął w twarz proszkiem, po czym przyklęknął i przyjrzał się jej. Mary May zdawało się, że patrzy przez nią na wskroś, że jego wzrok przekłuwa oczy i przebija głowę na wylot. Na dodatek narkotyk drażnił jej oczy i wdierał się do gardła niczym dym.

– Posmakowałaś zaledwie ułamka prawdziwej siły Błogości, w której kapiemy grzeszników – powiedział John. – Nie miałaś możliwości, by ujrzeć świat w jego najprawdziwszej postaci, odarty do naga, ujawniony w całym majestacie.

Odsunął się od leżącej i przyjrzał się jej. Miała trudności z utrzymaniem koncentracji. Chmura proszku sunęła w poprzek jej pola widzenia, wszystko zaczęło się zniekształcać i ją wciągać. Mimo to była jeszcze świadoma, że Drew stoi obok z lufą ojcowskiego rewolweru przytkniętą do jej głowy.

– To już nie będzie potrzebne – zwrócił się do niego John.

Spojrzał na Drew i nakazał mu opuścić broń. Potem polecił przeciąć więzy na jej rękach i nogach, a następnie odsunąć się i stanąć za nim.

Spróbowała poruszyć ramionami i podciągnąć stopy pod siebie, ale czuła się przygwożdżona do podłogi, jakby jej kończyny były z kamienia. Przy każdym ruchu napotykała opór powietrza; miała wrażenie, że zmieniło się w gęstą maź. Runęła głową naprzód. Nie w świat złożony ze stałych połączeń między atomami i cząstkami, ale w świat oswobodzony z więzów materii.

Poruszyła się, ale jednocześnie pozostawała w bezruchu, a potem, kiedy jej umysł dogonił instynktowne reakcje ciała, tknęło ją, że może w ogóle ani

drgnęła, albo że, tak jak czuła to teraz, kiedy John spoglądał na nią z góry, może w ogóle opuściła już swoje ciało.

– Jestem pewien, że Drew ci wyjaśnił, co chciałem z tobą zrobić – odezwał się John. – Na pewno powiedział ci, że moim zdaniem lepiej byłoby cię zabić. Ale w ten sposób chyba będzie lepiej. Chyba będzie lepiej, jeśli będziesz wiedziała, że on wciąż cię kocha, chociaż ty nie okazujesz mu w zamian swojej miłości. To dlatego cię nazaczyliśmy. To dlatego zaprowadziliśmy cię nad rzekę, by cię obmyć. A teraz oczekujemy od ciebie wyznania. Wtedy będziemy mogli odesłać cię jako jedną z naznaczonych grzechem, ale jeszcze bez przebaczenia.

W głowie jej wirowało, miała trudności z utrzymaniem jej w jednym miejscu. Wszystko było rozmyte. Kiedy spoglądała w górę, na Johna i Drew, była pewna, że ich ciała rozpuszczają się i zostają tylko białe kości.

Odwróciła wzrok i spojrzała na ścianę. Na wiszące wszędzie wokół kawałki skóry. Rozciągnięte i przymocowane zszywkami niczym martwe od dawna i umieszczone w gablocie motyle. Teraz, kiedy narkotyk zadomowił się w jej krwiobiegu, dopatrzyła się w tym wszystkim piękna. Specyficznego piękna grzechu i wiszącej na ścianie skóry wyciętej z piersi grzeszników.

John zwrócił się do Drew. Wyjaśnił mu, że kolejny krok całego procesu związanego z Mary May nie będzie łatwy dla kogoś jej bliskiego. Poleciał mu wrócić do domu i tam zaczekać. Powiedział, że wkrótce będzie po wszystkim – kiedy tylko jego siostra przyzna się do grzechu.

Drew wyraźnie się zawahał, ale chwilę później pogodził z sytuacją. Wkrótce potem Mary May zorientowała się, że jest sama z Johnem. Kiedy tylko drzwi zamknęły się za jej bratem, mężczyzna podszedł do niej, przesłaniając światło sufitowe i przeistaczając się jakby w sam cień, esencję cienia. W jej oczach przybrał postać spoglądającego na nią z góry ojca.

Jej własnego ojca. Była tego teraz pewna. A kiedy światło ponownie go oświetliło, straciła resztki wątpliwości. Jego twarz. Jego oczy. Dotyk dłoni na policzku. Nie rozumiała tego. Obserwowała go, jak się od niej odsuwa,

jak przechodzi na drugi koniec pomieszczenia i przez dłuższy czas na nią patrzy. To on, pomyślała. To on. Jej umysł próbował jakoś zracjonalizować te spostrzeżenia, a tymczasem narkotyk dotarł do każdej żyły w jej ciele.

Podszedł do niej ponownie, bardzo blisko. Ujął ją za ręce, nachylił się i obrócił jej dłonie wnętrzem ku górze. Przez chwilę wodził wzrokiem po bruzdach w skórze, tak jakby chciał stworzyć mapę tego labiryntu, którym były jej linie papilarne. Potem zaczął mówić rwanymi zdaniami, a głos, który słyszała, nie należał do Johna, ale do martwego ojca. Przemawiał do niej, tak jakby chciał ją pocieszyć z zaświatów. Słowa dobierał starannie, co chwilę zawieszał głos, niektóre wyraz przeciągał, a inne skracał.

– Twoje dłonie – powiedział John. – Spójrz tylko, co z nimi zrobiłaś. Spójrz, co z nimi zrobiłaś, żeby się tu dostać. Posiniaczone i pocięte. Ranne, zmarnowane, z maltretowane. Chociaż teraz możesz jeszcze tego nie dostrzegać, przybyłaś do nas, aby odnaleźć swój cel. A ten ma początek u twych dłoni. Dotyczy rzeczy, które mogą zbudować. Dzieł, które mogą wykonać. W samym jednym palcu drzemie olbrzymi potencjał. Dziesięć daje możliwości nieskończone.

Mówił w sposób wyćwiczony. To, jak prowadził głos, przypominało skrzyżowanie narracji członków ruchu odnowy duchowej, którzy zgromadzili się gdzieś w namiocie, pod gołym niebem, ze sposobem prezentacji poskramiacza węży ze środowiska południowych baptystów. Mary May usiłowała wszystko zrozumieć. Próbowwała objąć umysłem tę istotę, którą widziała przed sobą, Johna albo jej ojca, bo nie potrafiła odróżnić jednego od drugiego. Wsłuchiwała się we wznoszący się i opadający głos i rozmyślała o życiu po śmierci, o tym, czy jakaś dusza mogłaby w razie potrzeby wrócić do świata żywych: co ta dusza w swej nieskończonej wiedzy o życiu po śmierci mogłaby w niej dostrzec, czy zostałaby okrzyknięta świętą czy demonem, spalona czy ocalona.

Przyjrzał się jej. Uniósł wzrok i spojrzał na przybite do ściany fragmenty skóry. W jej umyśle wszystko wirowało. Na tyle, że wręcz słyszała szmer

ocierających się o siebie kawałków tych cielesnych powłok, był jak szelest zrzuconej już z tułowia skóry węża, pozostałości stanowiących świadectwo opuszczenia jednego ciała i wstąpienia w drugie.

Nie wierzyła w to. Nie wierzyła, że to naprawdę jej ojciec. Nie można było wrócić z martwych. On odszedł. Odszedł z tego świata i to nie mógł być on.

John utkwiał w niej swoje spojrzenie. Wyraz jego oczu był niemal drapieżny, jak u pумы wpatrującej się w mroku w swoją ofiarę. Nagle wróciła do niej świadomość tego, gdzie się znajduje, z kim jest w jednym pomieszczeniu i jakie grozi jej niebezpieczeństwo. Starła się odsunąć, ale John trzymał ją mocno za rękę. A kiedy opuściła wzrok, ujrzała nie dłonie Johna, ale ponownie ojcowskie. Pomarszczone i poznaczone odciskami. Kochane. Dłonie, których nie mogła nienawidzić. Dłonie, które chciała trzymać, tak jakby dzięki temu ojciec miał już nigdy jej nie opuścić.

Kiedy spojrzała na nie po raz wtóry, głaskał jej skórę, tak jak tylko ojciec mógłby głaskać złamaną rękę swojego dziecka.

– Razem – powiedział teraz już łagodnym głosem. – Twoje dłonie w moich. We wspólnocie jest tylko ciepło, tylko zrozumienie, tylko prawdziwy dar; potencjał, który w tobie dostrzegamy. A bez tego daru jesteś sama, samotna.

Trzymał ją za palce jeszcze przez chwilę, po czym puścił. Wiedziała, że mówił prawdę. Czowała chłód tego pokoju, a także unoszący się w powietrzu zapach rozkładu; nie tylko skóry, ale też kurzu, straty i samotności.

– Czy rozumiesz? – zapytał. – Czy rozumiesz swój grzech i to, jak zagradza ci drogę do bram niebios?

Teraz stał w świetle, bijący z góry blask zalewał jego skórę. Jej ojca. Jego włosy były niemal przejrzyste. Rozejrzała się, tak jakby właśnie wybudziła się ze snu, czując zagrożenie, ale nie dostrzegając go. Widziała tylko swojego ojca i bardzo chciała do niego pójść, objąć go i już nigdy nie puścić, ale czuła, jak jakiś ciężar przyciska ją do podłogi, jakby wciąż była

pod wodą, a on spoglądał na nią ze świata, w którym można oddychać.

– Ten grzech tobą rządzi od chwili przebudzenia i będzie rządził nadal, do ostatnich niedokładnie pamiętanych snów – powiedział. – Ale mogę przerwać ten cykl. Mogę wydostać go na powierzchnię i potem, któregoś dnia, wyciąć go z twojej skóry. Czy pozwolisz mi to zrobić z własnej nieprzymuszonej woli? – zapytał i zamilkł w oczekiwaniu na jej odpowiedź.

Rozejrzała się po pokoju. Wodziła wzrokiem od jednego skrawka skóry do drugiego, po czym przeniosła spojrzenie z powrotem na niego. Jej ojciec się rozpląnął, ale nikt nie zajął jego miejsca, ani John, ani Drew, nikt. Istota, którą widziała, nie była człowiekiem. Raczej głosem skądś z wysoka, bóstwem przemawiającym z górskich szczytów, wiele tysięcy stóp nad nią.

– Tak – odparła.

Wrócił do swojego wcześniejszego usposobienia. Głos ponownie dudnił w całym pomieszczeniu, a Mary May miała trudności z podążaniem za dźwiękiem, za jego słowami.

– Jakże piękny jest dar dłoni. Jest to dar, który otrzymujemy wszyscy. Dłonie są jak język albo umysł, albo mięśnie pod skórą. Stanowią narzędzia i zostały wykorzystane niezgodnie z przeznaczeniem. Są wyszczerbione i powyginane, pobrużdzone, nawet złamane raz czy dwa, ale mogą same się wyleczyć. Taka moc w nich drzemie i nie wolno o niej zapominać. Pomimo całego zła, które te dłonie wyrządziły, pomimo wszystkich złych dróg, na które cię sprowadziły, wszystkich dni spędzonych na ciężkiej pracy, po której okazywało się, że tworzysz podobiznę fałszywego proroka. Pomimo tego wszystkiego te dłonie można wciąż uleczyć. Ponownie mogą być narzędziami i działać w sposób, jaki został pierwotnie zamierzony.

Znów podszedł do niej. Działanie narkotyku jakby zelżało i widziała, że przed nią stoi John, a nie jej ojciec. Z powrotem ujął ją za dłonie. Bała się nie miejsca, w którym się znalazła, ale osoby, która była tu razem z nią. Bała się słów, których używał, i tego, jak zaczynały w nią wsiąkać, splatać się i utwardzać niczym rusztowanie, które miało usztywnić samą jej istotę,



a wkrótce przejąć nad nią całkowitą kontrolę.

– Cieszę się – powiedział John. – Cieszę się, że Błogość pozwoliła ci wkroczyć na tę ścieżkę prawdziwszego zrozumienia.

Jej własnymi dłońmi pociągnął za kołnierzyk koszulki Mary May, rozciągając i w końcu rozrywając materiał, aż poczuła stężałe powietrze na nagiej skórze.

– Twój grzech zostanie wyryty tutaj, nad piersiami, będzie przypominającym o nas znakiem. Będziesz miała wiele dni i nocy, by o tym rozmyślać, aż w końcu zrozumiesz, że wniosek może być tylko jeden. I wtedy dołączysz do nas tutaj, wyrzekniesz się swojego grzechu i swojego życia poza tą wspólnotą. Ale najpierw musimy cię przygotować. Musimy cię dokładnie obmyć, gdyż twoim grzechem jest zazdrość, i zostanie umieszczony na tobie, by wszyscy go mogli zobaczyć.

\*\*\*

Will wszedł przez drzwi na tyłach i przystanął. Spojrzał wzdłuż długiego korytarza, oświetlonego rozmieszczonymi na suficie co około dziesięć stóp żarówkami, zabezpieczonymi metalową siatką. Było ich łącznie sześć – pod każdą mieściły się drzwi do pokoiów. Nie był w tym miejscu od lat, ale niczego nie zapomniał. Wiedział, gdzie znajdowało się najważniejsze pomieszczenie, w którym dawno temu jego tatuaż został przymocowany zszywkami do ściany. Wiedział też, że to właśnie tam zabraliby Mary May. Był tego pewien, bo przecież kiedyś zabrali tam i jego.

Zdażył przejść tylko kilka kroków, kiedy usłyszał dźwięk otwieranych drzwi. Natychmiast zamarł i podjął szybką decyzję o ukryciu się w najbliższym pokoju. Uchylił drzwi, za którymi czekała ciemność pustego pomieszczenia, po czym wślizgnął się do środka i przymknął skrzydło, pozostawiając tylko wąską szczelinę, przez którą mógł obserwować korytarz i zobaczyć, kto nim idzie. Zastanawiał się, co by się stało, gdyby go tu znaleźli. Czy dostrzegliby, że stracił już swoją wiarę. Rozważał, czy to było

aż tak oczywiste i czy w innym czasie i innym miejscu przysliby do jego domu i wypisali mu farbą na ścianie słowo GRZESZNIK.

Niemal po omacku Will odciągnął zamek karabinu, sprawdził komorę naboju i ostrożnie z powrotem ją zamknął. Wsłuchał się w odgłos zbliżających się kroków. Ktoś noszący ciężkie buty minął go, po czym poszedł dalej.

Traper uchylił nieco drzwi i wyjrzał na zewnątrz. Zobaczył plecy Drew. Przyglądał się jego niemal mechanicznym ruchom. Każdy krok był stawiany z rozmysłem, noga za nogą, aż do drzwi na końcu korytarza, przez które wyszedł na światło dnia.

Kiedy tylko rozległ się szcęk zamykanych drzwi, Will wyszedł z powrotem na korytarz i ruszył w dalszą drogę. Nie spodobało mu się to, co widział, i zastanawiał się teraz, dlaczego Drew nie jest z Mary May. Zaczął wątpić w swój plan, ale jednocześnie coraz bardziej bał się o dziewczynę.

Korytarz wyglądał zasadniczo tak, jak go zapamiętał. Chłodna metalowa oblicówka na drewnianym szkielecie ścian – ze światłami osadzonymi co kilka stóp na całej długości sufitu. Szereg drzwi prowadzących do poszczególnych pomieszczeń. Framugi stanowiące jedyne źródło cienia w płaskim, prostym tunelu.

Trzymając karabin przed sobą, Will ruszył dalej, stawiając ostrożnie każdy krok, najpierw pięta, potem palce. Gumowa podeszwa jego butów cicho skrzypiała na podłodze. Jeśli Mary May tu była, to w pokoju na końcu korytarza. Spojrzał przed siebie i szedł naprzód ze wzrokiem utkwionym w drzwiach, za którymi spodziewał się ją znaleźć.

Wtem zgrzytnęły zawiasy i traper usłyszał kroki kogoś nadchodzącego z naprzeciwka. A potem głos. Głos, o którym wiedział, że należy do Johna.

Will ruszył szybko. Zrobił trzy kroki, starając się narobić jak najmniej hałasu. Przed sobą miał drzwi. Kiedy jakieś pięćdziesiąt stóp przed nim nagle pojawił się John, schował się za nimi. Brat Ojca przez chwilę z kimś rozmawiał, ale serce Willa biło tak szybko, że szum krwi w uszach

uniemożliwiało mu zrozumienie poszczególnych słów. Już się kiedyś tak czuł. Podczas spotkania z wielkim niedźwiedziem, ze swoją żoną i dzieckiem, a jeszcze wcześniej podczas wojny. Teraz ponownie czuł to samo. Próbował wyprzeć to uczucie, uwolnić się z jego uścisku.

Kiedy się pochylił i ponownie wyjrzał zza framugi, John już ruszył w stronę miejsca, w którym stał Will. Chwilę później otworzył inne drzwi i zniknął za nimi. Will zaś wyszedł z ukrycia i ruszył w dół korytarza. Serce dalej tłukło mu się w piersi tak mocno, że czuł puls na skórze, ale zignorował to i parł dalej. Postanowił działać, bo podejrzewał, że może nie mieć drugiej okazji. Jeśli miał uratować Mary May, musiał to zrobić teraz. Żywił tylko nadzieję, że ją znajdzie i że cokolwiek się z nią działo, przez cokolwiek właśnie przechodziła, nie dobiegło to jeszcze końca.

Sunął naprzód szybkimi, cichymi krokami. Dotarł do drzwi, za którymi znajdowało się pomieszczenie wyłożone wszystkimi możliwymi grzechami, przekręcił klamkę i wszedł. Wewnątrz ujrzał Mary May. Klęczała na podłodze, pięć stóp za progiem. Oczy miała szkliste i niemal nie zareagowała, kiedy do niej podszedł i spróbował dźwignąć ją na nogi. Kołnierz jej koszulki był rozerwany i rozchylony. Widział skraj jej biustonosza i nagą skórę nad mostkiem. Spróbował zebrać materiał i jakoś jej pomóc.

– Mary May – szepnęła i spojrzała za siebie.

Zostawił otwarte drzwi. Powiew chłodnego powietrza napływającego z korytarza sprawiał wrażenie, jakby to duch sunął obok niego.

Obrócił się z powrotem do dziewczyny i ponownie spróbował dźwignąć ją na nogi, ale ona nie reagowała, była całkowicie bezwładna. Pstryknął jej palcami przed nosem i powtórzył jej imię.

– Mary May, musisz mi pomóc. Musimy ruszać. Musimy cię stąd zabrać. Muszę cię stąd wydostać. Nie wiesz, co oni robią ludziom.

Obrócił lekko jej głowę i wtedy spojrzała mu w oczy.

– Jesteś tam? – zapytała.

Przyjrzał się jej. Oczy Mary May pływały pod powiekami, jakby się całkowicie obłuzowały, ale czystość i siła jej głosu były dla niego zaskoczeniem. Jeszcze raz obejrzał się szybko za siebie, po czym odezwał się do niej:

– Mogę cię podnieść. Mogę cię stąd wynieść na ramieniu. Ale byłoby lepiej, gdybyś mogła stawiać kroki. Możliwe, że będziemy musieli walczyć, by się stąd wydostać. Że będziemy musieli biec. Nie wiem, czy uda nam się uciec.

Odpłynęła gdzieś. Spróbował spojrzeć jej w oczy, ale głowa jej się przekręciła i po chwili była już twarzą do ściany.

– Czy jesteś tam, Will? Czy jesteś na tej ścianie razem z wszystkimi innymi?

– Jezu – jęknął Will. – Co oni ci dali?

– Czy jesteś tam? – zapytała ponownie.

– Tak – odparł.

Rozejrzał się rozpaczliwie, gorąco pragnąc już się stąd wydostać i wiedząc, że jeśli go tu znajdą, może się zrobić nieprzyjemnie.

– Czy możesz mi pomóc? Czy możesz mi pomóc wydostać cię stąd?

Nie czekał na odpowiedź. Nachylił się i przerzucił ją sobie przez ramię niczym zwierzynę ustrzeloną w lesie. Potem odwrócił się i ruszył do drzwi, ale jej kolejne słowa go zatrzymały.

– Nie – poprosiła. – Nie zabieraj mnie.

– Co?

– Nie zabieraj mnie. Postaw mnie z powrotem.

Przystanął w progu, zachowując ostrożność; nie chciał, by ktoś go zobaczył.

– Co ty wygadujesz? – zapytał.

– John tylko mnie wytatuuje – odparła. – Przyszłam tu po brata. Po Drew.

Nie chciał tego słuchać, ale dobrze wiedział, o co go prosi, nawet

nafaszerowana jakimś narkotykiem.

– Postaw mnie – powtórzyła. – Zostaw mnie dokładnie tam, gdzie mnie znalazłeś – mówiła bardzo zdecydowanym tonem, artykułując wyraźnie każdą sylabę. – Jeśli moja rodzina kiedykolwiek coś dla ciebie znaczyła, postaw mnie.

Obrócił się i postawił ją na podłodze.

Uniosła na niego wzrok. Przyglądała się jego twarzy, a on odwzajemniał spojrzenie.

– Drew jest w domu, w którym mnie wczoraj umieścili. Czeka tam, wiesz?

Nafaszerowali ją czymś; widział to wyraźnie w jej zachowaniu, w każdym jej ruchu. Ale dostrzegął też determinację, jak u kogoś budzącego się ze śpiączki, na chwilę świadomego, kto zaraz znów traci przytomność.

– Tak – przytaknął Will. – Znajdę go.

– Chyba zabili mojego ojca – oznajmiła.

Zabrzmiało to jak spóźniona refleksja, ale Will wiedział, że to coś innego. Wiedział, że cały czas o tym myślała.

– Musisz uważać – dodała. – Przyszłam po brata, żeby go stąd wydostać. Tego chciał tato. Czy możesz to dla mnie zrobić, Will? Tato zawsze cię bardzo lubił. Bardzo za tobą tęskniliśmy, chociaż wiedzieliśmy, że nie odszedłeś. Nie tak naprawdę.

Will obejrzał się na zamknięte drzwi. Tracił czas. Jeśli tu zostanie, może stracić też życie. Teraz już wiedział, do czego są zdolni członkowie Bram Edenu. Wiedział, że nie tylko Lonny chciał śmierci Mary May.

– A co z tobą?

– John chce mnie wytatuować. Chce mnie naznaczyć dla poczucia kontroli.

Mówiła wyraźnie, ale wciąż widział oznaki działania narkotyku. Kiedy ją podnosił, miał wrażenie, że dźwiga worek ziarna. Obejrzał się jeszcze raz. Musiał już ruszać. Jeszcze przez ułamek sekundy obserwował drzwi,

a potem wydobył z pochwy na pasie nóż myśliwski. Odwrócił się, schylił i ukrył broń między podłogą a łydką Mary May.

– Johnowi nie można ufać – powiedział. – Nie można wierzyć w nic, co mówi. Możliwe, że będziesz musiała sama się stąd wydostać. I użyć noża. Ja odszukam twojego brata i coś wykombinuję. Jeśli zdołam, postaram się po ciebie wrócić. Pastor z miasteczka, Jerome, czeka w swoim samochodzie na drodze, na północny zachód stąd, na skarpie powyżej terenów Bram Edenu. Mówię ci o tym, bo być może będziesz musiała wydostać się stąd na własną rękę. Rozumiesz mnie?

Uniosła na niego wzrok i kiwnęła głową.

Spojrzał na nią ostatni raz, odwrócił się i ruszył biegiem. Kiedy był w połowie korytarza, usłyszał za sobą szcęk otwieranych drzwi. Błyskawicznie skoczył przed siebie i ukrył się w tym samym pomieszczeniu co poprzednio. Kiedy wyjrzał na korytarz, zobaczył idącego Johna. Wzrok miał utkwiony w drzwiach prowadzących do pokoju, w którym czekała na niego Mary May. W jednej ręce niósł apteczkę, a w drugiej metalową tackę chirurgiczną, na której z pewnością znajdowały się maszynka do tatuażu i atrament.

\*\*\*

Od wyjścia Willa do przyjścia Johna Mary May nawet nie drgnęła. W całej sytuacji zmieniło się jedno: kiedy John wychodził, zamknął za sobą drzwi, a teraz, kiedy wrócił, zostawił je otwarte.

Obserwowała go, jak wkracza do pokoju i odstawia na podłogę apteczkę i tackę z maszynką do tatuażu, igłą i turlającą się to w jedną, to w drugą stronę buteleczką czarnego atramentu. John obejrzał się na otwarte drzwi. Chyba przez chwilę rozważał ich zamknięcie. Ale ostatecznie tego nie zrobił i spojrzał na Mary May.

– Nie będziesz się ruszać, prawda? Będziesz siedziała nieruchomo? Będzie łatwiej, jeśli to zwyczajnie zaakceptujesz. Jeśli po prostu przyjmiesz,

że zgrzeszyłaś, i pogodzisz się z tym, co trzeba zrobić.

– Przyjmuję – odparła.

Tkwiała w całkowitym bezruchu. John omiół ją wzrokiem, po czym ponownie spojrzął na otwarte drzwi.

– To dobrze – powiedział. – Nie chcę prosić nikogo o przytrzymanie cię albo związanie. Zawsze idzie łatwiej, jeśli grzesznik pogodzi się z całą sytuacją. To mi pomaga. Pomaga w użyciu atramentu i wypisaniu grzechu.

Podszedł do drzwi i stał w nich przez chwilę plecami do Mary May, by zaraz potem odwrócić się twarzą do niej.

– Mimo to... Nie ufam ci – oznajmił.

Wyszedł na korytarz, zniknął jej z oczu i po kilku chwilach wrócił. Niósł w ręce metalowy stołek z obrotową podstawą, umożliwiającą podnoszenie i opuszczanie siedziska. Postawił go obok niej. Następnie przysunął do siebie tackę i zaczął wyciągać z apteczki waciki i alkohol. Kiedy wszystko przygotował, po prostu usiadł.

– Wiem, że obiecałaś się nie ruszać, ale pod igłą wszyscy zaczynają się wiercić, odsuwać, a ja nie chciałbym zepsuć swojej pracy.

Wstał i wyjął z kieszeni fiolkę z tym samym proszkiem, którym wcześniej dmuchnął jej w twarz. Odkorkował ją i zrobił to samo, co poprzednio.

Dziwne uczucie zalało ją niczym fala łamiąca się na brzegu oceanu. Zatonęła w nim i odpłynęła.

\*\*\*

Will wyszedł na jaskrawe światło popołudniowego słońca. Nie potrafił wyzbyć się uczucia, że nie powinien posłuchać Mary May. Mieli teraz przecież oboje iść w stronę skarpy, na której czekał na nich Jerome.

Czuł silną obawę, że dziewczyna nigdy już nie opuści tego miejsca. Że nawet w tej chwili John może ją zabijać, dusić czy w inny sposób robić jej krzywdę. Przeświadczenie było tak silne, że traper niemal obrócił się

i wrócił biegiem do środka z nadzieją, że nie przybywa za późno. Ale nie zrobił tego. Mary May została otumaniona narkotykiem, ale zdawała się panować nad sytuacją. Sprawiała wrażenie, że to, na co się godziła, czyli naznaczenie tatuażem, było tylko niewielką ofiarą, środkiem do celu – uwolnienia jej brata.

Ale Will wiedział, że tatuaż to dopiero pierwszy krok. Kiedy na nią spojrzął i następnie uniósł wzrok na ścianę pokrytą skrawkami skóry, przez chwilę poczuł przerażenie samą liczbą grzechów. Było tego o całe setki więcej, niż sądził. Kościół miał bowiem całe setki członków więcej, niż zakładał. I chociaż to oznaczało, że ich tak naprawdę nie znał, oni jednocześnie nie znali też przecież jego. Gdyby ktokolwiek go o coś podejrzewał, byłoby już po nim.

Ruszył płataniną ścieżek tworzących kompleks Bram Edenu. Minął zabudowania, po czym zatoczył koło i wyszedł na tyły domów, które stały wzdłuż żwirowej drogi. Szedł skulony, jedną ręką przytrzymując kapelusz na głowie, w drugiej zaś ściskając karabin.

Przemykał od domu do domu, przystając za każdym kolejnym na chwilę, po czym puszczał się biegiem przez otwartą przestrzeń do następnego. W końcu znalazł ten, w którym, jak sądził, znajdował się Drew, chociaż nie mógł mieć co do tego pewności. Wiele budynków wyglądało prawie tak samo. Ruszył uważnie wzdłuż bocznej elewacji i po chwili dotarł do frontu. Kawałek dalej, na żwirowej drodze, dostrzegł strażników, a przy kościele wypatrzył więcej mężczyzn i kobiet. Kolejni stali na szosie. Przyłgął plecami do oblicówki, wyciągnął rękę nad głowę i przesunął ją po powierzchni drewna. W miejscu gdzie wcześniej było wymalowane słowo GRZESZNIK, farba jeszcze nie wyschła i kiedy odjął dłoń od ściany, palce miał zabarwione białymi plamami, które zasłaniały linie papilarne.

Cofnął się wzdłuż ściany budynku, po drodze wycierając dłoń o ubranie, dzięki czemu białe płatki farby odkleiły się od palców, ale za to przyczepiły do materiału.



Kiedy wrócił na tył domu, skręcił za róg i dotarł do tylnych drzwi. Przez chwilę stał przed nimi, po czym sięgnął ręką do klamki i ją nacisnął. Drzwi ustąpiły. Pchnął je lekko, nie zdejmując dłoni z klamki. Otworzył ostrożnie, żeby skrzydło nie uderzyło w ścianę. Potem wszedł do środka i znalazł się na korytarzu.

Z jednej jego strony było wejście do łazienki, a z drugiej do sypialni. Na wprost widział kuchnię i fragment salonu. Ostrożnie stawiał kolejne kroki. Wpadające przez drzwi za jego plecami światło dzienne rozjaśniało mrok i rzucało na podłogę jego cień. Nie mógł na to nic poradzić, więc po prostu sunął do przodu.

Drew stał w salonie plecami do Willa i wyglądał przez roletę w stronę większego budynku. To tam zbierano skrawki skóry z tatuażami i to tam zostawił siostrę.

– Cześć, Drew – powitał go Will, stojąc na końcu korytarza, na progu przed wejściem do pokoju.

Drew odwrócił się i spojrzał na trapera. Wyglądał na zdziwionego jego obecnością, ale nie nazbyt podejrzliwego.

– Kiedy dołączyłeś do Bram Edenu, powinienem być z tobą porozmawiać. Powinienem starać się utrzymać z tobą lepszy kontakt – powiedział Will. – Chociaż opuściłem miasteczko, twoi rodzice nie stali mi się obcy, podobnie ty i Mary May.

Wszedł głębiej do pokoju. Cały czas trzymał w ręce karabin, ale pod tym względem nie różnił się bardzo od innych członków Kościoła, którzy wszędzie nosili ze sobą broń.

– Zaczynam rozumieć, że powinienem być częściej do was zaglądać. Może wtedy nie doszłoby do tego wypadku z twoim ojcem. Wiele się zmieniło, tak sobie myślę.

Drew zerknął na niski stolik kawowy w rogu pokoju. Will podążył wzrokiem za jego spojrzeniem i dostrzegł leżący na blacie chromowany rewolwer. Kiedy przeniósł oczy z powrotem na brata Mary May, ten już na

niego patrzył.

– Przyszedłeś mnie zabić, Will?

– Nie – zaprzeczył Will. – Dlaczego w ogóle mówisz coś takiego?

– Za to, co zrobiłem.

– Jeszcze niczego nie zrobiłeś. Mogę ci pomóc.

– Byłeś przyjacielem mamy i tatka.

– Wiem – przytaknął Will. – Tym bardziej chcę ci teraz pomóc. Kochałem ich, wiesz? Twoi rodzice byli dla mnie jak rodzina. Nie chciałem skrzywdzić też ciebie ani Mary May.

Postąpił kilka kroków naprzód, podczas gdy Drew ponownie zerknął na rewolwer.

– Nie wiesz, co zrobiłem – oznajmił Drew.

Rzucił się w stronę broni leżącej na stoliku między nimi.

Will wpadł na niego z rozpędu barkiem i wykorzystał cały swój ciężar, żeby cisnąć młodszym mężczyzną o ścianę. Chociaż brat Mary May był od niego o pół stopy niższy i pewnie z pięćdziesiąt funtów lżejszy, zderzenie wywołało ukłucie bólu w barku i wzdłuż całego boku. Drew uderzył w ścianę i osunął się po niej niemal na samą podłogę, ale prawie natychmiast wyprostował się, skoczył na trapera i obalił go na podłogę.

Przetoczyli się i wpadli na stół. Will usłyszał, jak rewolwer spada z mebla i uderza z głuchym stukiem o podłogę. Karabin również upadł, wyleciał traperowi z dłoni, kiedy Drew na niego wpadł. Will obrócił się i rozejrzał za młodszym od siebie mężczyzną i za pistoletem, ale nie dostrzegł ani jednego, ani drugiego. Chwilę potem krzyknął z bólu.

Drew uderzył go mocno zaciśniętą pięścią w żebra. Po otrzymaniu dwóch szybkich ciosów Will odcoczył się i spróbował odsunąć od drugiego mężczyzny. Ten jednak ruszył za nim i zaraz potem obaj ponownie tarzali się po podłodze, usiłując uzyskać przewagę nad przeciwnikiem. Traper chwycił się brzegu kanapy i spróbował podźwignąć, ale Drew skoczył na niego i ponownie powalił na plecy. Ręka Willa ześlizgnęła się z tapicerki

i wszelkie szanse na szybkie powstanie przepadły.

Po ostatnim ataku młodszy z walczących również znalazł się na podłodze; Will teraz przetaczał się i usiłował pozostać poza zasięgiem jego ramion. Brat Mary May dźwignął się na kolana, a kiedy postawił jedną stopę na podłodze, aby wstać, Will chwycił stolik i z półobrotu rzucił w stronę przeciwnika. Ten zdążył się jeszcze zasłonić ramieniem. Will wiedział, że chociaż nie wyrządził mu większej krzywdy, to przynajmniej zaburzył nieco jego równowagę.

Myśliwy zerwał się na nogi i rzucił na przeciwnika. Wpadł na niego z taką samą siłą, jak za pierwszym razem, napierając całym swoim ciężarem. Obaj padli na podłogę, wymachując pięściami i nogami, i poczęli tarzać się po podłodze, uderzając się nawzajem raz za razem. Po paru chwilach Drew zdołał trafić Willa w głowę, w kość policzkową i zaraz potem w szyję.

Will padł oszołomiony. Leżał płasko na plecach, a brat Mary May wstał z podłogi i ruszył w stronę rewolweru. Will kopnął go w piszczel, powalając z powrotem na podłogę. Teraz traper dźwignął się na klęczki, chwycił młodszego mężczyznę za ubranie i pociągnął w tył.

Rewolwer leżał tuż przed bratem Mary May, więc ten sięgnął po niego ręką. Will szarpnął ponownie i palce drugiego walczącego tylko wbiły się w dywan. Drew spróbował kopnąć trapera, ale ten zdołał uniknąć ciosu, założył przeciwnikowi ramię na szyję i pociągnął mocno, wyginając mu plecy i odcinając dopływ powietrza. Drew cały czas usiłował sięgnąć broni, a traper coraz mocniej go dusił.

Młodszy mężczyzna najwyraźniej zorientował się, że jest w potrzasku, i począł uderzać łokciami w boki i tułów trzymającego go Willa, ale żadnym z tych ciosów nie wyrządził mu większej krzywdy. Kiedy zorientował się, że w ten sposób nic nie działo, wbił paznokcie w skórę Willa i rozorał mu przedramię, a potem przejechał palcami po jego twarzy.

Mimo tego traper nie zwalniał chwytu i po minucie poczuł, jak młodszy mężczyzna zaczyna wiotczeć. Przytrzymał go jeszcze przez dziesięć sekund,

po czym puścił i pozwolił mu osunąć się na podłogę. Następnie wstał, przeszedł nad nim, podniósł rewolwer, cofnął się i wsunął broń za pasek spodni, z przodu. Następnie opadł na kolana i zajrzał pod kanapę. Sięgnął tam ręką i po chwili wyciągnął swój karabin.

Przez dziesięć sekund stał z paskiem od broni na ramieniu, starając się uspokoić oddech. Co prawda, Drew nie zdołał trafić Willa w brzuch, ale od całej szamotaniny żółć podeszła mu do ust, a kiedy traper oblizał wargi, poczuł dodatkowo smak krwi. Brat Mary May uszkodził mu jakiś organ, ale teraz Will nie miał czasu się tym zająć. Rozejrzał się po pokoju i uznał, że nie może zwlekać ani chwili.

Kiedy nerwy zaczęły się uspokajać, a oddech już prawie wyrównał, podszedł do okna, przy którym wcześniej stał Drew, i wyjrzał przez nie w stronę, w którą tamten patrzył. Między domem a kościołem nadal kręciło się kilku członków sekty, ale chyba nikt nie usłyszał odgłosów walki.

Will odsunął się od okna i wrócił do chłopaka. Ten leżał z głową przekreśloną na bok, a jego pierś unosiła się bardzo lekko, niemal niezauważalnie. Traper schylił się, podniósł kapelusz, który spadł mu gdzieś podczas szamotaniny, i wcisnął z powrotem na głowę. Wolałby mieć czas, żeby przemówić bratu Mary May do rozumu. Wolałby, żeby było jeszcze coś do powiedzenia. Stał nad nieprzytomnym mężczyzną i monitorował jego oddech. Drew nie pozostawił mu innej możliwości, i chociaż Will pierwotnie miał nadzieję, że będą mogli po prostu obaj razem stąd wyjść, teraz już wiedział, że będzie musiał go przerzucić przez ramię i tak dotaszczyć na skarpe.

Wziął z kuchni nóż i poodcinał przewody wszystkich sprzętów elektrycznych i lamp, jakie znalazł w całym domu. Potem wrócił do leżącego i związał mu nogi w kostkach, a na koniec przełożył mu ręce za plecy i spętał dłonie w przegubach. Kiedy skończył krępowanie, przetoczył nieprzytomnego na bok i tym samym nożem kuchennym wyciął pas materiału z obicia kanapy, który następnie złożył i wcisnął chłopakowi

w usta.

Myśliwy dostrzegł, że Drew zaczyna odzyskiwać przytomność, w związku z czym wziął ostatni niewykorzystany przewód zasilający i obwiązał go wokół głowy chłopaka, żeby uniemożliwić mu wyplucie knebla. Kiedy wstał, zauważył, że powieki leżącego zatrzepotały i po chwili próbował już oswobodzić się z więzów.

Will odsunął się od niego. Słyszał odgłosy wysiłku wkładanego w starania, niezrozumiałe słowa i stłumione postękiwania i okrzyki. Nie zważał na to. Wciąż odczuwał rany odniesione podczas walki, rozoraną skórę przedramienia. Podobnie na twarzy; czuł, jak jedna jej połowa zaczyna puchnąć i zapewne też sinieć od przyjętych na policzek i szyję ciosów.

Traper wyjrzał ponownie przez okno. Sytuacja na zewnątrz się nie zmieniła. Spojrzał w stronę budynku, w którym przetrzymywano Mary May. Potem skierował wzrok na odległe drzewa i rozważył w myślach, jak duża jest ta odległość. Zabudowania Bram Edenu od miejsca, w którym czekał na niego Jerome, dzieliła mila. Potem pomyślał o Mary May i o tym, czy dobrze zrobił, że jej posłuchał.

Odsunął się od okna i nie odzywając się do Drew nawet słowem, schylił się, podniósł go i przerzucił sobie przez ramię. Na oko chłopak ważył około stu czterdziestu funtów. Pierwszy krok był bardzo trudny, ale drugi postawił już nieco łatwiej, a każdy kolejny przychodził stopniowo z jeszcze większą łatwością. Dotychczas zdarzało mu się przecież nosić dorosłe jelenie o podobnej wadze, ale one były wtedy już martwe i nie próbowały się wyrwać. Dlatego też Will celowo uderzył dwa razy głową chłopaka o framugę drzwi.

– Tylko bez numerów – ostrzegł go ściszym głosem Will. – Obiecałem Mary May, że cię stąd wydostanę, i zamierzam to właśnie zrobić. Ale najpierw pójdziemy po twoją siostrę, bo jesteś kurewsko ciężki i przydałaby mi się pomoc.

Po przejściu nie więcej niż pięćdziesięciu stóp przystanął, obrócił się

i spojrzął między domy przy drodze. Stała tam Holly, nieruchomo, jak wryta, jakby ktoś przybił jej stopy do ziemi. Z ustami otwartymi jak do krzyku przyglądała się posiniaczonemu i pokrwawionemu Willowi, idącemu z Drew na jednym ramieniu i karabinem na drugim, zaś rewolwerem wetkniętym z przodu w spodnie.

Przez chwilę pomyślał, by jej powiedzieć, że to nie jest wcale to, na co wygląda. Ale wiedział, że to było dokładnie to. I kiedy wahała się między podejściem do niego a krzykiem i biegiem w stronę kościoła albo strażników z bronią automatyczną, Will obrócił się i sam puścił się pędem, cały czas z chłopakiem na ramieniu.

\*\*\*

Mary May odyskiwała przytomność. Odpłynęła tak daleko, można powiedzieć, że za morze: jej głowa długo kołysała się na falach, po czym już całe – nie do końca własne – ciało nurkowało i pływało gdzieś w głębinach.

Teraz zaczynała czuć ucisk na klatce piersiowej. Dotarł też do niej zapach alkoholu, którym John przemył jej skórę. Klucie, przypominające niemal rażenie prądem, wibrowało w jej mostku. John cofnął igłę, nachylił się i przetarł ponownie miejsce u zbiegu obojczyków, po czym wstał i spojrzął na nią z góry.

Usiadł na stołku, a ona zamrugała kilkakrotnie, żeby pozbyć się zamglenia oczu, ale nie chciało ustąpić. Po chwili mężczyzna ponownie się nachylił i przyłożył igłę do jej skóry. Kiedy spojrzała w dół, zobaczyła w połowie ukończony tatuaż. Czarny atrament odcinał się na tle jej skóry, teraz nabrzmiałej i zaczerwienionej wokół świeżo naniesionych liter.

– Cieszę się, że jesteśmy tu sami – powiedział John. – Lubię przebywać sam na sam ze wszystkimi, których naznaczam.

Przyglądała się, jak John zmienia pozycję na stołku i ponownie przeciera jej mostek nasączoną ścierką. Wśród atramentu dostrzegła krew. Na chwilę zakręciło jej się w głowie, ale za moment zawroty minęły.

John wrócił do pracy. Poczula, jak przykłada i odrywa igłę, kreśląc kolejną literę.

– Czasem to Błogość utrzymuje tożsamość, paradoksalnie – powiedział. – Widziałem, jak robi ludziom dziwne rzeczy. Widziałem, jak halucynują, jak odpływają na haju. Ale jest jedna rzecz, o której opowiadają później wszyscy. Jak patrzą w górę z jakiejś głębin. Jak spoglądają wzdłuż długiej ścieżki albo ku górze, jakby z dna studni. I mają przeczucie, że kiedy uda im się dotrzeć na powierzchnię, wrócą. Wielu jednak mówiło też o lęku przed tym, że nigdy im się to nie uda. – Ponownie przesunął igłą po skórze, po czym uniósł przyrząd. – Tobie się uda, Mary May. Widzę to w tobie. Widzę, że z tego wyjdiesz. I kiedyś zrozumiesz swój grzech. Gdy zobaczysz, jak został z ciebie wyciągnięty na powierzchnię, na twoją skórę, zrozumiesz go lepiej i wtedy przyjdiesz i poprosisz o wycięcie go.

Ponownie nachylił się i przycisnął igłę do skóry. Zaczął pracę nad ostatnią literą. Ból był teraz ostrzejszy. Rozejrzała się po pokoju i powoli przypominała sobie, dlaczego w ogóle tu klęczy. Jej brat Drew był przyczyną tego wszystkiego. Pomyślała o nim. O Willu. O tym, gdzie oni mogą teraz być. I czy Will po nią wróci.

Ból przeistoczył się w coś, czego nigdy dotąd jeszcze nie czuła. Był tępy, zdawało się, że nie ma końca i unosi się nad jej piersią, wnika w ciało, owija się wokół kości. Przekrzywiła głowę i spojrzała w dół, na igłę. Tatuowane słowo przybrało już docelowy kształt. ZAZDROŚĆ. Czerwona i spuchnięta skóra, krew sącząca się między czarnymi literami.

– Już niemal gotowe – powiedział John.

Ponownie przetarł jej skórę alkoholem, wyprostował się i gwizdnął z aprobatą. Spojrzała jeszcze raz na swój mostek. Litery były wysokie na dwa cale i pokrywały cały środek skóry nad biustem.

Po kolejnym przetarciu skóry Mary May John przyglądał się jej przez chwilę, po czym nachylił się i przycisnął igłę z powrotem do skóry, poprawiając każdą z liter po kolei. W jej oczach wzbierały łzy. Zaczęła

myśleć o swoich dłoniach, o stopach i poczuła pragnienie ucieczki gdzieś daleko, daleko stąd. Will przestrzegł ją, żeby nie ufać Johnowi. Powiedział jej, że może będzie musiała uciekać. Ale obiecał też, że po nią przyjdzie. Spojrzała na drzwi znajdujące się za plecami Johna. Były otwarte i chociaż bardzo chciała, by stanęli w nich Will i jej brat, tak się nie stało. Kiedy tak wyglądała na korytarz, usłyszała wycie syreny. John przerwał pracę, obrócił głowę, żeby złowić dźwięki, i odchylił się na stołku. Potem wstał i wyjrzał na korytarz. Wycie zdawało się przybierać na sile.

Wyszedł tuż za próg i stanął w przejściu. Mary May opuściła wzrok na swój mostek. Przy literach sączyła się krew. Spróbowała wstać, zachwiała się i musiała przytrzymać się stołka. Teraz przypomniała sobie o nożu schowanym pod jej łydką. Schyliła się, sięgnęła ręką i niemal z niedowierzaniem ścisnęła rękojeść noża, unosząc go przed siebie.

Ledwie mogła ustać na nogach, ale wiedziała, co trzeba zrobić. Musiała uciekać. Musiała znaleźć swojego brata i nie miała już wątpliwości, że cokolwiek Will chciał zrobić, uciec czy znaleźć Drew, nie udało mu się to. Wyciągnęła rękę przed siebie i spróbowała złapać równowagę. W tym czasie John gdzieś zniknął. Spojrzała na otwarte drzwi i spróbowała postawić jedną stopę przed drugą, ale obie, a właściwie całe nogi, były jak z galarety czy gumy.

Podczas tych starań niechcący kopnęła fiolkę z narkotyzującym proszkiem, która odtoczyła się i zatrzymała dopiero u zbiegu ściany i podłogi, niedaleko Mary May. Każdy ruch boleśnie rozciągał świeżo wytatuowaną skórę. Tułów od biustu po szyję palił żywym ogniem, ale Mary May zacisnęła zęby i parła dalej ze wzrokiem utkwionym w niewielkiej fiolce, która teraz mogła być jej jedyną szansą.

Doczołgała się do ściany wcześniej, niż sądziła. Pośliznąwszy się, Mary May uderzyła w nią mocno, co zmusiło ją do przytrzymania się framugi wolną dłonią. W drugiej całej czas ścisnęła rękojeść noża. Teraz, kiedy się zatrzymała, opuściła rękę, namacała fiolkę i uniosła ją do ust. Była



zamknięta gumową zatyczką. Wyjęła ją zębami i wypluła.

Syrena była cały czas włączona, ale przez jej monotonne wycie zaczynał przebijać inny odgłos: zbliżających się kroków. Mary May dźwignęła się na nogi i przytrzymując się ściany, przesunęła się do drzwi akurat w chwili, kiedy wrócił John.

– Dokąd się wybierasz? – zapytał.

Uśmiechał się, tak jakby to wszystko było jakąś grą, którą właśnie wymyśliła. Wycie syreny, jego wyszczerzone zęby.

Zadowolenie zniknęło mu z twarzy, gdy tylko w ręce Mary May dostrzegł nóż. Zaskoczony, cofnął się o krok, a ona rzuciła się na niego, powalając go na podłogę. Udało jej się nie upuścić noża. Przez głowę przemknęła jej myśl, by go użyć, ale zniknęła równie szybko, jak się pojawiła. Zamiast tego odchyliła się i drugą ręką wysypała zawartość fiolki i roztrzepała mu proszek w usta i nos. Przyglądała się, jak rozszerzają się źrenice jego oczu – jakby wybuchły w nich gwiazdy i niebo przesłaniała mu chmura gwiazdnego pyłu.

Odepchnęła się od Johna i wstała, po czym ruszyła biegiem na niepewnych nogach w stronę odległych drzwi.

\*\*\*

Will zdołał dotrzeć do budynku i wrzucić brata Mary May do środka, gdy tylko odezwała się syrena. Jej wycie przypominało alarm lotniczy, który Will słyszał dawno temu, w dzieciństwie.

Posadził skrepowanego Drew pod ścianą, z tyłu sieni. Odkąd stąd ostatnio wyszedł, nic się nie zmieniło. Zbliżył się do okna i rozchylił żaluzje. Zobaczył członków Kościoła: biegli drogą, ale raczej nie zorientowali się jeszcze, gdzie należy szukać zagrożenia. Will spojrział w stronę strażników stojących daleko przy bramie. Dwóch było na posterunku, a kolejna dwójka szła wzdłuż drogi, w jego stronę.

Kiedy spojrział z powrotem na zabudowania, na środku żwirowego

podjazdu ujrzał Holly. Zapewne to ona wszczęła alarm. Will musiał jej w pewien sposób oddać, że wiedziała, co się z nim dzieje, może nawet zanim sam się w tym wszystkim zorientował. Wskazywała właśnie zbiorowisku miejsce, gdzie ostatnio widziała go z Drew, a potem kierunek, w którym pobiegł.

– Kurwa – zaklął pod nosem Will. Puścił żaluzje i wrócił do Drew, który zdawał się z niego śmiać. – Ale jeszcze mnie nie zabili.

Wyjął zza paska rewolwer, zakręcił bębenkiem i sprawdził wszystkie pociski, po czym wetknął broń z powrotem w spodnie i przeszedł do kuchni. Widział tu gdzieś wcześniej butlę z gazem. Podeszedł do kuchenki i ruszył pokręteł. Płomień zapłonął najpierw na czerwono, aby po chwili zmienić kolor na niebieski.

Rozejrzał się nerwowo i zrozumiał, że musi się uspokoić, wziąć się w garść. Przekonywał sam siebie, że tak, uda mu się stąd wydostać i że jeszcze nie jest po wszystkim. Zostawił zapalony ogień i zaczął przeszukiwać szafki i komody. Znał tych ludzi, ich sposób życia i fundamentalne zasady, dlatego liczył, że wygrzebie coś przydatnego.

Kiedy znalazł świece ratunkowe, wyjął jedną, obejrzał, po czym wznowił poszukiwania. Kiedy natrafił na puszki paliwa do podgrzewaczy kuchennych, wyjął je na blat. Wydobył jedną z opakowania, oderwał wieczko i przyjrzał się łatwopalnej różowej galarecie. Nie zwlekając już dłużej, wziął świecę, wetknął knot w płomień, a potem przeniósł go nad otwarte paliwo. Buchnął niemal fioletowy ogień. Will rozejrzał się po kuchni, po czym zaniósł płonąca puszkę do łazienki i zamknął drzwi.

Gdy spojrział na Drew, dostrzegł w nim zmianę. Już się nie śmiał, ale obserwował uważnie jego poczynania. Traper ponownie wyjął rewolwer zza paska, odbezpieczył go i spojrział w stronę ognia wciąż tryskającego z włączonego kuchennego palnika. Przeliczał w głowie czas i odległość i zastanawiał się, czy w ogóle uda im się opuścić dom i czy potem zdoła się wspiąć na zbocze, zanim go postrzelą.

Wrócił do salonu i ponownie rozchylił żaluzje w oknie. Strażnicy rozmawiali z Holly, która wskazała im ten sam kierunek, co chwilę wcześniej ich poprzednikom. Mężczyźni ruszyli z uniesioną bronią i zniknęli między domami. Will spojrzął na klamkę frontowych drzwi i zasuwę. Zamknął drzwi od środka i upewnił się, że nie da się ich otworzyć.

Potem przeszedł do kuchni i wyłączył ogień. Przyglądał się przez chwilę palnikowi, po czym spojrzął w stronę drzwi prowadzących do łazienki i siedzącego wciąż pod ścianą Drew, który śledził każdy jego ruch. Przekręcił jeszcze raz gałkę i najpierw usłyszał syk ulatującego gazu, a następnie trzask, po którym pojawił się ogień. Spróbował go zdmuchnąć, ale płomienie tylko się rozbuchały. Po kilku nieudanych próbach ich zgaszenia w końcu się poddał.

Obejrzał się na tylne drzwi i przez ich małe okienko dostrzegł sylwetkę jednego ze strażników. Spojrzął w stronę frontu i znów przez żaluzje, które pozostawił częściowo rozchylone, zobaczył drugiego mężczyznę. Prawdopodobnie sprawdzali każdy dom po kolei i teraz dotarli tutaj.

Will ponownie popatrzył na płomień. Nieważne, co zrobił – podkręcał czy skręcał gaz – ogień pozostawał blady i niewielki. Nie tego potrzebował. Ostatecznie stwierdził, że skoro i tak nie przeżyje, może spróbować czegoś innego. Skręcił pokrętło do zera, po czym chwycił oburącz kuchenkę i oderwał ją od podłogi. Dźwięk nie był szczególnie głośny, chociaż dla niego brzmiał jak wystrzał i niczym flara posłana wysoko w niebo oznajmiał wszem wobec: tu jestem!

Kiedy odciągnął urządzenie dostatecznie daleko od ściany, wskoczył szybko na blat kuchenny, zaparł się plecami o ścianę, nogami o tył kuchenki, po czym mocno pchnął. Hałas był nie do uniknięcia. Całkiem spory. Will wyteżył wszystkie siły i po chwili drzwi od piecyka uderzyły o podłogę. Poczul zapach gazu. Spojrzął w dół i dostrzegł wyrwany ze ściany gumowy przewód, a od strony zaworu usłyszał syk.

Zszedł na podłogę i wrócił do tylnego wejścia domu. W małym

przysłoniętym firanką okienku widział wyraźnie zarys sylwetki strażnika. Bez dalszego namysłu Will otworzył drzwi. Mężczyzna zaczął unosić lufę karabinu. Traper chwycił za nią akurat w chwili, kiedy strażnik pociągnął za spust. Kule przeleciały tuż obok biodra i nogi Willa i trafiły w ścianę. Traper poczuł na skórze ciepło bijące od lufy i wciągnął trzymającego broń mężczyznę do środka, gdzie ten potknął się o wyciągnięte nogi Drew. Zanim zdążył się obrócić czy choćby ponownie wycelować, Will już wyszarpnął zza paska rewolwer, pochylił się i uderzył nim mocno strażnika w tył głowy tak mocno, że ten opadł bezwładnie na podłogę.

Drugi z mężczyzn próbował właśnie otworzyć drzwi frontowe. Will uniósł wzrok i zobaczył obracającą się gałkę, a zaraz potem usłyszał łomot. Traper strzelił raz w jego stronę, mniej więcej na wysokości głowy. Mężczyzna po drugiej stronie zaklął i uciekł na zwirową drogę. Kula raczej nie sięgnęła celu.

Will spojrział w dół na ogłuszonego przeciwnika i uznał, że nie ma czasu na mocowanie się z paskiem jego karabinu i wyciągnięcie go spod ciała strażnika. Zamiast tego pochylił się, podniósł Drew i wyszedł przez tylne drzwi na zewnątrz. W domu można było już wyczuć zapach gazu i teraz, kiedy traper znalazł się na otwartym terenie, miał wrażenie, jakby ciągnął się za nim niczym owinięty wokół szyi pled.

Rewolwer tkwił wetknięty z powrotem za pasek spodni. Will biegł przed siebie, trzymając oburącz nogi Drew tuż powyżej kolan. Chłopak podskakiwał i jęczał, zgięty wpół, z brzuchem na ramieniu trapera. Na drugim barku był karabin, więc Will biegł od jednego domu do drugiego, krążąc jak wcześniej.

Syrena dalej była włączona. Teraz, poza domem, jej wycie wydawało się oczywiście głośniejsze. Will pokonał niemal połowę drogi do kościoła, kiedy seria z broni automatycznej gwałtownie podniosła pył ziemi, tuż przy jego stopach, a potem punktowo nakreśliła linię na ścianie najbliższego budynku. Nawet się nie obrócił, by spojrzeć, kto strzelał, tylko od razu

skręcił w przejście między dwoma domami, po czym zatrzymał się przy znaku stopu, na dalekim krańcu zabudowań.

Drew był cięższy, niż Will się spodziewał, co uniemożliwiało myśliwemu tak szybkie poruszanie się, jak by sobie życzył. Przystanął i wyjrzał na żwirową drogę. Członkowie Bram Edenu zebrali się kawałek dalej, ale on wiedział, że nie jest fizycznie w stanie biec wystarczająco szybko, żeby im uciec. Czekał, aż dom Drew wybuchnie. Zdawało mu się, że odkąd stamtąd wybiegł, minęła już cała wieczność. Zaczął podejrzewać, że zdołali zakrećić gaz albo znaleźli i zgasili płonący podgrzewacz, który umieścił w łazience. Za sobą widział cienie trzech uzbrojonych mężczyzn zbliżających się do miejsca, w którym skręcił. Słońce świeciło zza ich pleców, więc widział zarówno ich cienie, jak i długich luf niesionej przez nich broni – karabinów automatycznych albo strzelb.

Przyglądał się sylwetkom wystarczająco długo, by zrozumieć, że kiedy skręca za róg najbliższego domu, on musi już być gdzie indziej. Wyjrzał ponownie na żwirową drogę i puścił się nią pędem w stronę budynku kościoła, który stał na wzniesieniu. Jeśli zdoła do niego dotrzeć i zdjąć karabin z ramienia, będzie miał pewną przewagę nad tymi, których przywabiał dźwięk syreny i odgłos wystrzałów.

Dopał do bram świątyni w chwili, gdy trzech ścigających go uzbrojonych ludzi wyszło zza rogu na drogę i ruszyło za nim. Niewiele myśląc, gdy tylko znalazł się za jakąś osłoną, zrzucił Drew na ziemię, po czym wrócił za róg budynku, odbezpieczył karabin, wycelował i strzelił. Trafił idącego z przodu mężczyznę w górną część tułowia, koło prawego obojczyka. Z rany trysnęła krwawa mgiełka, która zaraz rozwiała się na wietrze, a kula przeszła na wylot i wyszła tuż nad prawą łopatką. Kiedy trafiony upadł na drogę, Will zdążył już wyrzucić łuskę z komory, zarepetować broń i wycelować ponownie z okiem przytkniętym do okularu lunety.

Usłyszał, jak mężczyzna krzyczy z bólu, jak nawołują go kompani, ale

żaden z nich nie odważył się podejść do rannego – przypadli do ziemi, kiedy tylko usłyszeli strzał. Will zobaczył, jak nieco dalej pozostali członkowie sekty ukrywają się wśród domów. Obserwował ich cienie, po czym skierował lunetę w stronę grupy pięciu osób przebiegających od domu do domu. Strzelił do nich, ale wycelował nisko i kula trafiła w ziemię.

Biegący rzucili się na ziemię, po czym dźwignęli się na kolana. Część z nich się wycofała, a inni schowali za najbliższym domem.

Myśliwy wyrzucił łuskę z komory i załadował nowy nabój. Postrzelony przez niego mężczyzna wołał, by ktoś po niego przyszedł. Zdołał się przetoczyć i podeprzeć ręką i teraz pełził po żwirze – lśniącym i ciemnym od wyciekającej z jego piersi i pleców krwi – w poprzek drogi. Will strzelił doń ponownie. Mężczyzna natychmiast padł na ziemię. Kula nie trafiła go, ale traper rozmyślnie wycelował o stopę dalej, przed rannego. Wzbudził w nim w ten sposób na tyle silny lęk, że ten tylko leżał na ziemi, co jakiś czas wydając z siebie jęk lub nawołując kompanów.

Kiedy Will wyrzucił łuskę po zużytych naboju i załadował kolejny pocisk, dostrzegł najpierw wyłaniający się zza rogu kościoła cień wysokiego mężczyzny, a potem samego mężczyznę. Obrócił się, trzymając sztucer, ale zrobił to za wolno. Olbrzym zdążył chwycić oburącz broń i pchnąć nią w trapera. Napastnik napał nakładką lufy na szyję Willa i obaj padli na ziemię.

Traper spróbował odepchnąć go nogami, ale wyszło mu to bardzo niezgrabnie. Przeciwnik był o co najmniej kilka cali wyższy od niego i zapewne o pięćdziesiąt funtów cięższy. Kiedy Will starał się wyswobodzić, czuł pod rękami siłę jego mięśni.

Spróbował odepchnąć karabin od szyi, ale wysiłek był podobny jak przy wyciskaniu kilkusetfuntowej sztangi. Zdołał odsunąć broń na pół cala, ale olbrzym od razu przycisnął ją z powrotem.

Traper zaczynał tracić przytomność. W polu widzenia pojawiały się czarne plamy, w głowie już mu się kręciło i na chwilę stracił kontakt

z rzeczywistością, ale zaraz się otrząsnął i pchnął karabin, ponownie nieco odsuwając go od szyi. Miał sekundę na nabranie oddechu, zanim olbrzym naparł całym ciężarem na broń i znów przycisnął mu osłonę kolby do gardła. Twarz Willa owionął smród oddechu przeciwnika, który z wyszczerzonymi z wysiłku zębami przyszpilał go do ziemi.

Leżący na drodze ranny wciąż nawoływał pozostałych, ale coraz słabiej. Will nie miał pewności, czy to dlatego, że trafiony stracił sporo krwi, czy też to jemu słabł słuch. Lada chwila mógł zostać zaduszony własnym karabinem.

Kiedy nagle olbrzym wygiął plecy i krzyknął z bólu, a jego twarz naraz zmieniła się w siatkę żył i napiętych jak postronki mięśni, Will zdołał się tylko odtoczyć i zanieść kaszlem, próbując schwytać choć łyk powietrza. Przeciwnik puścił karabin. Kiedy traper usiłował odzyskać równowagę i uniół wzrok, wielkolud się odwrócił i Will zobaczył nóż myśliwski sterzący z okolic nerek mężczyzny, jego własny. Ujrzał teraz cofającą się Mary May, podczas gdy ranny wielkolud usiłował dosięgnąć ręką pleców i rękojeści noża.

Ruszył teraz w stronę dziewczyny, nadal próbując chwycić wbitą w jego plecy broń. Nie udało mu się, ale niezrażony, silił się dalej. W końcu, za trzecim razem, zacisnął palce na rękojeści i wyszarpnął skutecznie ostrze. Jednocześnie wydał z siebie ten przeraźliwy odgłos, który Will słyszał dotąd tylko kilkakrotnie, a do tego jeszcze nigdy ze strony człowieka. To był ryk rannego zwierzęcia, w którym pobrzmiwały złość i nienawiść przeradzające się w agresję. Mary May cofnęła się jeszcze parę kroków, a olbrzym ruszył na nią z nożem trapera w dłoni.

Will uniół lufę karabinu i wystrzelił. Kula przeszła między żebrami wielkoluda i wyleciała z przodu, na wysokości serca. Trafiony niemal natychmiast runął na ziemię. Po chwili zastygł w bezruchu w sposób sugerujący, że już nigdy więcej się nie poruszy.

Mary May schyliła się, podniosła nóż, po czym podeszła do trapera.

Widział koszulkę rozdartą aż do biustu i krew – na jej twarzy, ubraniu, i tę sączącą się ze świeżego tatuażu. Zakaszłał, nadal mając problemy z oddychaniem. Oboje zresztą byli w kiepskim stanie.

Leżący na drodze mężczyzna przestał wołać o pomoc, ale za to słysząc było tupot biegnących w stronę Willa i Mary May ludzi. Myśliwy zgiął się, wyciągnął zza paska rewolwer, podszedł do rogu kościoła i strzelił dwukrotnie w dół zbocza. Wyjrzał szybko i zobaczył, jak prześladowcy ponownie się rozbiegają i szukają kryjówek. Przez chwilę Will spoglądał w stronę miejsca, gdzie wcześniej leżał postrzelony mężczyzna, który teraz został odciągnięty i zapewne gdzieś go opatrywali.

Will odwrócił się w stronę Mary May. Klęczała nad bratem i patrzyła na trapera. Zatoczył się. Był osłabiony, ale z każdym nowym oddechem zdawał się odzyskiwać siły. Zbliżył się dziewczyny, podniósł karabin z ziemi, wyjął nowe naboje z kieszeni i uzupełnił magazynek.

– Gdzie jest John? – zapytał.

To były jego pierwsze wypowiedziane do niej słowa. Czuł się trochę winny, że najpierw nie spytał o samopoczucie, ale wiedział też, że zwyczajnie nie mają na to czasu.

– Otumaniony – odparła. – Ale idąc tu, słyszałam innych, na pewno już tu zmierzają. Na drodze syrenę słysząc jeszcze głośniejsze niż tutaj.

Will spojrzał w stronę drzew okalających kompleks kościelny. Wrócił myślami do setek tatuaży ze ścian pokoju. Owszem, widział tu wiele osób, ale przecież nie setki. Wrócił na róg świątyni, po czym wystrzelił w pierwszy obiekt, który mu się nawinął – okno domu znajdującego się w połowie drogi do bramy rozpadło się na kawałki i w odłamkach wleciało do środka.

Następnie wrócił do Mary May i podniósł położony przez nią na ziemi nóż. Wytarł go z krwi o koszulkę, po czym wsunął z powrotem do pochwy. Podał jej rewolwer.

– Zostały jeszcze trzy kule – oznajmił.



Dziewczyna wstała i zrobiła chwiejny krok w jego stronę.

– Jerome dalej na nas czeka? – zapytała. Obróciła się nieznacznie i spojrzała w stronę odległej skarpy.

– Ledwie jesteś w stanie chodzić – odparł traper. – Dojdiesz tam?

– Muszę.

Przyjrzał się jej. Wzrok miała rozbiegany, a do tego była pokryta krwią – własną i zastrzelonego mężczyzny.

– Dasz radę – oznajmił.

Schylił się nisko, żeby podnieść Drew. Zaparł się nogami i dźwignął chłopaka, który mocował się z krępującymi go przewodami i kneblem. Nie zwracając na niego większej uwagi, wciąż nabuzowany od krążącej w żyłach adrenaliny, Will powiedział Mary May, żeby szła jak najprostszą drogą i wypatrywała dużego powalonego przy drodze drzewa, z którego wyrastały młode sosny.

– Znajdziesz tam Jerome'a.

– Dlaczego mi to mówisz?

– Bo musisz go znaleźć i powiedzieć mu, żeby nas odszukał.

Will wrócił do budynku kościoła z Drew na ramieniu i wyjrzał zza rogu. Od razu kilka osób otworzyło do niego ogień.

Ostrożnie wrócił do Mary May, która przyłgnęła plecami do ściany.

– Ruszaj – nakazał jej. – Widzieli mnie i twojego brata. Nie wiedzą, że tu jesteś ani w którą stronę pójdziesz. Powiedz Jerome'owi, że będę czekał milę dalej w stronę drogi stanowej.

Spojrzała na niego w sposób dający do zrozumienia, że to nie jest dobry plan, a on wiedział, że dziewczyna ma rację. Cóż, lepszego nie było.

– Ruszaj – powtórzył.

\*\*\*

Mary May była sama. Obeszła budynek świątyni od tyłu, po czym skierowała się między drzewa, tam gdzie wskazał Will. Dopiero

przystanąwszy między pniami wysokich sosen, jakieś sto jardów dalej, skąd nadal doskonale widziała zostawione za plecami zabudowania, usłyszała pierwsze strzały i krzyki mężczyzn i kobiet. Kiedy się obróciła, wypatrzyła skraj kompleksu, po czym przesunęła wzrok aż na stojące w oddali domy. Widziała też wejście do kościoła i górującą nad budynkiem dzwonnice. Przed świątynią zebrała się większość mieszkańców Bram Edenu. Gdy ich dostrzegła, padła na ziemię, w porastającą cały teren między drzewami trawę.

Stali sto jardów od niej i nie wiedziała, skąd się tam wzięli. Było ich wielu. Zobaczyła też kilka półciężarówek, których wcześniej nie zauważyła. Duża część nowo przybyłych miała karabiny i inną broń, a także kamizelki kuloodporne. Wyglądali, jakby wyruszali na wojnę.

Po chwili kilku mężczyzn oddaliło się w stronę, w którą ruszył Will z Drew na ramieniu, przeciwną do Mary May. Wkrótce potem dziewczyna usłyszała wystrzały, a następnie odpowiedź na nie – zniekształcony huk kilku szybkich strzałów z karabinu starego trapera. Znowu, po raz już chyba piąty czy szósty, przeszła jej przez głowę myśl, czy może nie powinna zawrócić i pobiec do myśliwego, ale wiedziała, że niewiele jest w stanie wskórać.

Miała ze sobą rewolwer z trzema nabojami w bębunku. Spojrzała teraz na ojcowską broń, po czym wróciła wzrokiem do budynku kościoła. Była świadoma, że jeśli Will i Drew mają dotrzeć do drogi na skarpie i przeżyć, ona najpierw musi dostać się do Jerome'a. Jeśli dojdą na miejsce, a pastora tam nie będzie, jeśli traper będzie musiał zaczekać choćby minutę, ludzie z Bram Edenu szybko go okrążą i dopadną. Podobnie jak ona, Will miał nad nimi przewagę dopóty, dopóki pozostawał w ruchu. A jeśli się teraz nie ruszy, jeśli nie zacznie biec w tej chwili, ona, Will, Jerome, a może nawet jej brat Drew zapewne będą zaraz martwi.

Dlatego też wstała i puściła się pędem, oddalając się od jeziora w stronę wskazaną wcześniej przez trapera. Nie czuła już żadnego wpływu

narkotyku, który albo już zdążyła wypocić, albo zneutralizowała go adrenalina. Już prawie dobiegła do gęstych drzew porastających zbocze skarpy, kiedy pierwsza kula trafiła w pobliski pień. Odwróciła się tylko na chwilę i zobaczyła podążających za nią około dziesięciu ludzi z Bram Edenu, którzy bez wątpienia zobaczyli, jak przebiega od pnia do pnia w stronę drogi.

Kiedy dotarła do zbocza i zaczęła się wspinać, padające wszędzie wokół kule z sześciu lub siedmiu karabinów orały ziemię i siekały drzewa. Wtem wszystkie strzały i odgłosy pocisków szatkujących las ustały i Mary May przez krótką chwilę nie opuszczało wrażenie, że świat został wyspany przez jakieś tornado, które pozostawiło po sobie głuchą pustkę.

Najpierw rozbłysło światło eksplozji, a zaraz potem nadszedł jej gromki dźwięk. Odwróciła się i zobaczyła grzyb dymu i pyłu wzbijający się w powietrze nad kompleksem Bram Edenu. Wspinała się rozpaczliwie w górę zbocza, chwytając się dłońmi czego popadnie. Obejrzała się jeszcze raz za siebie i między cienkimi pniami sosen dostrzegła nową kolumnę dymu unoszącą się na tle nieba. Przesunęła się na tyle, by dostrzec, co zostało z domu po wybuchu. Czarna plama wypalanej ziemi odcinała się ostro od zieleni i brązów. Wpatrywała się w zgliszcza dłużej, niż powinna, zachodząc w głowę, czy aby Will i Drew w jakiś sposób nie znaleźli się w środku. Traper nie wspominał jej o żadnym wybuchu.

Miała niewiele czasu na rozmyślanie. Nie potrafiła wytłumaczyć tego, co się właśnie stało, i chociaż martwiła się o obu mężczyzn, musiała wierzyć, że nie wrócili do budynku, by stoczyć ostatni heroiczny bój. Tych kilku członków sekty, którzy gonili ją przez las, też przystanęło i spoglądało w stronę zniszczonego domu. Mary May wykorzystała to i ruszyła w górę zbocza ze zwinnością jakiegoś górskiego zwierzęcia. Gdy teren zaczął się robić bardziej płaski, zdążyła powiększyć swoją przewagę.

Słońce stało jeszcze na niebie, ale zaczęło już opadać ku horyzontowi i Mary May poczuła na skórze chłód. Rozdarta przez Johna koszulka wisiała

luźno, a goła skóra na mostku była pokryta zlepkiem potu, krwi, atramentu i ziemi, która osiadła na niej podczas ucieczki. Momentami mogła iść wyprostowana, ale przez większość czasu wspinała się, pomagając sobie rękami, z rewolwerem zatkniętym z tyłu spodni.

Zaryzykowała jeszcze jedno spojrzenie za siebie i na chwilę stanęła prosto, by przeczesać wzrokiem zbocze skarpy. Zauważyła tylko chwiejące się na wietrze gałęzie. Żadnego stuku kamieni poruszonych przez goniących ją ludzi. Żadnych strzałów. Żadnych nawoływań czy głosów. Las wyglądał dziwnie zwyczajnie i to właśnie ta normalność wybijająca się na tle chaosu napełniała ją największym lękiem. Spojrzała jeszcze ostatni raz na pokonaną drogę, po czym ruszyła przed siebie, ponownie pomagając sobie rękami. Cały czas nie dawała jej spokoju myśl, że gdyby usłyszała choć jeden wystrzał gdzieś daleko w lesie czy nad brzegiem jeziora, poczułaby jakąś ulgę, bo to mogłoby oznaczać, że Will lub jej brat jeszcze żyją. Ale nie słyszała niczego i to przerażało ją bardziej niż cokolwiek z wcześniejszych wydarzeń.

Dotarła na szczyt skarpy z zimnym potem na czole i między piersiami. Pośród drzew dostrzegła drogę. Podparła się rękami, dźwignęła na nogi i puściła biegiem. Po pokonaniu połowy dystansu zobaczyła Jerome'a. Jego samochód stał kawałek na południe od miejsca, w którym spodziewała się go znaleźć; bliżej, niż miała nadzieję.

Pastor wybiegł jej na spotkanie i dziewczyna padła mu w objęcia, tulił ją chwilę, po czym obrócił się w stronę wiekowego oldsmobila.

– Gdzie jest Will? – zapytał. Spojrzał w stronę drzew, spomiędzy których wybiegła. – Nie ma go z tobą?

Dotarli do samochodu. Mary May pozwoliła pastorowi pomóc otworzyć jej drzwi, a potem usiąść na fotelu. Dyszała ciężko i była już cała złana zimnym potem.

– Co z Willem? Słyszałem wybuch. Podeszedłem na skraj zbocza, ale nie widziałem niczego poza dymem unoszącym się ponad drzewami. Czy nic

mu nie jest?

Trudno jej było odpowiedzieć na to pytanie. Nie miała czasu, by się nad tym zastanowić. W głowie miała tylko myśl o ucieczce. Biec przed siebie. Wspinąć się. Wydostać się stamtąd. A teraz, z Jerome'em stojącym obok, nie wiedziała, co powiedzieć. Obejrzała się w stronę lasu. Chciała tam ujrzeć Willa z jej bratem. Uciekających przed pościgiem, biegnących, próbujących znaleźć ją i pastora. Ale nikogo tam nie było. Tylko wiatr wiejący między drzewami. Tylko pustka wpatrującego się w nią lasu.

– Nie wiem, czy Willowi udało się uciec – powiedziała, nie odrywając wzroku od drzew.

– Nie żyje?

– Nie wiem – odparła, spoglądając z powrotem na Jerome'a. Potem popatrzyła na drogę przed nimi. – Musisz ruszać – oznajmiła. – Musimy stąd uciec, póki jeszcze możemy.

Skierował na nią wzrok, po czym zamknął drzwi. Obiegł samochód od przodu, otworzył drzwi i zasiadł za kierownicą, po czym pochylił się nad nią i uruchomił silnik.

– Poprosiłam Willa, żeby zabrał z Bram Edenu mojego brata – powiedziała Mary May. – Ale nie mogliśmy uciekać we trójkę. Will pobiegł z Drew w jedną stronę, a ja w drugą. Powiedział, że spotkają nas dalej na drodze. Ale nie mam pewności, czy udało im się zbiec.

Głos zaczynał jej się łamać. Tutaj, w samochodzie pastora, po raz pierwszy od rana miała możliwość po prostu siedzieć i rozmyślać o własnym istnieniu. Dotarło do niej, jak bardzo, ale to bardzo niebezpieczne stały się Bramy Edenu.

Jerome wdepnął pedał gazu i ruszyli wzdłuż leśnej drogi. Patrzyła przed siebie, po czym spojrzała przez tylną szybę w stronę miejsca, z którego wspięła się na skarpe. Myślała o swoim bracie i Willu i zastanawiała się, czy jeszcze ktoregokolwiek zobaczy żywego.

\*\*\*

Will powiedział Mary May, by ruszała, a potem przyglądał się, jak zaczyna biec w stronę drzew. Wtedy widział ją po raz ostatni.

Poprawił sobie przewieszzonego przez ramię Drew. Sam ciężar chłopaka wystarczył, żeby traper zachwiał się na nogach. Zaraz przypomniał sobie, że sam się w to wpakował, poszedł po brata Mary May jak jakiś dureń. I co teraz?

Ruszył ciężkim truchtem, zostawiając na ziemi wyraźne odciski butów, i skierował się w stronę łagodnych pagórków, leżących po drugiej stronie jeziora. Zbiegł z niewielkiego wzniesienia, na którym stał budynek kościoła, i ruszył po płaskowyżu kilka tysięcy lat temu przecinanym przez strumienie wody spływającej z topniejących lodowców, a teraz porośniętym rzadko paprociami i drzewami. Przed sobą, w oddali, widział wznoszące się nierównomiernie zbocze wysokiej skarpy, na której biegła droga. Na jednym ramieniu czuł ciężar zawieszzonego na pasku karabinu, a na drugim niesionego brata Mary May. Nikt do niego nie strzelał, nie biegł za nim. Nie przerywając ucieczki, obejrzał się za siebie, w stronę kościoła i zabudowań Bram Edenu. Zachodził w głowę, dlaczego nikt go nie goni.

Na dźwięk nadjeżdżających samochodów stanął jak wryty. Przez bramę przejechało pięć półciężarówek wzbijających z drogi chmury kurzu. Will śledził je wzrokiem i nie miał wątpliwości, że wszystko, przez co przeszedł tego dnia, nie mogło się w ogóle równać z tym, co dopiero miało nadejść.

Obserwował, jak samochody jadą drogą wijącą się między domami. Stał jakieś kilkaset jardów od kościoła, na zalesionym płaskim terenie, wznoszącym się łagodnie od brzegu jeziora. Między nim a Bramami Edenu rosły niezbyt gęsto sosny. Drzewa stały w na tyle dużej odległości od siebie, że półciężarówki mogły między nimi przejechać, jeśli członkowie sekty zdecydują się zjechać z drogi i ruszyć za nim.

Od skarpy, gdzie byłby już bezpieczny, dzieliło go jeszcze jakieś ćwierć mili. Od strony kościoła widać go było jak na dłoni i chociaż przekroczył już fundamenty ogrodzenia, czuł się sam, do szpiku kości i rozpaczliwie

samotny.

Will sprawnie położył Drew na ziemi, uniósł karabin do ramienia i spojrzał przez lunetę. Zobaczył wciąż jadące samochody, które już prawie dotarły do kościoła. Tam czekało na nie wielu członków Bram Edenu. Traper przesunął wzrokiem po zebranych; rozpoznał Holly i kilku innych. Wszyscy wskazywali w stronę drzew, skąd właśnie ich obserwował.

Zarzucił karabin na ramię, po czym schylił się, chwycił Drew i dźwignął go z powrotem w górę. Przez chwilę chłopak próbował stawiać opór, ale Will nie zwracał na to uwagi i najszybciej, jak zdołał, ruszył przed siebie z bratem Mary May podskakującym na ramieniu. Po jakimś czasie usłyszał pierwszy strzał – kula przeleciała kilka stóp nad jego głową. Następny poszedł na lewo od niego. Will zobaczył drzazgi odpryskujące od pnia. Zaczął kluczyć, starając się wyszukiwać najgęstsze zarośla, które osłoniłyby go przed strzelającymi.

Kiedy ponownie się obejrzał, zobaczył wszystkie pięć samochodów, które stały już pod kościołem. Siedzący na nich mężczyźni właśnie zeskakiwali na ziemię. Wtem ujrzał rozbłysk lufy karabinu. Zaraz potem usłyszał wystrzał i kulę przelatującą o stopę przed nim. Mieli tam kogoś podobnego do niego, ze sztucerem myśliwskim z lunetą. Zrozumiał, że jest już tylko kwestią czasu, kiedy któryś pocisk sięgnie celu.

Nie zatrzymywał się. Zbiegł do niewielkiego parowu między dwoma pagórkami, po którego dnie biegło wyschnięte koryto strumienia. Gdy wspiął się po jego drugiej stronie i spojrzał w stronę kościoła, zobaczył już tylko dwie półciężarówki. W powietrzu unosiły się chmury kurzu. Bez wątplenia pozostałe samochody jechały w jego stronę.

Wbiegł na zbocze pagórka, a wnet kolejna kula rozorała grunt tuż obok jego stopy, obsypując ziemią cały bok i rękę Willa. Wiedział, że ten wyścig przegra. Był świadom, że pociski trafiały coraz bliżej. Dotarł na szczyt niewielkiego wzniesienia i zbiegł po przeciwległym jego zboczu. Po chwili zatrzymał się i obejrzał za siebie. Jeszcze jedna kula przecięła powietrze

i wówczas traper padł na ziemię. Drew wydał stłumiony przez knebel krzyk, odtoczył się w bok i leżał teraz w poprzek zbocza, cały czas mocując się z przewodami krępującymi mu ręce i stopy.

Will słyszał już ciężarówki; były coraz bliżej. Chrzęst kół na żwirze i piachu odbijał się echem od tafli pobliskiego jeziora i rezonował wśród drzew. Myśliwy wpatrywał się przed siebie. Był tu dobrze zasłonięty, ale wiedział, że to nie potrwa wiecznie, jeśli go dogonią i okrążą. Silniki weszły na wyższe obroty, gdy samochody zaczęły pokonywać wzniesienie od strony zabudowań kościelnych i nagle zobaczył je jadące tak szybko, jak tylko pozwalał teren wymuszający lawirowanie między drzewami.

Wszystkie trzy półciężarówki wjechały na chwilę na otwartą leśną polanę. Will, będąc nieco wyżej od nich, przyglądał się, jak się zbliżają. Od czasu do czasu, ale nie na długo, tracił je z oczu, kiedy przesłaniały je pnie sosen i gęstwina leśna. Kierowcy pokonali nierówny teren i z rykiem silników wyjechali na polanę. Z niewielkiego pagórka, na którym stał kościół, padł kolejny strzał. Kula wbiła się w ziemię tuż przed traperem, wyrzucając w powietrze grudki gleby i kamyki.

Nie miał już czasu. Trawiło go mdlące przeczucie, że niedługo zginie. Kolejna kula wbiła się koło niego, więc został ponownie obsypany ziemią. Spojrzał w stronę, z której padały strzały, i zobaczył mężczyznę stojącego na pace jednej z dwóch pozostałych półciężarówek. Lufę karabinu oparł o dach szoferki. Will dostrzegł w szkle lunety błysk zachodzącego słońca.

Przygotował swój karabin. Oceniał, że od strzelca dzieli go blisko ćwierć mili. Przyjrzał się ruchom trawy, a także drzewom rosnącym wokoło i między nim a kościołem. Oceniał dokładniej dystans i wziął poprawkę na wiejący z boku wiatr. Potem uwzględnił opadanie terenu i trajektorię kuli, po czym na wszelki wypadek zmówił szybką modlitwę. Przyłożył oko do okularu lunety i pomyślał, że jeśli miałby dzisiaj zrobić porządnie choć jedno, niech to będzie ten strzał.

Odrzut wystrzału szarpnął karabinem, ale Will szybko przyłożył oko



z powrotem do okularu. Akurat na czas, żeby zobaczyć mężczyznę padającego na pakę pikapa. Tam, gdzie przed chwilą była jego głowa, unosiła się lekka mgiełka, która wkrótce się roziała.

Zmierzające w jego stronę samochody dojechały na drugi skraj niewielkiej polany. Traper obserwował je przez lunetę. Silniki ryczały, a mężczyźni siedzący na fotelach pasażerów wskazywali na wprost. Jeden z nich wstał i wychylił się przez otwarte okno z karabinem półautomatycznym w rękach. Dzieliło ich od Willa już tylko tysiąc stóp.

Myśliwy zarepetował broń i wycelował między pniami sosen, które rosły między nim a ścigającą go zgrają. Strzelił. Ponownie przeładował. Strzelał na leżąco z niewielkiego pagórka i obserwował pióropusze iskier ulatujące w powietrze i podłużne ślady pozostawiane przez pociski na maskach i bocznej karoserii pikapów. Przednia szyba najbliższego samochodu pokryła się drobną siatką pęknięć. Will przeładowywał i strzelał, dopóki nie skończyły mu się naboje. Gorące łuski spadały w trawę wokół niego.

Pościg był coraz bliżej, z każdą sekundą bliżej. Gdy ścigający go ludzie kluczyli między wykrotami i rosnącymi wszędzie pniami drzew, Will wcisnął rękę do kieszeni i wyjął ostatnie naboje. Kilka upadło na ziemię między zużyte łuski i źdźbła trawy. Załadował pozostałe, zamknął zamek i szybko wznowił ogień, naciskając spust od razu po przeładowaniu.

Odstrzelił lusterko od jednego samochodu, a drugiemu przestrzelił oponę. Kierowca starał się zapanować nad pojazdem, ale wkrótce pikap obrócił się bokiem i dachował, po czym stoczył do parowu i zniknął Willowi z oczu. Myśliwy strzelił ponownie, a potem jeszcze raz; kula przeszła przez silnik, który się zakrzusił i zgasł. Nie przerwał ognia nawet wtedy, kiedy obaj mężczyźni wyskoczyli z samochodu i rzucili się w poszukiwaniu schronienia. Kiedy ostatnia półciężarówka zbliżyła się na sto jardów, już prawie skończyły mu się naboje. Wstał i pobiegł, wiedząc, że jeśli tego nie zrobi, wkrótce go dopadną.

W kilka sekund dotarł do Drew. Wciąż pobudzony adrenaliną, zarzucił

go sobie na ramię i ruszył w górę zbocza. Mięśnie ud paliły go żywym ogniem. To właśnie w chwili, gdy ostatni samochód niemal ich dogonił, wybuchł dom, z którego zabrał chłopaka. Las rozświetlił się od blasku eksplozji, a zaraz potem nadszedł huk.

Do tego momentu Will zdążył już przyzwyczać się do myśli, że gaz jednak nie wybuchnie. Że jeśli miało do tego dojść, to już jakiś czas temu. Dlatego też na widok krateru ziejącego w miejscu małego budynku i wznoszącej się nad nim chmury ognia i dymu wpadł w osłupienie nie mniejsze niż członkowie Bram Edenu.

Ścigający myśliwego kierowca skręcił, zatrzymał się i obrócił w fotelu jakby w obawie, że kula ognia może lecieć w jego stronę.

Will przystanął tylko na krótką chwilę. Zrozumiał, że właśnie teraz musi wspiąć się na skarpe, między drzewa gęsto porastające skaliste zbocze.

Ruszył ponownie. Ciało nie ułatwiało biegu: stopy sprawiały wrażenie dwóch kamieni ciągniętych za nogami, a serce go bolało, jakby pompowało nie krew, ale jakąś żrącą substancję. Wcześniej gnał raczej w prostej linii, ale teraz zbiegł z najbliższego pagórka i zanurzył się w jar, żeby zniknąć z oczu mężczyznom w samochodzie. Parów prowadził lekkim łukiem między dwoma wzniesieniami i po chwili wyprowadził go prosto na skarpe.

Dotarł do zbocza w tej samej chwili, w której pikap pokonał z rykiem silnika pagórek za jego plecami – był niczym łódź przecinająca grzbiet spienionej fali. Usłyszał, jak kierowca zredukował bieg, po czym zakręcił kierownicą i zaraz ponownie depnął na pedał gazu. Opony ryły ziemię na tej samej trasie, którą Will pokonał przed chwilą przez luźne podszybie leśne, kierując się w stronę stromej skarpy. Samochód właśnie przemierzał rosnące wszędzie między drzewami krzewy i z każdą sekundą się zbliżał.

Strzelec siedzący na miejscu pasażera wychylił się przez okno i zaczął pruć seriami. Kule grzechotały o drzewa. Will poślizgnął się, ale zdołał utrzymać równowagę, jedną ręką przytrzymując nogi Drew, a drugą podpierając się o zbocze. Usiłował się wspiąć, ale upadł pod ciężarem

swoim i Drew. Osunął się o blisko pięć stóp, zanim zdołał wbić palce stóp w ziemię na tyle, by wyhamować, po czym złapał staczającego się w ślad za nim brata Mary May.

Obrócił się i uniósł lufę karabinu. Samochód zatrzymał się poniżej, bokiem do Willa. Uzbrojony mężczyzna dalej siedział na fotelu pasażera. Will wycelował w niego i wystrzelił. Kula trafiła w prawe ramię z na tyle dużą siłą, że postrzelonego lekko obróciło. Mężczyzna wypadł przez drzwi, po czym ruszył na tył samochodu, żeby się za nim skryć.

I kierowca, i pasażer nosili kamizelki kuloodporne. Will przyjrzał się im uważnie, zanim ci skryli się za pikapem. Został mu już tylko ostatni nabój, który właśnie wprowadził do komory. Był dobrze widoczny na zboczu. Wbił pięty w luźną ziemię i wyschnięte kolki sosnowe, zalegające wszędzie pod drzewami, zaparł się plecami o Drew, który leżał teraz nieruchomo.

Kiedy nad bokiem samochodu pojawił się karabin i trzymający go mężczyzna posłał serię na oślep, w drzewa i zarośla wokół leżących, Will spojrzął przez lunetę i czekał, aż tamten wejdzie w pole widzenia. Wystrzelił, kiedy tylko mężczyzna nań ruszył. Kula trafiła go w bok pod żebrami, dokładnie w przerwę między dwoma częściami kamizelki. Momentalnie runął na ziemię. Karabin upadł na trawę o stopę przed nim, ale strzelec nie wykonał żadnego ruchu, żeby po niego sięgnąć. Will ponownie spojrzął na niego przez lunetę i napotkał jego nieruchomy wzrok.

Nie mając już ani jednego naboju, Will przyjrzał się ostatni raz samochodowi z ukrytym za nim kierowcą, po czym pomógł Drew wstać. Ten stanął chwiejnie na zboczu z wciąż związanymi rękami i stopami. Osłabiony od niesienia chłopaka taki szmat drogi traper wykorzystał nachylenie terenu, żeby podejść do niego od dołu, po czym przyłożywszy ramię do jego brzucha, naprężył się i wyprostował. Stracił już praktycznie całą siłę i czuł, jak mięśnie z trudem dają radę utrzymać dodatkowy ciężar, gdy parł powoli w górę skarpy. Miał nadzieję, że Mary May zdążyła w tym czasie znaleźć Jerome'a.

Kiedy dotarł już prawie na szczyt wzniesienia, obejrzał się przez ramię i dostrzegł między drzewami kierowcę wspinającego się w jego stronę. Podobnie jak pozostali, miał na sobie kamizelkę kuloodporną, a nad ramienia wystawała mu kolba strzelby, która podskakiwała na plecach w czasie wspinaczki.

Will nie miał już czym strzelać. Spojrzał przed siebie. Między pniami dostrzegł biegnący wzdłuż szczytu skarpy i jeszcze dalej niewysoki skalny grzebień. W oddali, za gładkim kamieniem, między krzewami i drzewami, prześwitywały połacie piachu i żwiru. Mogły być leśną drogą. Ruszył więc przed siebie, słysząc jedynie łomotanie własnego serca i uderzenia podeszew butów o ziemię. Ciągnął resztkami sił i dobrze o tym wiedział. Nawet nie czuł na skórze potu, a zaschnięte usta i skręcony żołądek domagały się jakiegokolwiek płynu. Przy każdym kroku miał poczucie, jakby właśnie ten miał być jego ostatnim.

Wspiął się na nagą skałę i teraz już wyraźnie widział ślady opon na drodze biegnącej jakieś pięćdziesiąt stóp przed nim, w niewielkim zagłębieniu, i dalej, między drzewa. Will obejrzał się za siebie. Nie zobaczył kierowcy samochodu, ale pomyśl zniesienia Drew na dół, do drogi – ba, nawet próby uczynienia tego – wydawał mu się równie niedorzeczny co rozpoczęcie wspinaczki na Everest bez lin czy zapasu tlenu.

Traper opadł na kolana na miękką, wyściełaną sosnowym igliwem ziemię. Zrzucił Drew obok na ziemię, po czym wyprostował się. Miał wrażenie, jakby od wysiłku włożonego w dźwiganie brata Mary May przez las i potem w górę skarpy cały kręgosłup złączył mu się w jeden kawał litej kości. Nie chciał już dalej nieść chłopaka, ani teraz, ani później. Napotkał jego wyczekujące spojrzenie, po czym pchnął go stopą i Drew potoczył się w dół, w stronę skraju drogi i jaru, którym w bardziej deszczowe miesiące na pewno płynął strumyk.

Will zdążył się wyprostować, akurat kiedy kierowca wyszedł spomiędzy drzew kilkaset stóp za nim. Niewiele myśląc, myśliwy zsunął się po

pochyłości, sypiąc naokoło odłamkami skalnymi i drobnymi kamykami. Na dole zrzucił karabin z ramienia, po czym podpełzł do wystających ponad ziemię poskręcanych korzeni. Wsunął się pod nie najgłębiej, jak tylko zdołał. Bez swojego sztucera, zresztą i bez naboju, którymi mógłby go załadować, traper był zmuszony wydobyć z pasa nóż myśliwski. Zaciśnął palce na rękojeści i spojrzął na dno jaru, gdzie Drew leżał, wpatrując się w niego szeroko otwartymi oczami.

Po chwili usłyszał kierowcę przedzierającego się przez zarośla, a następnie zmianę w odgłosie kroków – mężczyzna zszedł ze ściółki leśnej na gładką skałę. Will wychylił się nieznacznie i zobaczył, jak mężczyzna podchodzi ostrożnie na skraj skalnego grzebienia, trzymając w rękach strzelbę. Wtem dostrzegł leżącego na dnie parowu Drew. Ruszył w dół, w stronę leżącego.

Traper czekał tak długo, jak tylko mógł.

Teraz dzieliło ich co najwyżej dziesięć stóp. W jednej dłoni miał nóż, a w drugą nabrał garść żwiru i piachu, po czym wychynął ze swojej kryjówki. Drew otworzył szerzej oczy, zauważając Willa stojącego za kierowcą. Kiedy uzbrojony mężczyzna odgadł, co się właściwie dzieje, i się odwrócił, Will cisnął mu w twarz piachem i żwirem, tymczasowo go oślepiając, po czym dźgnął nożem w szyję.

Padli szepieni na ziemię. Kierowca wydał z siebie swoje ostatnie dźwięki, dobrze znane Willowi z ponad dwudziestu lat spędzonych podczas walk na drugim końcu świata. Krew zalała tchawicę konającego i rozpaczliwe próby nabrania oddechu zmieniły się w bulgot. Ten odgłos również znał – słyszał go wiele razy u ludzi, których zabił, i u przyjaciół, którzy konali na jego rękach. W żadnym razie nie zdołał go polubić.

Nie mógł zmienić już niczego, co zrobił tego dnia, i poczuł się w swoim żalu strasznie bezradny. To z jego powodu umarli ludzie, z jego ręki, chociaż był świadom, że gdyby tego nie zrobił, oni zabiliby jego. Mimo to z jakiegoś powodu nie potrafił się z tym pogodzić. Sądził, że już dawno za

sobą zostawił tego typu wątpliwości.

Ale teraz zalały go wspomnienia.

Przypomniawsobie, kim był podczas wojny i później, kiedy wrócił już do domu. Pomyślał także, kim stał się teraz, kim uczyniły go czas i ubolewanie po śmierci żony i córki, ta rana, która nigdy się nie zablizni. Jaką właściwie rolę odegrał w tym wszystkim? Nie mógł już dłużej odwracać wzroku od konsekwencji tego, co się działo. Nie mógł już się przed nimi chować w nadziei, że wszystko już minęło. Wiedział, że teraz coś z tym robi. Robi dość, by zasłużyć na odkupienie. Że w jakiś sposób właśnie potrzebował całej tej historii, by zyskać przebaczenie w oczach Boga; czy też jakiegokolwiek bytu, który w ten bądź inny sposób decydował o jego losie. Przyniósł innym tak wiele bólu, a dotychczas zrobił tak mało, by zmasać swoje grzechy. Miał nadzieję, że jego obecne starania wystarczą.

Spojrzał na Drew, który cały ten czas śledził jego ruchy, który był świadkiem jego udreki. W głowie myśliwego krążyły myśli, które zdawały się wystrzeliwać z najgłębszych zakamarków jego umysłu i potem przesączały się niczym oliwa przez wszystkie szczeliny ciała. Rozważył możliwość, że właśnie traci zmysły. Był tak zmęczony. Tak cholernie zmęczony. Do tego czuł, że coś porusza mu się w przełyku, coś, co wreszcie się oderwało. Wykrztusił to na ziemię i przyjrzał się wyplutemu obiektowi – skrzepowi krwi wielkością i kształtem przypominającemu piłeczkę golfową. Ewidentnie rósł mu w żołądku wrzód – fizyczna manifestacja własnych lęków i wątpliwości dotyczących Bram Edenu.

Popatrzył na brata Mary May. Nie spuszczał z Willa wzroku, cały czas mając wypisaną na twarzy odrazę. Willowi kręciło się w głowie i pewnie by zemdlął, gdyby nie to, że nie mógł sobie na to pozwolić. W stanie świadomości utrzymał go chrzęst opon samochodowych poruszających się po leśnej drodze. Zaraz potem usłyszał warkot silnika. Odebrał strzelbę nieżywemu już mężczyźnie z pościgu, po czym położył się z lufą opartą na piersi denata i wycelowaną w stronę, z której ktoś właśnie nadjeżdżał. Nie

niał zamiaru się stąd ruszać i po prostu czekał, by się przekonać, kto wyłoni się zza zarośli. Wiedział, że jeśli dojdzie do walki, wykorzysta wszystkie naboje.

## IV

**Krocę wśród ludzi jako prawdziwy prorok. I głoszę słowo wszystkim, którzy słuchają ostrzeżeń fałszywych bogów zwanych rządem i którzy wykonują ich polecenia. Gdyż jestem posłańcem i niech wszyscy, którym podaję dłoń jako przyjaciel; wszyscy, którzy chcą ją przyjąć; wszyscy, którzy dołączą do naszej rodziny i wpuszczą nas do swego serca – niech wiedzą, że oni też są nami. Że oni też są naszymi posłańcami i również cieszą się naszą miłością.**

**I w ten sposób wszyscy się zjednoczymy, gdyż gdziekolwiek pójdziemy, znajdziemy się wśród wiernych Bram Edenu. W każdym środowisku, w każdej klasie społecznej, w każdym domu – czy tym na polu, czy w lesie, czy też w mieście – znajdziemy braci i siostry, którzy myślą tak jak my, gdyż my jesteśmy nimi, a oni są nami.**

Ojciec, Bramy Edenu, hrabstwo Hope, stan Montana



Kiedy Will się obudził, niebo miało kolor bladego błękitu, który można dostrzec tylko przez trzy lub cztery dni w roku, podczas pełni księżyca. Zasnął po stronie pasażera z głową opartą o szybę okna tylnych drzwi oldsmobila. Teraz usiadł i poczuł protest wszystkich mięśni kojarzących mu się z porzewiałymi kawałkami metalu, na które dawno już nie padało światło dnia. Rozejrzał się po wnętrzu samochodu. Był w nim sam z Mary May, ta siedziała na fotelu pasażera, z przodu, i spała w podobnym ułożeniu ciała. Jerome'a nie było na siedzeniu kierowcy. Brakowało też Drew.

Will opuścił wzrok; przy jego nogach leżały kamizelka kuloodporna i strzelba mężczyzny, którego zabił na skarpie. Jego karabin leżał na kolanach Mary May. Pochylił się i spojrzął na broń. Zaczęła w nim wzbierać obawa, że został sam; że Jerome albo Drew zostali porwani, a siedząca bez ruchu Mary May może być w istocie martwa.

Will wyciągnął ku niej dłoń i przycisnął palec do jej szyi. Od razu poczuł ciepło skóry i pulsowanie krwi w tętnicy. Cofnął dłoń i wyjrzał na zewnątrz. Zobaczył ciągnące się wokół pola, a wśród nich zabudowania, niektóre całkowicie ciemne, a niektóre ze światłem sączącym się z okien.

Zabrał strzelbę i wysiadł z samochodu, po czym ostrożnie zamknął drzwi za sobą. Stał na porośniętym trawą poboczu drogi gruntowej. Jerome zatrzymał się na nasypie, z którego rozciągał się dobry widok na płaski teren. Blask księżyca dokładnie wszystko oświetlał, pozostawiając mało miejsca na cienie.

Kiedy traper podszedł na skraj nasypu, dostrzegł w dole niewielki strumień. Płynął wartko, błyskając odbiciem nieba, które zmieniało się zależnie od pogody i fazy księżyca. Przesunął wzrok dalej i dostrzegł Jerome'a stojącego jakies sto, może trochę więcej stóp w górę strumyka. Drew siedział na trawie po jego prawej.

Will nie słyszał nic z ich rozmowy, ale zauważył, że obaj patrzyli w dal, na drugi brzeg, gdzie widać było cztery konie. Traper ruszył wzdłuż drogi, zatrzymał się nad mężczyznami, spojrzął po raz ostatni na stojący oldsmobil i zszedł po zboczu w stronę strumienia. Kiedy zbliżył się do nich na jakieś pięć stóp, ci obrócili się i patrzyli na niego, aż stanął obok Jerome'a.

– Piękne – zauważył pastor, wróciwszy wzrokiem do koni na drugim brzegu.

Zwierzęta stały w równym rzędzie z głowami wyciągniętymi nad drutem ogrodzenia. Co pewien czas jeden schylał się, by skubnąć wysokie źdźbła trawy, która dzięki dobremu nawodnieniu była naprawdę bujna.

Will spojrzął na konie, a następnie na Jerome'a. Potem nachylił się i przyjrzał Drew, który siedział z rękami wciąż związanymi na plecach ale – jak zauważył traper – nie miał już zakneblowanych ust ani więzów krępujących nogi w kostkach.

– Niepotrzebnie z nim ryzykujesz – rzekł do pastora Will.

– Kiedyś uczęszczał na nabożeństwa w moim kościele, nie zapomniałem tego.

– Ta, cóż, nie założyłbym się, że on wspomina to tak samo jak ty – rzucił traper. Potarł dłonią policzek. Pod palcami czuł szramy pozostawione przez paznokcie chłopaka. – Naprawdę powinieneś uważać.

Jerome pokazał mu trzymany w dłoni chromowany rewolwer, po czym spojrzął najpierw na Drew, a potem na Willa.

– Wiesz, nie jest trudno zapomnieć, z czym mamy do czynienia. Być na baczności. Zwłaszcza kiedy się tego posłucha, a słowa Ojca mocno wryją się w głowę.

– Drew cytował ci ewangelię?

– Zawsze to robią – odparł pastor. – Zupełnie jakby nigdy nie przeczytali nic innego, albo jakby nigdy nie słyszeli nikogo poza Ojcem, jakby nie znali innej książki niż ta, którą on nazywa Biblią. Wszyscy się za nią chowają, nawet Drew.

– A ty?

– Ja?

– Czym różni się religia, którą ty wyznajesz?

– Przede wszystkim nikomu jej nie narzucam siłą – odparł Jerome. – Jestem tu jako tłumacz. I czasem nawet dla mnie Biblia sprawia wrażenie napisanej w obcym języku. Nie jestem najważniejszy na świecie, nic z tych rzeczy. Nawet Bóg nie jest. Trzeba robić to, co do człowieka należy, czy jest z tobą Bóg, czy też go z tobą nie ma. Nie zwykłem szukać wymówek.

– Wygląda mi na to, że ucieliście sobie tu małą dyskusję – włączył się Drew.

– Nie nazwałbym tego w ten sposób – odparł Will.

– To jak byś to nazwał?

– Moim zdaniem utknęliśmy w martwym punkcie.

Will spojrzał na siedzącego nieruchomo chłopaka. Obserwował konie, ale Will wiedział przecież, że jednocześnie przysłuchuje się ich rozmowie.

– Co powiedział? – zapytał traper.

– Że gdziekolwiek się udamy, Bramy Edenu zawsze nas znajdują. Że dokądkolwiek nie pójdziemy, u kogokolwiek nie uzyskamy pomocy, ci ludzie wydadzą na siebie wyrok śmierci. Mówi, że John spali ich domy do ziemi.

– Przyjemniaczek z tego Johna, prawda?

Jerome oderwał wzrok od koni i odwrócił się w stronę Willa.

– Nie możemy zabrać ani jego, ani Mary May do mojego kościoła ani do baru. Oba te miejsca są zbyt oczywiste.

– Wiem – zgodził się Will. – Chata, którą od nich dostałem, również nie będzie lepsza. Moim zdaniem powrót do miasta też odpada. Zbyt wiele mają tam oczu.

– Mary May potrzebuje pomocy medycznej. Musimy znaleźć jakieś miejsce, gdzie będzie mogła przemyć i oczyścić ten tatuaż, który zrobił jej John.

Jerome urwał i omiół Willa spojrzeniem.

– Ty też potrzebujesz pomocy lekarza. Drew mówił, że jesteś chory. Że nie powinniśmy na tobie polegać, bo stoisz już na progu śmierci. Powiedział, że kaszlesz krwią i niemal straciłeś przytomność na jego oczach. Czy to prawda?

– Nic mi nie będzie.

– Nie wygląda mi na to – nie zgodził się Jerome.

– Znam się na leczeniu. Potrzebuję tylko czasu i miejsca. Musimy się stąd zabierać, i to szybko.

– Nie wiem, co robić. Drew twierdzi, że Bramy Edenu zawsze wszystko obserwują. A nie widzę żadnego powodu, żeby mu nie wierzyć.

– Ja też nie.

Will spojrzał na pola i stojące w oddali domy. Nie wątpił, że nawet teraz ktoś ich obserwuje. Postąpił kilka kroków, po czym przyklęknął w trawie i położył strzelbę obok siebie na ziemi. Nabrał w dłonie wody ze strumienia i obmył policzki oraz szyję, po czym zanurzył w strudze przedramię. Chłodna woda przyniosła uszkodzonej skórze natychmiastową ulgę.

Wciąż chciało mu się pić. Szczęśliwie przypomniał sobie, że cały czas ma wodę pitną w plecaku. Wstał i spojrzał na Drew. Coś w tym wszystkim nie dawało mu spokoju. Pomyślał o Lonnym. Wspomnił pewność siebie, jaką ten wykazywał aż do fatalnego w skutkach upadku.

Traper podniósł strzelbę, podszedł do siedzącego chłopaka i przyłożył wylot lufy do jego piersi.

– Wiesz o czymś, o czym my nie wiemy? – zapytał go.

– Spalą cię, Will. Wypatroszą cię i powieszają na twoich własnych jelitach, a kiedy będzie już po wszystkim, spalą cię.

– Jesteś dupkiem, Drew.

Chłopak spróbował splunąć na myśliwego, ale nie trafił i ślina poleciała w trawę.

– Dupek – powtórzył Will głosem osoby stwierdzającej oczywistość. –

Zauważyłeś, że było im wszystko jedno, gdy strzelając do mnie, strzelali też do ciebie? Powinieneś to sobie chyba przemyśleć.

– John cię znajdzie – powiedział Drew. – Też nie będzie dla ciebie miły. Jesteś jednym z nas, Will. Zawsze będziesz jednym z nas i są przewidziane kary dla tych, którzy występują przeciwko Kościołowi, którzy przyjęli Ojca, a potem się odeń odwrócili.

– Nie wątpię – odparł traper. – Ale teraz musimy coś sobie wyjaśnić, zanim zanurzymy się w to bagno, które twoim zdaniem nas czeka.

Naparł lufą mocniej na chłopaka i pchnął go na ziemię. Następnie oddał strzelbę Jerome'owi i poprosił go, żeby trzymał ją wycelowaną w Drew, po czym sam przeszukał leżącego.

Najpierw przesunął dłońmi wzdłuż jego nóg, potem sprawdził obie ręce, pierś, plecy, wszystkie miejsca, które tylko przyszły mu do głowy. Kiedy skończył oględziny, wstał, spojrzał na chłopaka i pokręcił głową.

– Możliwe, że jest zwyczajnie szajbnięty – stwierdził, odbierając strzelbę od Jerome'a.

– Spodziewałeś się, że co znajdziesz?

– Nadajnik. John używał ich w górach. Podobno jego starszy brat Jacob wykorzystuje je do śledzenia wilków. Przekonałem się w niezbyt przyjemny sposób, że tak samo tropią ludzi.

– Ale nie znalazłeś tego nadajnika?

– Nie. Po prostu po jego gadce sądziłem, że ma go przy sobie.

– Czyli nic nam nie grozi? – zapytał pastor.

– Chyba nie. Ale to nie rozwiązuje naszego problemu.

– Dokąd się udać?

– Właśnie – przytaknął Will.

– Nic ci nie przychodzi do głowy?

– Tego nie powiedziałem. Jest tam trochę jedzenia, apteczka, bandaż, leki. Ale nie jest to wymarzone miejsce. Unikałem go od dłuższego czasu. Ale lepszego chyba nie znajdziemy.

\*\*\*

Kiedy zatrzymali się pod bramą, już nie spała. Wyjrzała na wzgórze. Podjazd biegł jeszcze przez jakieś sto metrów do stojącego na szczycie domu. Mary May widziała płaski dach i ciemne okna wychodzące na łąki i lasy.

– Znam to miejsce – powiedziała na głos.

Will nachylił się w jej stronę.

– Twój tata przywiózł tu waszą dwójkę raz czy dwa, kiedy byliście naprawdę mali, a wasza mama pracowała wówczas w barze. Urządzaliśmy sobie grilla, a ty i Drew turlaliście się po zboczu. Ale to było dawno temu... dwadzieścia lat, może więcej.

Dostrzegła, że to miejsce wciąż w jakiś sposób było dla niego ważne. Wiedziała, dlaczego nie chciał tu wcześniej przyjechać. A jednak teraz to zrobił. Will pozostawił tutaj zamknięte nie tylko pokoje...

– Będziemy tu bezpieczni? – zapytała.

Popatrzył w stronę domu, a Mary May dostrzegła zmianę w jego oczach. W oddali było widać stojący na szczycie wzgórza budynek z widokiem na szosę i szachownicę pól.

– To dobre miejsce – odparł. – Spójrzcie, jak opiera się ścianą o urwisko, można do niego podejść tylko z jednej strony.

Rozejrzał się po okolicy, spojrzął na zamkniętą na kłódkę bramę.

– Będzie dobrze – dodał. – Jeśli tu przyjdą, zobaczymy ich na długo przed tym, zanim zapukają nam do drzwi.

Jerome obejrzał się na myśliwego, po czym wrócił wzrokiem do bramy.

– Masz klucz do tej kłódki? – zapytał.

Will pokręcił przecząco głową.

– Już dawno straciłem wszystko, co miało związek z tym miejscem. Ale nie będziemy potrzebowali klucza. Już dość nam pomogłeś. Nie możemy prosić cię o więcej. Oni jeszcze nie wiedzą, że jesteś z nami, więc tak sobie myślałem, że może będzie lepiej, jeśli tak pozostanie.

– Chcesz, żebym was tu zostawił?

– Mówię, że powinieneś zadbać o swoje bezpieczeństwo.

– Nie – zaprotestował Jerome. – Nie tak to rozegramy. Przez najbliższe parę dni będziecie potrzebowali różnych rzeczy: jedzenia, wody i tak dalej. Mogę je przywieźć. Zabunkrujemy się tutaj, a kiedy wszystko przycichnie, zabiorę waszą trójkę i pojedziemy szukać pomocy.

Mary May spojrzała na niego pytająco.

– Jakiej pomocy?

– Możemy zacząć od szeryfa.

– Nie – zaprotestowała. – To znaczy... Wydaje mi się, że on chce dobrze. Naprawdę. Byłam u niego parę dni temu. Poprosiłam go o pomoc. Powiedziałam mu, co mam zamiar zrobić. Że pojedę do Bram Edenu po Drew. Nie rozmawiałam o tym z nikim innym. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Chyba wiem, do czego ona zmierza – wtrącił Will.

Obróciła się na siedzeniu i spojrzała najpierw na Willa, a potem na swojego brata.

– John czekał na mnie. Tak jakby wiedział, że przyjadę. Nawet stwierdził, że wie, w jakim celu to robię – ciągnęła Mary May. – Nie sądzę, żeby doniósł mu o tym szeryf, ale ktoś powiedział Johnowi, że się do nich wybieram. Nie wiem tylko kto.

Drew wzruszył ramionami, obrócił się i wyjrzał przez okno. Mary May chciała powiedzieć coś jeszcze, ale zrozumiała, że nic dobrego to nie przyniesie.

Silnik samochodu wciąż pracował. Jerome wrzucił wsteczny bieg, wycofał kawałek, po czym zjechał z podjazdu między drzewa rosnące obok bramy.

– Wchodzę z wami – oznajmił, wyłączając silnik i wyciągając kluczyki ze stacyjki. – Kiedy będzie po wszystkim, wydostaniemy się z hrabstwa i poszukamy pomocy u służb federalnych. Widziałem już dość, żeby zrozumieć, że są tu potrzebni.

\*\*\*

Will naciął swoim nożem myśliwskim trochę smukłych gałęzi i położył je na samochodzie. Kiedy skończył, cofnął się nieco, obrzucił wóz krytycznym spojrzeniem i zwrócił się do pastora:

– To najlepszy kamuflaż, jaki mogę przygotować.

– Trzeba by niemal wpaść na samochód, żeby się zorientować, że tu stoi – odparł Jerome, po czym spojrzał pytająco na Mary May.

Dziewczyna popatrzyła na oldsmobil, a potem na bramę.

– Masz w domu nożyce do drutu?

Will zerknął w stronę budynku. Zrobił to już ze sto razy, tak jakby w obawie, że ten zaraz zniknie.

– Po tylu latach nie wiem, co tam może być. Zobaczymy. Miałem trochę narzędzi, ale naprawdę nie mam pojęcia, czy wciąż tam są. Poszukam nożyc i wrócę tu przeciąć kłódkę, żeby można było wjechać samochodem.

– Po prostu ją odstrzel – wtrącił Drew.

Will obrócił się na pięcie, żeby spojrzeć na chłopaka. Zdążył już poniekąd zapomnieć, że z nimi jest; siedział cicho na ziemi, gdzie go posadzili po zabranii wszystkiego z kabiny. Traper pokręcił głową.

– To mi wygląda na świetny sposób zwrócenia uwagi twoich kumpli na ten dom.

– To też twoi kumple – zauważył Drew.

Will go zignorował. Schylił się i podniósł plecak z wodą pitną, siódmami, pułapkami i pozostałymi nabojami do karabinu. Zaniósł wszystko pod bramę i przerzucił na drugą stronę. Następnie przełożył broń między sztachetami i dopilnował, żeby nikt przechodzący przez ogrodzenie nawet przypadkiem na niej nie stanął.

Teraz polecił pozostałym przejść na drugą stronę. Zabrali ze sobą kamizelkę kuloodporną i strzelbę. Jerome podsadził Mary May i wraz z Willem pomógł jej dźwignąć się na szczyt ogrodzenia. Obaj zauważyli, z jakim trudem porusza ramionami; krzywiła się przy każdym ruchu. Jeden



rzut oka na tatuaż wystarczał, by zrozumieć przyczynę: w wielu miejscach litery wyglądały na wycięte do samej kości.

Potem Will schylił się, podniósł Drew i przyniósł go do bramy. We trójkę zdołali go bezpiecznie przełożyć na drugą stronę. Zaraz potem traper podążył w jego ślady. Jeszcze raz spojrzął na dom. Nie miał cienia wątpliwości, że w ten czy inny sposób to właśnie tu wszystko się zaczęło, lata temu.

Usiłował ukryć, co znaczył dla niego powrót do domu, ale wiedział, że pozostali i tak swoje podejrzewali. Wziął z ziemi karabin i plecak, po czym odwrócił się do nich i zakomunikował, że trzeba się ruszać. Podążyli dwójkami w górę zbocza. Chociaż Will miał nadzieję znaleźć tu coś, co ich uratuje, tak naprawdę nie wiedział, co mogą w środku zastać. On przez lata zapomniał o tym miejscu, ale czy inni też zapomnieli?

Kiedy doszli pod sam dom, dojrzał sznurową huśtawkę, wciąż wiszącą pod samotnym drzewem, tak jak wisiała, kiedy przekazywał nieruchomość. Zatrzymał się i wpatrywał w dwie liny i przywiązaną do nich drewnianą poprzeczkę. Wiedział, że jest tu nie bez powodu, ale zachodził w głowę, dlaczego to akurat lęk przed śmiercią ostatecznie zdecydował o powrocie. Gdy przyglądał się huśtawce, pozostali minęli go, co pomogło mu uwolnić się spod uroku tej prostej zabawki. Obrócił się i napotkał spojrzenia czekających na niego przy domu Mary May, Jerome'a i Drew.

– Po prostu wspomnienia wracają – wyjaśnił Will.

Powiedział to w formie żartu, ale nikt się nie roześmiał. Cała trójka przyglądała mu się w milczeniu, gdy pokonywał dzielącą ich odległość. Parterowy dom przez te lata w zasadzie się nie zmienił. Tu i ówdzie odchodziła farba, a trawnik był całkowicie zapuszczony, w paru miejscach w rynnach rosły jakieś chwasty. Ale to nadal był jego dom, nawet teraz, kiedy już nim właściwie nie był.

Tutaj wychował swoją córkę Cali. Sam powiesił tę huśtawkę, na której bujał ją, gdy była mała, i z której później obserwował jej zabawy, kiedy już

podrosła. Spojrzał teraz na te dwa kawałki liny z poprzeczką, jakby nie było żadnego powodu, by tu wisiały, chociaż przecież doskonale ten powód znał. Przekazując całą ziemię Kościołowi, oddał też jakąś część siebie. Głupio sądził, że pozbędzie się w ten sposób całego ciężaru wspomnień.

Pod kamieniem leżącym koło drzwi znalazł klucz. Otworzył zamek, po czym pchnął drzwi ramieniem i wszedł do środka. W panującej wokół względnej ciszy skrzypnięcie drewna i zawiasów było przejmujące. Wewnątrz czekały cienie i uwięzione w zamkniętym budynku ciepłe powietrze, które teraz pośpieszyło im na spotkanie. Czuć było kurzem i stęchlizną typową dla długo zamkniętych miejsc.

Rozejrzał się po sieni, po czym wszedł głębiej, trącając nogą starą puszkę po piwie; najpierw ją usłyszał, dopiero potem dostrzegł, wtaczającą się w prostokąt blasku księżycy na podłodze.

– Wygląda na to, że miałeś dzikich lokatorów – zauważył Jerome.

Wszedł do pokoju, ciągnąc za sobą Drew, dalej szła Mary May. Zamknęła za sobą drzwi i teraz cała czwórka rozglądała się wokół.

Nigdy nie sądził, że pije za dużo. Aż do poranka po tym feralnym dniu, w którym stracił żonę i córkę. Ale teraz, kiedy rozglądał się po domu, widział, jak bardzo był ślepy – był większym pijakiem, niż podejrzewał. Wszędzie walały się puste butelki, niektóre sprzed ich śmierci, ale o wiele, wiele więcej było tych z późniejszych dni. Po opróżnieniu ciskał je na oślep. W jednym z kątów pokoju dziennego był cały stos potłuczonego szkła. Na ścianie powyżej widniało wysprejowane słowo MORDERCA i chociaż pozostała trójka sądziła, że musiał je napisać ktoś inny, on wiedział, że zrobił to własnoręcznie i że wtedy tak właśnie o sobie mniemał.

Żałował teraz, że to nie on zginął zamiast nich. Że nie zapił się na śmierć, do czego dążył przez wiele dni i nocy po ich śmierci. I chociaż rozmyślanie o ich miłości teraz sprawiało mu ból, wolałby, żeby kochały go mniej. Wtedy, pomyślał, nie wsiadłyby w samochód tamtego wieczora. Ale po chwili sam siebie poprawił: to by nie rozwiązało sprawy. I skoro miał być

ze sobą naprawdę szczerzy, zreflektował się, że to on powinien postępować inaczej, zmienić się, nie one.

– W kuchni powinny być lampy naftowe – powiedział na głos.

Spojrzał na towarzyszącą mu trójkę ludzi. Widział, jak uważnie rozglądają się po wnętrzu, tak jakby wkroczyli nieproszeni do więzienia dla wspomnień, które Will tu kiedyś stworzył.

– Górna półka po prawej. Zapalki też tam powinny być. A jeśli lampy będą puste, pod zlewem jest chyba zapas nafty. Przynajmniej powinien tam być.

Przeszli do kuchni i po chwili usłyszał, jak szukają lamp. Zapalili jedną, a zaraz drugą. Przez drzwi zaczął wlewać się ciepły blask. Potem usłyszał ich rozmowę. Na regale stała puszkowana żywność, a na jednej z dolnych półek znaleźli zgrzewkę wody gazowanej.

Will dołączył do nich w kuchni; właśnie wykładali znaleźiska na blat. Widział wyraźnie, że samo odszukanie jedzenia poprawiło ich nastrój. Odkręcił kran, ale woda nie pociekła. Potem przekręcił pokrętko na kuchence, ale nie usłyszał żadnego trzasku ani nie zobaczył iskry. Cofnął się o krok i zaczął zastanawiać, co może w tej sytuacji zrobić.

Po pięciu minutach wrócił ze starą dwupalnikową kuchenką turystyczną, której używał za młodu, świeżo po powrocie z wojny. Znalazł też do niej paliwo. Otworzył zawór doprowadzający, potem odkręcił gałkę przy palniku i usłyszał syk. Użył zapalki i przez chwilę wszyscy stali, przyglądając się w lekkim zadziwieniu, jak płomień żywo się ruszają, wręcz tańczą, a potem się uspokajają.

W czasie kiedy traper szukał apteczki, reszta zaczęła już podgrzewać na starej patelni groszek z kukurydzą, a na drugim palniku przygotowali swego rodzaju zupę z wody ze zgrzewki, z pokrojoną mieloną i sosem pomidorowym.

– Pachnie cudownie – westchnęła Mary May. Wzięła apteczkę od Willa i spojrzała na niego. – Dziękuję. Wiem, że nie było ci łatwo tu przyjechać.

– Dwanaście lat to szmat czasu – odparł traper. – Powinienem sobie poradzić.

– Ale sobie nie radzisz – zauważyła. – Też to widzimy i nie winimy cię.

Spojrzał na nią. Mimo że dotychczas starał się unikać jej wzroku. Na przestrzeni trzech tygodni straciła matkę i ojca, i poniekąd brata, a to ona była tu silniejsza. Zdawał sobie z tego sprawę. Widział to równie wyraźnie, jak zapewne ona dostrzegała jego ból.

– Mój brat... – powiedziała, obracając się w stronę Drew, który siedział pod jedną ze ścian kuchni z rękami wciąż związanymi za plecami i nogami wyciągniętymi na podłodze. – Chcę go rozwiązać. Czubki palców zaczynają mu sinieć. Musi być obolały.

Spojrzała z powrotem na Willa, który przyglądał się jej i rozmyślał o tym, o co go poprosiła.

Potem podszedł do jej brata, przykucnął i przyjrzał się chłopakowi.

– Twoja siostra mówi, że masz zbyt ciasno związane ręce, to prawda?

– Sam możesz zobaczyć – odparł Drew i obrócił się nieco, wskazując mu wzrokiem wykręcone za plecy ramiona, tak jakby chciał jakoś podzielić tę chwilę z obecnymi. – Nie czuję nic poniżej nadgarstków.

Will przyjrzał się jego palcom. Mary May miała rację. W tym świetle sprawiały wrażenie nieco poszarzałych. Nachylił się i odciągnął je lekko, żeby lepiej zobaczyć. Najpierw zerknął na Mary May, a potem na Jerome'a.

Pastor stał nad kuchenką turystyczną i mieszał zupę. Kiedy poczuł na sobie spojrzenie traper, powoli i z rozmysłem pokręcił głową, wyrażając milcząco sprzeciw wobec umożliwienia Drew ataku.

Will wstał. Ruszył w głąb domu. Kiedy wrócił do kuchni, trzymał już długą linę wspinaczkową, kilka opasek zaciskowych i kobiecą bluzkę. Położył wszystko na stole obok kuchenki. Jerome cały czas przyglądał się mu w milczeniu.

Myśliwy wyciągnął jedno z krzesel spod stołu i postawił je na środku pomieszczenia. Spojrzał na Mary May.

– Wiem, że go kochasz. Wiem, że chcesz mu pomóc, zresztą ja też. Dlatego właśnie jest tutaj, a nie leży martwy w Bramach Edenu. Ale muszę ci też uświadomić, że nie można mu ufać. W porządku, to twoja jedyna rodzina. Tylko on ci pozostał, ale teraz, w tej sytuacji, naprawdę nie możemy go traktować z taką miłością i bezkrytycznie.

Dziewczyna spojrzała na brata, po czym wróciła wzrokiem do Willa.

– To co teraz?

Will wziął drugą lampę naftową, która stała przy zlewie, i podszedł do Mary May, po drodze wyjmując ze zgrzewki jedną z pozostałych puszek z wodą gazowaną, i podał jej oba przedmioty.

– Rozwiążę twojego brata, a ty w międzyczasie weźmiesz tę bluzkę, apteczkę i pójdziesz do łazienki. Zaczynaj czyścić ten tatuaż. Ja posadzę Drew na krześle, przywiążę mu do niego nogi, potem tułów, po czym rozetnę kable na rękach.

– Nie chcesz, żebym ci pomogła? – zapytała.

– Nie – odparł Will. – Nie chcę, ponieważ jeśli w którejkolwiek chwili Drew mi się wyrwie, nie chcę, żebyś mnie powstrzymywała. Albo Jerome’a. Nie chcemy, żeby mu się coś stało, ale też nikt z nas mu nie ufa. Rozumiesz?

– Jestem po waszej stronie – upierała się. – Mogłabym pomóc.

Spojrzała zza jego ramienia na brata. Traper odwrócił się i zobaczył, że cała ta scena go rozbawiła.

– Wiem – stwierdził Will. – Ale wszystko szybko się zmienia. Dlatego właśnie John odesłał go, kiedy zaczął cię tatuować. I dlatego też ja odsyłam cię teraz. Więzy krwi sprawiają, że ludzie robią różne rzeczy. I tyle.

Rozejrzała się po kuchni, spojrzała po kolei na każdego z mężczyzn, po czym pokiwała głową i ruszyła w stronę łazienki. Kiedy zniknęła im z oczu, widzieli już tylko światło lampy odbijające się od ścian korytarza. Później w oddali rozległ się trzask zamykanych drzwi i na korytarzu ponownie zapadła ciemność.

Will dźwignął Drew na nogi, podprowadził go do krzesła i posadził na nim. W tym czasie Jerome wziął strzelbę i odszedł nieco w prawo, żeby mieć czysty strzał i nie trafić przypadkiem trapera, gdyby brat Mary May jednak zdecydował się ich zaatakować. Myśliwy odciął kawałek liny i obwiązał oparcie krzesła, po czym okręcił też ręce Drew w łokciach, przełożył z przodu w poprzek piersi chłopaka i zawiązał porządny węzeł za jego plecami. Potem przywiązał mu do mebla nogi w kostkach dwoma oddzielnymi kawałkami liny. Dopiero wtedy przeciął przewody krępujące mu nadgarstki. Lina oplątująca pierś i ręce była na tyle luźna, że mógł – choć z pewnym trudem – wykręcić ramiona przed siebie i położyć dłonie na udach.

Will sprawdził jeszcze wszystkie więzy, po czym się cofnął. Spojrzał na Jerome'a i nakazał mu gestem opuszczenie lufy strzelby.

Drew raz po raz zaciskał i rozprostowywał palce. Uniósł wzrok na trapera i uśmiechnął się.

– Widzisz, możecie mi ufać – powiedział.

Will odwrócił się, odszukał kilka grubych koców i gwoździ, po czym zasłonił i zabił nimi frontowe okna, żeby z zewnątrz nie było widać blasku rzucanego przez lampę i kuchenkę. Już niemal skończył, kiedy wyrztał przez okno wychodzące na samotne drzewo przed domem i zobaczył, jak huśtawka porusza się nieznacznie na nocnym wietrze wiejącym od doliny.

Przez chwilę chłonał ten widok i poczuł napływ wspomnień. Aż ścisnęło mu się gardło, a potem i żołądek.

– Mam nadzieję, że gdziekolwiek teraz jesteście, urządziłyście sobie życie lepiej, niż ja kiedykolwiek mogłem – wyszeptał.

Przez chwilę pozwolił tym słowom wybrzmieć, po czym wbił ostatni gwóźdź we framugę.

\*\*\*

W apteczce Mary May znalazła trochę gazy i spirytus. Były tam też

nożyczki, bandaże zwykłe i elastyczne oraz małe metalowe zapinki. Wyłożyła wszystko na blacie przy umywalce. Płomień w lampie migotał, a cienie apteczki i jej zawartości tańczyły na ścianie.

Przez chwilę nasłuchiwała, ale do jej uszu nie dotarły żadne odgłosy walki, więc założyła, że wszystko poszło gładko i teraz jej brat siedział na krześle z wolnymi rękami. Nie winiła Willa za to, co jej powiedział. Wiedziała, że miał rację, że kiedy chodzi o rodzinę, ludzie potrafią się zachowywać nieracjonalnie.

– Na przykład rozbić samochód i uciec w góry na dzień czy dwa – powiedziała spoglądająca na nią w półmroku kobieta z lustra.

– John naprawdę próbował dać ci wyjście z tej sytuacji – odpowiedziała samej sobie. – Próbował ci powiedzieć, żebyś nie jechała na tę górę, ale ty i tak to zrobiłaś, a teraz przez resztę życia musisz sobie radzić z tym wszystkim.

Odkleiła i odciągnęła skraj koszulki od skóry. Materiał przywarł w paru miejscach, gdzie zakrzepła mieszanina krwi i potu. Przyjrzała się wytatuowanemu słowu. Było ledwie widoczne, tak brudna od piachu i kurzu była jej skóra. Cała wyglądała jak ktoś z dawnych czasów, jakiś głupiec, który dał się wysmarować smołą i obsypać pierzem.

Wzięła nożyczki i rozcięła materiał na całej długości, po czym zsunęła koszulkę z ramion i pozwoliła jej opaść na ziemię. Rozejrzała się po rozstawionych na blacie rzeczach i wzięła puszkę wody gazowanej. Otworzyła ją, wylała trochę płynu na gazę i przystąpiła do czyszczenia skóry pod szyją. Na razie okrążała litery, nie chcąc ich jeszcze dotykać. Pod brudem i krwią skóra była zaczerwieniona i spuchnięta.

Potem wzięła nowy kawałek gazy, wylała na niego trochę spirytusu i powtórzyła zabieg, krzywiąc się z bólu, czasem, kiedy alkohol stykał się z podrażnioną skórą, wydając nawet z siebie krótki okrzyk. Kiedy skończyła, przyglądała się nieruchomo swojemu odbiciu w lustrze, wodząc wzrokiem po literach w migoczącym blasku lampy. Ciemny tatuaż odcinał

się od skóry. W kilku miejscach John poprawiał linię kilka razy, w innych zaś postępował delikatniej. W rezultacie napis był nierówny i nieco krzywy, przypominał pismo dziecka.

**ZAZDROŚĆ.** Przyjrzała się dobrze temu słowu, po czym zamknęła oczy w nadziei, że kiedy je na powrót otworzy, tatuaż w jakiś sposób zniknie. Ale cały czas tam był, rozpościerał się między obojczykiem a skrajem stanika. Została naznaczona i teraz wspomniała, co John powiedział jej podczas nanoszenia słowa-grzechu na jej pierś. Wiedziała, że tego nie zapomni, ale też że jej podejście do tego, co robił tatuażysta, i jego intencje stały względem siebie w opozycji. Nie zapomni. Ale jeśli to John zabił jej tatę, z pewnością go dorwie, jego pierwszego.

Po pewnym czasie uznała, że starczy już wpatrywania się w tatuaż, i zsunęła z ramienia najpierw jeden, a potem drugi pasek biustonosza. Nie rozpięła go z tyłu, tylko przystąpiła do przykładania czystych bandaży do zaczerwienionej i spuchniętej skóry. Gdyby miała jakiś balsam albo krem, użyłaby go, ale wszystko, co znalazła, było stare, rozwarstwione i zdecydowanie nie nadawało się do użycia. Następnie owinęła się bandażem elastycznym i zapięła go metalowymi łąpkami. W porządku. Nie był to może profesjonalny opatrunek, ale spełniał swoje zadanie.

Wciągnęła z powrotem paski stanika na ramiona, po czym wzięła bluzkę, którą znalazł dla niej Will. Była nadal złożona w kostkę. Przyłożyła materiał do nosa. Wyczuła kurz i stęchliznę długo zamkniętych pomieszczeń.

Bluzka lekko zapleśniała i jednocześnie pachniała trochę perfumami innej kobiety. Należała do jego żony, to było dla niej oczywiste już w chwili, kiedy ją przyniósł. Mary May rozłożyła ją przed sobą na blacie. Szara bluzka zapinana na guziki. Wiedziała, że wybrał właśnie tę dlatego, że nie będzie przylegała do skóry na wysokości tatuażu, to dobrze, ale zdecydowanie też nie przypominała koszulek z krótkim rękawem, do których była przyzwyczajona. Założyła ją i przyjrzała się sobie w lustrze.



Wyglądała jak ktoś zupełnie obcy. Jakby wydarzeń ostatnich paru dni nie było. Miała jednak świadomość, że żadna bluzka nie wymaże tatuażu i że to znamię będzie już zawsze jej towarzyszyło, jakkolwiek by nie starała się go ukryć.

Kiedy otworzyła drzwi i wyszła z łazienki z lampą przed sobą, poczuła zapach jedzenia. Do jej uszu dobiegł brzęk metalowych sztućców i przyciszone męskie głosy. Ruszyła przed siebie, ale zaraz się zatrzymała. W pokoju dziennym wszystkie okna zostały zasłonięte grubymi kocami, ale przez jeden, najcieńszy, przenikał nieznacznie czerwony migoczący blask, jak światło z dna basenu, rozmyte i odległe. Wiedziała jednak, że to nie było żadne światło z dna basenu ani nic z równie przyjemnych spraw.

Kiedy dotarła do okna, była już pewna, że coś się pali. W powietrzu unosiła się lekka woń, której wcześniej nie było, jakby gumy czy jakiegoś akrylu. Odchyliła skraj koca i wyjrzała na zewnątrz. Ogień rozświetlał noc, a dym unosił się czarnymi kłęбами. Płomienie strzelały w górę na dwadzieścia, może nawet trzydzieści stóp. Podpalono coś przy bramie, a ogień właśnie rozprzestrzeniał się na pobliskie drzewa.

\*\*\*

To był samochód Jerome'a. Will spojrział w stronę oldsmobila przez lunetę i zobaczył płomienie liżące gałęzie drzew. Wiele z nich już złapało ogień, więc gorące powietrze biło w górę, wyginając konary i wprawiając je w okrutny taniec, podobny ostatnim przedśmiertnym podrygom pająka wyrzucającego spazmatycznie odnóża w powietrze.

Will oderwał oko od okularu i odsunął się od okna. Nie wypatrzył niczego poza płonącym samochodem. Szyby odbijały tylko czerwone płomienie, a wypalony ciemny lakier samochodu przybrał w blasku księżycy barwę popiołu. Nie widział nikogo, ale to nie znaczyło, że nikogo tam nie było – musieli być. Wnosząc po liczbie wytatuowanych skrawków skóry przybitych do ściany w domu, w którym odnalazł Mary May, zapewne

gdzieś tam czaił się John i wielu, wielu innych.

Kiedy Will odwrócił się od okna, napotkał ich wyczekujące spojrzenia. Stojącej tuż obok niego Mary May, Jerome'a na środku pokoju, a nawet Drew wciąż przywiązanego do krzesła w kuchni.

– Zbierajcie manatki – zarządził traper.

Patrzył na nich i widział na ich twarzach odbicie własnej skonsternowanej miny. Sądził, że są tu bezpieczni. Czuli się tu wolni, ale jednak takimi nie byli, oj, ani przez chwilę nie byli. Drew miał rację od samego początku. Bramy Edenu przyjdą po nich i nie uda im się ukryć.

– Ruszcie się – ponaglił ich. – Musimy stąd zniknąć. Nie ma już czasu.

Podszedł do stojącego na podłodze plecaka. Kucnął, wyjął ze środka pudełko z nabojami, po czym przełożył wszystkie do kieszeni i następnie wstał, zabierając ze sobą ekwipunek. Kiedy wrócił do okna, ponownie wyjrzał w noc przez lunetę, usiłując uspokoić rozedrgane nerwy. Myśli goniły mu przez głowę niczym rozpedzony pociąg towarowy.

W mroku wypatrzył grupę dwudziestu, może trzydziestu osób. Wszyscy byli uzbrojeni i szli w górę zbocza, otaczając dom z obu stron. Na czele kroczył John. Ciemne sylwetki – jego i tych za jego plecami – oświetlone płomieniami, przypominały piekielne pomioty, które wysłał w świat sam diabeł. Z każdą chwilą zbliżały się do stojącego na szczycie wzgórza domu.

Will zobaczył, jak Mary May wygląda przez drugie okno, odchyliwszy przesłaniające je gruby koc. Za pasek spodni z przodu wetknęła swój rewolwer. Kiedy poczuła na sobie jego wzrok, opuściła skraj koca i ruszyła mu na spotkanie. Razem weszli do kuchni, gdzie znaleźli Jerome'a. Stał nad Drew ze starym nożem kuchennym w ręce.

– Co powinienem zrobić? – zapytał pastor. – Uwolnić go z więzów? Musimy uciekać. Możliwe, że już jesteśmy w potrzasku.

Will spojrzał na Jerome'a, na nóż w jego dłoni, po czym obrócił się i potoczył wzrokiem po oknach. W każdym było już widać rozmyty blask ognia, tak jakby płonęło już wszystko wkoło, a nie tylko kępa drzew przy

bramie.

– Moglibyśmy puścić go wolno – powiedział. – Powinniśmy. Mamy jeszcze możliwość ucieczki, ale nie dalibyśmy rady go nieść, a z kolei związany nie mógłby poruszać się tak szybko, jak musimy.

Obrócił się do nich. Zlustrował ich twarze i dostrzegł na nich strach. Zastanawiał się, czy tylko on jeszcze ma nadzieję, że wyjdą z tego cali.

– Nie zostawię go – oznajmiła Mary May.

Will odwrócił się do niej gwałtownie. Nie miał już w zasadzie nic do dodania ponad to, co już jej wcześniej powiedział. To prawda, więzy rodzinne sprawiają, że ludzie robią dziwne rzeczy, i chociaż wiedział, jak bardzo dziewczyna się myli, jednocześnie ją rozumiał. Will przeszedłby całe piekło tam i z powrotem, gdyby to mogło ocalić jego żonę czy córkę lub resztkę tego, co jeszcze było dlań ważne.

– W porządku – zgodził się ostatecznie.

Nie spierał się z nią. Jak najszybciej przeszedł pokój, zgarnął kamizelkę kuloodporną i strzelbę, rzucił je Jerome'owi i wycedził, że muszą się, cholera, sprężyć.

Pastor spojrzał na niego ostro, ale już po chwili odłożył nóż i chwycił kamizelkę w jedną rękę, a strzelbę w drugą. Obejrzał się na Mary May.

– Ty powinnaś to włożyć – zwrócił się do niej, wyciągając w jej stronę kamizelkę.

– Nie – zaprotestowała. – Ty powinienes. Jeśli chcą mnie zabić, to to zrobią. Żadna kamizelka im w tym nie przeszkodzi.

Will odczekał pół sekundy, chociaż nie mieli nawet tyle czasu, bo każda chwila przybliżała ich do tego, co nadciągało. Spojrzał na Mary May.

– Weź trytytki ze stołu, zwiąż nimi ręce Drew, a potem odetnij go od krzesła. Wypchnij go na zewnątrz, prosto na Johna. Nie mogą wejść do środka. Pozostawaj na widoku, żeby jak najwięcej z nich cię widziało. John mógł cię zabić w Bramach Edenu, ale tego nie zrobił. To może wciąż grać na twoją korzyść.

Nie miał czasu na lepsze pożegnanie. Odwrócił się i wyszedł przez tylne drzwi, a Jerome podążył za nim. Wyszli w noc na gruby żwir i rozejrzeli się wkoło, nieco zdziwieni, że są tu sami i nie czeka na nich żaden członek Bram Edenu.

Tu i ówdzie rosły kępki trawy, ale nie było jej zbyt wiele. Cień rzucany przez dom i skalna ściana znajdująca się dwadzieścia stóp dalej nie dopuszczały tu wiele światła. Teren opadał stąd w stronę drogi. Will znał każdy skrawek tej okolicy i chociaż nie był tu od lat, doskonale pamiętał, w którą stronę trzeba iść.

Szybko przebył jałową połąć ziemi i dotarł do skały. Jerome podążył tuż za nim, wciąż ściskając kamizelkę kuloodporną w jednej ręce, a strzelbę w drugiej. Kiedy zrównał się z Willem, obrócił się i spojrzął na dom – na poczerwieniałe niebo za nim, które świadczyło nie o nadejściu świtu, ale o płomieniach pożerających jego samochód w mroku nocy.

– Nie powinniśmy jej zostawiać tam samej – powiedział pastor.

Will cały czas przesuwiał rękami po nagiej skale, przyglądał się jej, próbując przypomnieć sobie i odnaleźć drogę, którą poznał wiele lat temu.

– Nie zostawiam jej – odparł, znalazłszy pierwszy skalny uskok umożliwiający dobry chwyt. – Wspinam się na górę. Jeśli Mary May wyprowadzi Drew na zewnątrz, powinienem mieć każdego, kto spróbuje jej zrobić krzywdę, jak na talerzu.

Jerome odwrócił się do niego i przyjrzał skalnej ścianie.

– Moja córka odkryła tę drogę, kiedy miała zaledwie osiem lat – wyjaśnił myśliwy. – Przez pierwsze dziesięć stóp natrafia się na dobre uchwyty i podparcia dla stóp, a potem można już spokojnie wdrapać się na sam szczyt.

– Nie pozwolisz, by cokolwiek się stało Mary May? – upewnił się pastor.

– Jeśli będzie trzeba, wykorzystam wszystkie naboje.

Odwrócił się do Jerome'a i obejrzał go od stóp do głów. Też był

weteranem, ale teraz bardziej przypominał cywila niż żołnierza.

– Daj mi strzelbę i załóż kamizelkę.

Jerome podał mu broń i Will przypiął ją do boku plecaka, po czym rozpoczął wspinaczkę, wykorzystując zapamiętane punkty podparcia.

Jerome zacisnął paski kamizelki i wkrótce ruszył jego śladem.

\*\*\*

– Nie musisz tego robić – powiedział Drew.

Siedział na krześle, a ona złączyła mu dłonie na kolanach, podczas gdy ramiona i tors wciąż opasywała lina. Skrępowwała nadgarstki opaskami zaciskowymi, przecięła sznury nożem, po czym wyprostowała się, wyjęła zza paska spodni rewolwer, wycelowała w niego.

– Staram się ocalić twoje życie. Nie widzisz tego? – oznajmiła.

Drew odpowiedział jej uśmiechem i słowami:

– A ja się staram ocalić twoje.

Nie wiedziała, co mu na to odrzec. Wspomniała młodego pasterza, którego spotkała w górach. Przypomniała sobie jego słowa: „Mam nadzieję, że ty dla niego znaczysz tyle samo, co on dla ciebie”. Nie była już tego taka pewna. Ale wciąż chciała, żeby to była prawda.

Skinęła w stronę salonu i drzwi. Drew wstał i tam ruszył. Odłożyła nóż i minęła niewielki stół, przy którym przygotowywali jedzenie, a potem podążyła za bratem z ojcowskim rewolwerem wycelowanym prosto w jego plecy. Sięgnął skrępowanymi dłońmi do klamki i obejrzał się na nią, czekając na polecenie.

– Kiedy tam wyjdziemy, nie będzie odwrotu – powiedział.

– Już od dawna nie ma odwrotu – odparła. – Odkąd tata zginął, bo próbował sprowadzić cię z tej góry.

Odchyliła koc i wyjrzała na zewnątrz. John czekał na nich. Dotarł już ze swoją zgrają prawie na sam szczyt wzgórza. Stali jakieś pięćdziesiąt stóp od domu w sile około dwudziestu osób, jeśli nie więcej. Wszyscy czekali, tak

jakby dobrze wiedzieli, że Mary May do nich wyjdzie.

Wróciła do brata, przytknęła mu lufę do pleców, po czym nakazała otworzyć drzwi. Wyszli. Drew z przodu, a Mary May tuż za nim z wycelowanym w niego rewolwerem.

Natychmiast poczuła się nieswojo, pot wystąpił na skórę, a przerażenie przybierało na sile. Kobiety i mężczyźni – ustawieni w rzędzie, wszyscy uzbrojeni – zbliżali się do niej i otaczali ją ze wszystkich stron.

Mary May szła naprzód i wodziła wzrokiem po twarzach zgromadzonych. Połowę z nich znała – albo tak jej się zdawało. Wypatrzyła kilka osób. Jedną z nauczycielek ze szkoły podstawowej. Dwójkę pracowników rolnych, których pamiętała z baru, chociaż nie przychodzili już do niej od lat. Ranczera, z którym co jakiś czas jej ojciec pędził krowy. Wielu znała z imienia, a jeszcze więcej z widzenia. Były tam osoby, które mogłaby pozdrowić, mijając je popołudniem na drodze, jak każdego. Z trudem to do niej docierało. Drew miał rację. Bramy Edenu były wszędzie. Kościół był niczym wirus atakujący wszystkich, którzy się z nim zetknęli, i przenoszący się na kolejne osoby, dopóki ktoś nie spreparuje leku. Spojrzała przed siebie, na czekającego na nich Johna.

– Co teraz zamierzasz!?! – zawołał do niej.

Nie zrobił żadnego ruchu, tylko po prostu tam stał i przyglądał się idącemu w jego stronę rodzeństwu. Mary May popchnęła Drew. Nerwy miała napięte jak postronki, które groziły tragicznym nadwyrężeniem od głębszego oddechu.

– Zamierzam stąd odejść z bratem – odparła, nie przystając, ale też z każdym krokiem czując, jak krąg wokół nich się zacieśnia.

W końcu musiała stanąć, w otaczającym ich kordonie nie było przerwy. Sądziła, że w jakiś sposób znajdzie sobie miejsce, że po prostu skinie rewolwerem, a oni się rozstąpią i ich przepuszczą. Teraz jednak stanęła i czuła na sobie spojrzenia ich wszystkich. Obróciła się z bronią w rękę, trzymając lufę nisko, i spojrzała po kolei każdemu w oczy.

– Znacie mnie – powiedziała. – Część z was znała moich rodziców. Moją rodzinę. Musicie dostrzegać, że to nie w porządku.

Nikt nie odezwał się do niej ani słowem. Zakręciła się wokół własnej osi, tym razem nieco unosząc lufę rewolweru. Twarze otaczających ją ludzi były niewzruszone, zimne jak kamień i równie bezwzględne.

– Ostrożnie – odezwał się John. – Nie jesteśmy zabójcami, za jakich nas bierzesz. Jesteśmy rolnikami, sklepikarzami, drwalami, młynarzami, kierowcami, matkami, ojcami, braćmi i siostrami. Jesteśmy tacy jak ty. Wszyscy. Nie jesteśmy mordercami, za jakich nas masz, więc nie wymachuj tak tym rewolwerem. Możesz kogoś sprowokować do zrobienia czegoś, czego by wolał uniknąć. I co by wtedy było?

Ścisnęła ramię Drew i trzymała broń na wpół uniesioną.

– Jak nas znaleźliście? – zapytała.

– Znalezienie was sugerowałoby, że byliście kiedykolwiek zaginieni – odparł John.

Rozejrzał się po otaczających ją ludziach. Odcięli ją już od domu. Wszyscy byli uzbrojeni – w kije baseballowe, maczety, strzelby i karabiny automatyczne. Nie przypominali rolników, drwali ani innych pracujących osób, które Mary May kiedykolwiek spotkała.

– Nasi ludzie zawsze wszystko obserwują – ciągnął dalej John. – Pochodzą z wielu różnych środowisk. Nasza wiara nas jednoczy, a lojalność wobec wszystkich pozostałych jest niezachwiana. Jeśli ktoś nas napada, odpowiadamy tym samym.

Mary May zatoczyła jeszcze jedno koło. Nie mogła im ufać; nie mogła się pozbyć nerwowego uczucia, które wspinało się po jej plecach niczym pająk.

– Nigdy na was nie napadłam – powiedziała. – To wy napadliście na mnie.

– Pokazaliśmy ci drogę do Bram Edenu. Okazaliśmy ci tę samą gościnność, jaką okazujemy każdemu, kto do nas przybywa. Myślisz, że

jesteś inna, ale to nieprawda.

John rozejrzał się po zebranych, spoglądając każdemu w twarz, tak jakby szukał konkretnej osoby.

– Gdzie jest Will? – zapytał. – Zakładam, że gdzieś tam czeka, zapewne właśnie umieszcza na mnie celownik swojej lunety.

John popatrzył na dom, a potem obrócił się i jego wzrok powędrował w stronę ogrodzenia, ku odległemu sosnowemu zagajnikowi. Cały czas błądził wzrokiem w poszukiwaniu myśliwego.

– Sądziłaś pewnie, że przybyliśmy po ciebie, prawda? Ale ty już zostałaś zaznaczona, Mary May. Zostałaś już obdarzona błogosławieństwem atramentu na piersi. Teraz musisz tylko to zaakceptować. – John przeniósł wzrok z powrotem na nią. – Nie przybyliśmy po ciebie, Mary May. Lecz po Willa. Złamał więź wiary. Odwrócił się do nas plecami. Do swoich braci i sióstr, i do Ojca. Nie jesteśmy tu z twojego powodu, Mary May, lecz przez niego.

John skinął na dwie grupy składające się z trzech osób i wyznaczeni odłączyli się od kordonu. Jedna trójka weszła do domu, a druga zaczęła przeszukiwać okolicę, trzymając się trawnika i opadającego zbocza.

– Lojalność jest dla nas bardzo ważna – dodał John. – Wydaje mi się, że zaznaczyłem to dość jasno. Żyjemy wedle konkretnych zasad, słuchamy, uczymy się i poważnie traktujemy naszą wiarę w Ojca, a każdy z nas, kto występuje przeciwko tej wierze i jego naukom, przekona się, że nie zapominamy i nie przebaczymy.

\*\*\*

Will wprowadził nabój do komory. Leżał na nagiej skale z widokiem na grupę zebraną przed wejściem. Myślał o zobaczonych uprzednio ścianach pokrytych skrawkami wytatuowanej skóry i teraz już wiedział. Wielu rozpoznawał, ale innych nie znał. Byli zewsząd, z tego hrabstwa i z różnych innych miejsc. Bramy Edenu były wszędzie, niczym choroba wyczekująca



w uśpieniu na polecenie, by zaatakować każdą iskrę życia, wysać krew z żył i tlen z płuc.

Był wciąż lekko zmęczony wspinaczką. Pokonywał skalną ścianę z plecakiem na ramionach najszybciej i najciszej, jak to tylko było możliwe, a Jerome podążał za nim. Obaj wiedzieli, że każdy błąd oznacza upadek z wysokości, a każdy strącony kamyczek przyciągnie uwagę ludzi znajdujących się poniżej. A wtedy... obaj pewnie wybraliby upadek.

Teraz myśliwy leżał na szczycie urwiska i starał się uspokoić oddech, spoglądając przez lunetę na zgromadzonych w dole. Widział Mary May. Widział Drew przed nią, a jakieś dziesięć stóp dalej widział też Johna. Z tej odległości trafić było łatwo i chociaż Will nie miał pojęcia, o czym rozmawiali, trzymał palec tuż nad spustem już odbezpieczonej broni, gotowy oddać strzał przy najmniejszej oznace zagrożenia. Zamieszanie, jakie by wywołał, było w jego mniemaniu jedynym sposobem umożliwienia Mary May ucieczki. Ale mimo to wahał się. Nie mógł tak po prostu pociągnąć za spust. Robił to już nieraz, ale w każdym przypadku ze strachu albo w samoobronie. Teraz byłoby to zwykłe zabójstwo, a Will nie chciał być takim człowiekiem. Nie był tak zimnokrwistym łajdakiem i nie chciał nim zostać. Przesunął celownikiem lunety po kręgu ludzi i obserwował ich, śledził każdy ruch. W ich twarzach widział swoją i swoje niegdysiejsze pragnienia.

Trzy osoby weszły do domu, a po chwili trzy inne oderwały się od większej grupy. Will nie spuszczał ich z oka. Oddalali się od domu i zagłębiali w mrok. Samochód wciąż płonął przy bramie i rzucał dziwne cienie to w tę, to w drugą stronę, zależnie od wysokości i szerokości płomienia.

Will obserwował ich, a kiedy zniknęli wśród wysokich drzew, szybko wrócił do Johna i Mary May.

– Ta trójka, która poszła między drzewa, pewnie za kilka minut obejdzie nas z boku – rzucił przez ramię do Jerome'a. – Przygotuj strzelbę. Jeśli nas

znajdą, musimy uciekać. Wolę to od strzelaniny w tym miejscu, na szczycie urwiska.

\*\*\*

Mary May trzymała broń nieruchomo. Jedną rękę trzymała na ramieniu brata, ale cały czas patrzyła na Johna. Czuła nieuchronne zagrożenie.

– Mówisz, że nie jesteście zabójcami – powiedziała. – Ale mój ojciec pojechał na górę i nigdy nie wrócił. Zginął tam, usiłując zabrać Drew do domu, a teraz ja staram się zrobić to samo. Tego chciał tata i to właśnie zamierzam zrobić.

– Jak? – zapytał John. – Trzymasz brata przed sobą, jakby był twoim zakładnikiem. Związałaś mu ręce, jakby był twoim więźniem. Czy tak się postępuje z krewnymi? Zapytaj sama siebie. Zadaj sobie pytanie, dlaczego żadne z was, ty, Will czy Jerome, go nie oswobodziło.

Potoczyła spojrzeniem po zebranych. Czekali na nią, ale nikt nie unióśł broni. Wróciła wzrokiem do Johna.

– Jest jednym z was. Namieszaliście mu w głowie, Ojciec czy ktoś inny. Nie jest tym samym człowiekiem. Nie jest bratem, którego znałam, kiedy byliśmy mali.

– Nie – zgodził się John. – Jest kimś lepszym. Ma otwarty umysł. Ma otwarte oczy. Został odmieniony. Co do tego masz rację.

– Mówisz, jakby odwrócenie się plecami do rodziny było czymś dobrym.

John się roześmiał. Spojrzał na twarze zebranych, świadków tego, do czego zmierzała ta sytuacja. Cokolwiek miało się stać.

– Wciąż nie rozumiesz, prawda? Nigdy nie chodziło o Bramy Edenu. Nigdy nie chodziło o Kościół. Ojciec jedynie słucha. Wspiera. To coś, czego wasz własny ojciec nigdy nie robił. Wasz własny ojciec, a nawet cała wasza społeczność, już dawno odwrócił się do Drew plecami. A nasz Ojciec przybył tu i ujrzał, czym to miejsce może się stać. Nie mieliśmy nic

wspólnego z tym, co się działo między wami a waszym ojcem. Tu nie chodziło o Kościół, to nie z nim był problem. Problem leżał w rodzinie.

– Ale go zabiliście.

– Powitaliśmy Gary’ego. Wiedzieliśmy o jego żonie, twojej matce. Otworzyliśmy przed nim serca. Ale... – John urwał i uniósł ręce, jakby chciał objąć wszystkich zebranych – nie zabiliśmy go. Ojciec go nie zabił. Ja go nie zabiłem. W sprawie, z jaką wasz ojciec przybył do Drew, nie mieliśmy niczego do powiedzenia. Tylko twój brat mógł mu odpowiedzieć i jego odpowiedź brzmiała „nie”.

Poczuła, jak mimowolnie zwalnia uścisk na ramieniu brata. Podskórnie już to wiedziała, ale to nie była wiedza świadoma, to było jak okropny wypadek widziany w jasnym świetle dnia, które potem w pamięci wydaje się ciemnością nocy. Tak umysł broni się przed odtworzeniem drastycznych scen. Niewidzianych, niechcianych, odpychanych.

Drew odwrócił się do niej twarzą z oczami tak zimnymi, jakich jeszcze nigdy u niego nie widziała. Twardymi i nieczułymi niczym dwie szklane kulki osadzone w oczodołach.

– To ciebie ojciec uczynił silną, dumną – powiedział. – Dał ci wszystko, jakby wszystko należało się tylko tobie, a nie nam obojgu. Kiedy byliśmy dziećmi, kiedy byliśmy nastolatkami, kiedy razem weszliśmy w dorosłość, zawsze dawał coś tobie, zanim o mnie w ogóle pomyślał. Dał ci bar, siebie i mamę. I chociaż w domu było dla mnie miejsce, nigdy tak naprawdę nie należało do mnie.

Pokręciła głową. Nie mogła uwierzyć w to, co słyszała, że ich wspomnienia wspólnego życia mogą tak bardzo się różnić.

– Nie – zaprotestowała. – Byłam po prostu starsza.

– Starsza. Mądrzejsza. Zabawniejsza. Silniejsza. Niczym, co zrobiłem, nie mogłem ci dorównać. Wszystkie moje starania w szkole średniej; wszystko, co robiłem potem. Nigdy nie było dość dobre.

– Nie – zaoponowała ponownie. – To nieprawda.

– Prawda jest taka – ciągnął dalej Drew – że nigdy mnie nie słuchali. Nigdy nie próbowali mnie zrozumieć. Nigdy mnie nie chcieli. Wiesz, jakie to uczucie? Mieszkać w domu, żyć w rodzinie, która cię nie chce? – Roześmiał się, a kiedy zamilkł, tylko na krótko zaległa cisza. – Oczywiście, że nie – dodał po chwili.

– Kochali cię – powiedziała i była to jedyna rzecz, która jej przychodziła na myśl.

Taka była prawda i on musiał ją usłyszeć. Ledwie mogła na niego patrzeć. Zdecydowanie nie podobało jej się to, co widziała; jak urósł, tak jakby samo mówienie o śmierci ojca dało mu nowe życie, jednocześnie odbierając je jej, bo kurczyła się i zwijała w sobie.

– Tata cię kochał – powtórzyła, pragnąc rozpaczliwie, by to usłyszał.

– Nie. John ma rację. Tata nigdy mnie nie słuchał. Nigdy mnie nie rozumiał. Ale za to zrozumiał mnie Ojciec. Bramy Edenu mnie rozumiały. Kiedy mnie naznaczyli, kiedy mnie ochrzcili, dali mi nowe życie. Dzięki nim narodziłem się tak, jak powinienem się narodzić; w rodzinie, którą powinienem być mieć.

Obrócił się, spojrzął na otaczających ich członków sekty, po czym skierował wzrok ponownie na siostrę.

– Dostałem nowe życie i kiedy tato przyjechał po mnie, nie chciałem mieć niczego wspólnego z moim starym życiem i to właśnie mu powiedziałem. Ale on zachowywał się tak, jakby nic się nie zmieniło. Między nami dalej było po staremu. Nie słuchał mnie. Twierdził, że to on ma tu rację, że ja się mylę. Złapał mnie, ale nie byłem już małym chłopcem, za którego mnie miał. Dojrzałem. Mój umysł dojrzał. I nie miał już nade mną tej władzy, którą kiedyś się cieszył.

– Ale to był wypadek samochodowy... – zaprotestowała słabym głosem, nie wiedząc, co innego mogłaby powiedzieć, nie chcąc słuchać tego, co mówił jej własny brat.

Drew spojrzął na nią, jakby była nic niewarta. Jakby była głupia.

– Wiesz, że to nieprawda – powiedział. – Sama to powiedziałaś. Tylko nie dotarło to do ciebie. Nie potrafisz pojąć, jak sprawy się miały między nami. – Wypowiadając te słowa, uniósł dłonie związane trytytkami w nadgarstkach, rozpostarł palce i napiął mięśnie. – Wyobraź sobie, że tata przychodzi do mnie i próbuje mnie wyrwać z życia, jakie sobie urządziłem. Wyobraź sobie jego ręce na mnie, usiłujące mnie zaciągnąć do samochodu. I wyobraź sobie, że w końcu to ja byłem silniejszy i szybszy, niż on kiedykolwiek był. Wyobraź sobie to, a zrozumiesz, że to nie był wypadek. Że zmusił mnie do tego i zapłacił za wszystkie krzywdy, które mi wyrządził. – Nachylił się do niej; był naprawdę blisko. – Zabicie go było proste. Jak wbicie noża w coś, co już nie żyje.

Strzeliła z wysokości talii. Kula weszła w Drew pod brodą i wyszła zaraz za linią włosów, z potylicy. Przyglądała się, jak jego ciało wiotczeje, a potem pada na bok. Czowała się, jakby jej już tam nie było. Ta noc nie istniała. Ci ludzie. Ciśnienie, które w niej wzbierało z każdym kolejnym jego słowem – wszystko nagle z niej uszło. Wszystko przestało istnieć w tej sekundzie, kiedy przyglądała się jego upadkowi.

Zaszlochała. Upuściła broń i opadła na ziemię, usiłując przyciągnąć do siebie jego ciało. Czowała jego ciężar, ale też świadomość tego, co uczyniła, na co pozwoliła. Próbowwała sobie powiedzieć, że to on to zrobił. Ale wiedziała, że to nieprawda. Wiedziała, że to ona pociągnęła za spust; ona, nikt inny.

Rozejrzała się wkoło. Wszyscy wpatrywali się w nią. Uniosła na nich wzrok i odniosła wrażenie, że nieco się cofnęli, odsunęli od niej. Wkrótce usłyszała szelest ich ruchów. Trzymała swojego brata w objęciach. Usiłowała podtrzymać mu głowę, utrzymać go w pionie. Ale niewiele już mogła dla niego zrobić. W końcu go zastrzeliła, prawda? Ale nie czuła tego. Nie czuła, że to za jej sprawą. Wszystko powoli się zmieniało. Gniew, wściekłość, czysta niczym błyskawica podczas burzy odruchowość jej działania – wszystko to było tak naturalne jak nic innego dotąd w jej życiu.

– To ciebie ojciec uczynił silną – powiedział John.

Mężczyzna stał w tym samym miejscu, co wcześniej, a teraz pozostali przechodzili obok. Mijali go i jeden po drugim i schodzili w dół zbocza.

– Naznaczyłem cię grzechem zazdrości, ale teraz widzę, że to nie była ani pycha, w którą mogła się przerodzić duma ze strony ojca, ani zazdrość, którą w tobie dostrzegłem. Teraz widzę, że powinienem był wyryć na tobie gniew i że kiedyś, kiedy nadejdzie dla ciebie czas, kiedy się z tym pogodzisz, będę na ciebie czekał.

Spojrzała na niego. Był plamą w rozmazanym przez łzy płynące po jej twarzy świetle.

– Nie przyszedłeś tu po Willa – stwierdziła. – Przyszedłeś, żeby mi powiedzieć o moim bracie. Chciałeś zobaczyć, co zrobię. To nie ja pociągnęłam za ten spust, lecz ty.

Usiłowała walczyć z płaczem. W następstwie ostatnich wydarzeń prawie niczego już nie widziała.

– Kiedy Drew zabił swojego ojca, postąpił wbrew nam. Nie mogliśmy mu zapomnieć ani przebaczyć tego grzechu, gdyż powiedział nam, że wyzbył się już zazdrości, a my naiwnie uwierzyliśmy, że podąża już prawdziwą drogą, którą wytyczył mu Ojciec.

Zamrugła. Starła się zrozumieć, co się właściwie dzieje. Z jakiegoś powodu jej brat nie żył. Z jakiegoś powodu leżał w jej objęciach, a nad nimi stał John, który jej oznajmiał, że jej brat sam to sobie zrobił, że zasłużył sobie na wszystko, co go spotkało.

– Ty mu to zrobiłeś, ty – powtórzyła. – To ty i Ojciec go zabiliście.

John stał w milczeniu. Przyjrzał się jej dokładnie, jakby była jego tworem, który właśnie ożył.

– Stałaś się dumna, dzięki ojcu. Sprawiał, byś sądziła, że nie można cię tknąć, że cokolwiek zrobisz, będziesz miała rację. Ale tak nie było. Przybyliśmy tu jako świadkowie. – John wskazał jej członków Kościoła, którzy tu z nim przyszli, a teraz schodzili ze wzgórza. – Przybyliśmy jako świadkowie tego, co zrobiłaś swemu bratu; co wyrzuciła mu twoja rodzina.

To nie my ponosimy winę. Tylko ty. I będziemy ci to pamiętać po kres czasu. Będziemy cię dzięki temu kontrolować. Musisz to koniecznie zrozumieć, Mary May. Nigdy nie miałaś racji i teraz stałaś się personifikacją grzechu, którego w tobie nie dostrzegałem. Stałaś się gniewem i zawsze będę cię pamiętał, i będę gotowy ci pomóc, bo ja również się myliłem. Myliłem się co do ciebie, Mary May. Jesteś gniewem, a ja będę tym, który kiedyś odbierze ci ten grzech.

\*\*\*

Will nie mógł w to uwierzyć. Widziany przez lunetę świat zawsze był nieco inny, przypominał mu niemą pantomimę. Z tej odległości postacie były niemowami, widział tylko ruchy stanowiące odzwierciedlenie prawdziwego świata, ale w jakiś sposób do niego nienależące. Wszystko urealnił huk wystrzału.

Kula przedarła się przez zasłonę odległości, jakby przebijała szkło oddzielające jedno miejsce od drugiego. Myśliwy przyglądał się, jak Drew upada. Jak Mary May przy nim klęka, a stojący nad nią John przemawia do niej, ale nie słyszał słów.

Oderwał oko od okularu, zamrugnął i otarł pot.

Cały czas pilnował Mary May i Johna. Wszyscy członkowie Bram Edenu teraz schodzili ze wzgórza, tak jakby od początku chodziło o śmierć Drew. Tak jakby właśnie w tym celu tu przyszli. Teraz, spełniwszy swój obowiązek jako świadków tego wszystkiego, po kolei mijali Johna.

– Czy to ona? – zapytał stojący nad nim Jerome. Ze strzelbą i w kamizelce kuloodpornej wyglądał jak zstępujący na ziemię uzbrojony Boży anioł.

– Chyba tak – odparł traper. – Chyba go zastrzeliła. Chyba zabiła brata i mam wrażenie, że wiem dlaczego.

– Co to wszystko znaczy? – zapytał Jerome. – Co to znaczy dla Mary May albo dla Bram Edenu?

Will ponownie wytarł palcem skórę pod okiem. Czuł lepka wilgoć potu. Jego myśli pędziły w stu różnych kierunkach. Kiedy ponownie spojrzął przez lunetę, zobaczył Johna wypowiadającego jakieś ostatnie słowa, a następnie odwracającego się i odchodzącego w ślad za swoimi ludźmi. Tył jego głowy zlewał się ze wszystkimi pozostałymi głowami, tak jakby oni byli nim i odwrotnie.

– To znaczy, że mają w garści tajemnicę, którą mogą ją szantażować, i ani ty, ani ja, ani nawet Mary May nie możemy nic z tym zrobić. Im szybciej sobie z tego zdamy sprawę, tym lepiej.

– Nie mogę się na coś takiego zgodzić – stwierdził stanowczo Jerome. – Każdemu można jakoś pomóc. Tak tobie, jak mnie albo Mary May.

Will już na to nie odpowiedział. Zrobił się straszny bałagan. Wszystko teraz było cholernie popieprzone i nie widział z tego ambarasu żadnego wyjścia. Ale wiedział, że będą próbowali je znaleźć.



# V

**Nikt nie wierzy w nadejście śmierci aż do chwili wyzionęcia ducha. A większość nawet wtedy nie przyjmuje jej do wiadomości.**

Ojciec, Bramy Edenu, hrabstwo Hope, stan Montana

Will czuł się mniej więcej tak samo jak wtedy, kiedy wrócił z wojny – jakby niczego nie osiągnął. Ale teraz pomyślał, że może osiągnięciem nie było wygranie wojny, ale jej przetrwanie. Chodziło o powrót na własnych nogach z miejsca, z którego tak niewielu zdołało w ogóle wrócić. To było prawdziwym dokonaniem i to właśnie pchało go teraz naprzód, kiedy szedł skrajem lasu w stronę rozległej łąki i miejsca, które przez ostatnie dwanaście lat uważał za swój dom; chatki na wzgórzu otrzymanej od Bram Edenu.

Czekała tam na niego Holly z trójką mężczyzn z Kościoła. Na ile Will potrafił ocenić, czekali tak już od kilku dni. Obserwował ich z cieni. Przyglądał się im, jak nocą wynoszą meble i je palą; kawałki drewna, materac, na którym spał, ubrania, jedyne w domu krzesło i stół. Holly często podchodziła na skraj wzgórza, gdzie nie tak dawno temu stał i obserwował niedźwiedzia. Ale kobieta nie wypatrywała tak jak on wówczas wielkiego zwierzęcia, lecz jego samego, tak jakby teraz to on był zagrożeniem, nie grizzly – jakby w rozległej dziczy niósł niebezpieczeństwo, zagubiony, szukający kolejnej ofiary.

Ale Will nie miał już z tym nic wspólnego. Przetrwał. Wrócił, ale teraz już widział, że to nie był jego dom, a w każdym razie nie taki, jakim był kiedyś. Nic w hrabstwie Hope nie było już takie jak kiedyś.

Ale Will się nie śpieszył, zachowywał ostrożność. Obserwował tę grupkę całą noc, a potem jeszcze w dzień. Czekał w lesie, kiedy mężczyźni poszli za potrzebą. Był na tyle blisko nich, że słyszał ich westchnienia ulgi oraz odgłos moczu uderzającego o ziemię. Obserwował ich też, kiedy poszli po wodę i po chwili wrócili z chlupoczącymi wiadrami; tymi samymi, których Will używał przez tyle lat. Obserwował ich, jak jedzą jego żywność, plądrują zapasy i zasadniczo czują się jak u siebie.

Kiedy następnego dnia odszedł, wszystkie te obserwacje niczego nie

zmieniły w jego postrzeganiu. To już nie był jego dom. Zrozumiał, że tak właśnie jest już od dłuższego czasu. Przez ćwierć dnia szedł wzdłuż rzeki. Często się zatrzymywał, żeby zlustrować drugi brzeg. Nie wiedział, czego szuka, ale był przekonany, że będzie się czuł dobrze wszędzie, dokąd się uda. W razie czego będzie mógł żyć z tego, co da mu przyroda. Może wrócić do dawnych zwyczajów. Może wykorzystać wiedzę, która była przekazywana w jego rodzinie z pokolenia na pokolenie. Miał sidła i pułapki. Miał naboje i karabin. Miał ubrania. A wszystko, czego akurat nie miał, może sam wykonać lub znaleźć w dziczy.

Zamierzał zapuścić się głęboko. Wrócić do lasu, w doliny i do skalnych fortec gór, i tam urządzić sobie dom: wśród drzew i urwisk. Wrócił myślami do wszystkiego, co próbował zrobić. Za co zapłacił swoją cenę. Może Bramy Edenu i Ojciec mieli od początku rację co do niego, co do jego grzechu. Co do demona, który w nim mieszkał i który nie pozwoli mu zapomnieć jego postępków zarówno względem wrogów, jak i tych, których kochał. Sądził, że udzielenie pomocy Mary May przyniesie mu ukojenie. Zachodził teraz w głowę, czy słusznie zakładał. Nie miał pewności.

Rozmyślał o wszystkim, co jeszcze pozostało do zrobienia. Póki co nie poznał odpowiedzi na żadne z pytań krążących mu po głowie. Szedł cały czas w górę rzeki, na północ, czasem wykorzystując płycizny, by posuwać się wzdłuż koryta. Wszędzie wokół wyrastały coraz wyższe grzbiety skalne, a jego nie odstępowało uczucie, że to niewidzialne istoty go otaczają, że poruszają się w cieniach i pokonywanych gęstwinach, że idą wraz z nim wzdłuż wysokich formacji skalnych, które często odcinały dolinę od blasku słońca.

To wrażenie nie dawało mu spokoju i często przystawał w pół kroku, czasem w pół drogi po kamieniach wystających z nurtu rzeki, odwracał się i spoglądał wstecz na pokonaną drogę, usiłując wychwycić jakikolwiek dźwięk, który nie był szmerem wody ani poszumem wiatru. Rozmyślał o Bramach Edenu. O tych, którzy na niego czekali. O duchach, które za nim

podążały, i o tym, czego od niego chciały.

W pewnym sensie Will uratował Mary May, ale nie na taki ratunek oboje mieli nadzieję. Takiego wyjścia nawet żadne z nich się nie spodziewało. Zszedł z urwiska z Jerome'em. Kiedy dotarli do dziewczyny, ona wciąż trzymała swojego martwego już brata. Wtedy Willa tknęło, czy może Drew w chwili śmierci okazał się choć na chwilę innym człowiekiem niż za życia, czy obaj – Drew za życia i Drew martwy – kiedykolwiek mogli być jedną osobą. A tego przecież rozpaczliwie pragnęła Mary May.

Wiedział, co to za uczucie się za nim snuło. Wiedział, że tego, co podążało za nim między drzewami i w górę rzeki, nie można było dotknąć ani objąć. To duchy ukochanych osób, które zostawił za sobą. To upiory poczucia winy i nadziei, wspomnień z dawnego życia, które – jak zaczynał podejrzewać – wcale nie musiało stać się jego życiem. Znał to uczucie, a Mary May właśnie je poznawała. Wiedział, że człowiek mityzuje i przekształca przeszłość na obraz tego, co chciałby zobaczyć, będąc już w przyszłości. Nie mógł jej za to winić. Ludzie robili to od tysiącleci. Nadzieja na wniesienie różnicy w wizji własnej historii ani pragnienie jej wdrożenia nie były niczym nowym dla ludzkości. Tak samo jak zaprzeczanie przeszłości i zwracanie się ku przyszłości.

Kiedy dotarł do niewielkiej, bo długiej na jakieś ćwierć mili polany, porośniętej brzozaami i gęstą roślinnością górską, przystanął i odstawił plecak na ziemię. Wziął manierkę, podszedł na brzeg rzeki, zanurzył naczynie w wodzie i przyglądał się, jak w powolnym nurcie unoszą się bąble powietrza, po czym nabrał kilka solidnych łyków. Woda wyciekała mu kącikami ust i spływała między poskręcanyimi włosami na brodzie. Zdał sobie nagle sprawę, że jest na wpół dziki, że taki właśnie był, zanim to wszystko się zaczęło, zanim Lonny przyszedł do niego i zapytał o niedźwiedzia.

Z domu, który kiedyś dzielił z żoną i córką, zabrał do plecaka trochę zapasów. Wyjął puszkę groszku i zdał wieczko otwieraczem, który wziął

z kuchni. Wszedł do środka tylko na chwilę, wypełnił komorę bagażu tym, co się do niej zmieściło, po czym odszedł bez słowa, bez pożegnania z samym budynkiem czy gnieźdzącymi się tam wspomnieniami. Wiedział, że one nigdy na dobrą sprawę nie odeszły. Pomyślał sobie, że Mary May kiedyś też wyciągnie podobną lekcję z własnych doświadczeń.

Słońce stało wysoko na niebie, a on siedział oparty o plecak i z kapeluszem zsuniętym nieco na oczy. Wkładał palec do puszeki i wyjmował po jednym groszku. Tak upływał mu posiłek, w czasie którego nie spuszczał wzroku z cieni pod drzewami, z koryta wyciętego przez wodę wśród wyrastających po obu stronach skał i z rosnącego wszędzie wokół lasu. Było tam coś, żadne wspomnienie ani duch, co obserwowało go spomiędzy pni, między którymi przechodził ledwie kilka minut temu.

Powoli odstawił puszkę i chwycił karabin, cały czas wpatrując się w zarośla. Spodziewał się dostrzec tam to coś, co go prześladowało. Obserwował ruch gałęzi: były odciągane, jakby coś je trzymało. Teraz już wstał i przysunął się bliżej, ostrożnie stawiając stopy. Był gotowy uciekać, jeśli zajdzie taka potrzeba, albo strzelać, albo... po prostu gotowy na to, co tam czekało, czymkolwiek było.

Zobaczył brązową plamę, to była tylko chwila. Krzew ponownie się poruszył i wtedy ujrzał futro. To był grizzly. Will nie potrafił ocenić jego wysokości ani wielkości. Wiedział tylko, że nie jest sam. Wspomnił wielkiego niedźwiedzia, którego widział wtedy podczas burzy. Którego potem, kilka dni później, zobaczył na drugim brzegu rzeki. Tamten osobnik zwyczajnie zniknął, wrócił tam, gdzie wcześniej żerował. Ale Will wiedział, że nie zniknął na dobre, że nic tak naprawdę nie znika na stałe; że cokolwiek odchodzi, duch albo wspomnienie, nigdy nie przemija.

Krzew ponownie się poruszył. Teraz już słyszał dyszenie, pracę potężnych płuc i pęd powietrza. Gdzieś między drzewami trzasnęła gałąź i Will niemal podskoczył. Obrócił się nieco, wciąż ściskając w rękach karabin. Nie wiedział, co tam się kryje. Wiele już razy w swoim życiu

zabijał. Ofiary były i z gatunku tych dwunożnych, i tych czteronożnych; i nawet wtedy, zadając śmierć, wiedział, że kiedyś zapłaci za to cenę. Był grzesznikiem. Odbierał i odbierał, i chociaż próbował też dawać, zawsze miał poczucie, że daje za mało.

Pomyślał o swojej rodzinie leżącej na cmentarzu w Fall's End, o Mary May i Jeromie, o całym hrabstwie Hope. Wiedział, że wszystko to, co się wydarzyło, było zaledwie początkiem. Wiedział, że cokolwiek tam na niego czekało w ciemności – czy był to grizzly, czy też coś innego – cały czas tam było i będzie wyczekiwało tak długo, jak długo będzie odwracał wzrok.

Zrobił jeden krok, potem następny. Wyciągnął rękę przed siebie i odciągnął gałąź na bok. Za krzakiem czekała ciemność. Wymykająca się poznaniu pustka, która teraz kusila go, by w nią wszedł i przekonał się, co podąża za nim od wielu godzin, od wielu dni, a może nawet przez wszystkie lata jego życia.

\*\*\*

Teraz przed kościołem był też grób Drew. Co pewien czas Mary May przychodziła tam i stawiała nad trzema nagrobkami w różnych odcieniach zieleni rosnącej na każdym z nich. Grób jej matki był najstarszy, potem ojca, a następnie brata. Ziemia była w takim samym kolorze. Pracowali z Jerome'em przez całą noc, by wykopać grób głęboki na sześć stóp.

Wszyscy w miasteczku wiedzieli, co oni robią, i nikt nie zatrzymał się, żeby cokolwiek powiedzieć, nikt nie przystanął, nikt nawet nie wyraził zdziwienia, że tak szybko pojawiła się kolejna dziura w ziemi, w której pogrzebano kolejne ciało.

Tylko szeryf tu zaszedł i spojrział w wykopany grób. Stał na jego skraju, odchylił palcem rondo kapelusza i zerknął w dół.

– Czyli, jak rozumiem, znalazłaś brata – powiedział, unosząc wzrok na Mary May.

– Owszem.

Dziewczyna siedziała w cieniu, obok Jerome'a. Pracowali całą noc i kawałek ranka. Słońce nie zdążyło jeszcze całkowicie wyłonić się zza dachu kościoła, w związku z czym połowę cmentarza spowijał półmrok.

– Jak umarł?

– Serce nie wytrzymało.

– Naprawdę? – zapytał szeryf.

– Naprawdę.

– Gdzie trzymacie ciało?

– W biurze koronera, tak jak wcześniej ciała mamy i taty.

Przyglądał się jej badawczo, potem dwóm grobom i ponownie przeniósł wzrok na nią.

– Jeśli tam pójde i zapytam, co się mu przydarzyło, powiedzą mi, że serce nie wytrzymało?

– Nie widzę powodu, dlaczego nie mieliby tak powiedzieć – odparła. – Kiedy tata tam leżał, koroner podał przyczynę zgonu bez mrugnienia okiem. Wypadek, jeśli dobrze pamiętam.

– Tak to chyba wtedy nazywali.

– Zmienili zdanie?

– Nie, nic mi o tym nie wiadomo. Ale trudno jest ignorować okoliczności.

– A jakież to były okoliczności?

– Trzy zgony w tej samej rodzinie w niecałe trzy tygodnie. Naprawdę trudno przejść nad czymś takim do porządku dziennego.

Mary May podniosła na niego wzrok.

– Sam pan to powiedział, szeryfie.

– Wiem – odparł, pokręcił głową i ponownie spojrzął na wykopany grób. – Myślisz, że jeśli tam pójde i zapytam koronera, co się stało, odpowie mi szczerze?

– Czy koroner nadal ma brodę? – zapytała Mary May.

– Kiedy ostatnio go widziałem, to miał.

– No tak – stwierdziła. – Na pewno odpowie równie szczerze jak po śmierci taty.

Szeryf obrócił się i spojrzał na Jerome’a spoczywającego na mizernym trawniku obok Mary May. Jerome nie miał na szyi koloratki, siedział zlany potem, z rozpiętymi górnymi guzikami koszuli i zakasany za łokcie rękawami.

– Co pastor powie o tym wszystkim? – zapytał szeryf.

– Nie wolno nie doceniać potęgi wiary – odparł Jerome.

\*\*\*

Wytarła szklanekę i odstawiła ją z powrotem na bar, po czym sięgnęła po następną. Zajmowała się tym od pięciu minut, kiedy pod budynek przyjechała duża półciągarówka z czwórką mężczyzn w środku i przyczepą do przewożenia koni. Chwilę potem usłyszała jęk hamulców, a po oknach baru rozlał się przyćmiony blask świateł stopu.

Pod kontuarem trzymała kij baseballowy. Sięgnęła teraz po niego i postawiła przy nodze z uchwytem opartym o bar. Światła stopu zgasły i usłyszała zgrzyt otwieranych drzwi, a potem trzask ich zamykania. Zajęła się z powrotem czyszczeniem szklanek i obserwowała szczupłą sylwetkę przesuwaną się za przyciemnionymi szybami, po czym otwierając drzwi wejściowe.

– Cześć – powitała przybysza.

– Otwarte? – zapytał młody pasterz.

Widziała na jego policzku siniaki, ale już blakły i nie przeszkadzały mu się uśmiechnąć.

– Jeszcze pół godziny.

Młodzieniec stanął w miejscu i rozglądał się po wnętrzu, po czym podszedł do baru i usiadł na stołku, tak jakby był tu już z tysiąc razy.

– Wygląda na to, że znalazłaś brata.

– Znalazłam.



– I był taki sam, jakim go zapamiętałaś?

– Był moim bratem, ale nie był taki sam.

– Przykro mi to słyszeć – rzekł i rozejrzał się po barze; spojrzał na krzesła położone na stołach, po czym przeniósł wzrok z powrotem na nią. – Pomogę ci.

– Pomożesz mi?

– Ta, mogę pozdejmować krzesła. Ile miałaś lat, kiedy zaczęłaś tu pracować?

– A ile ty masz lat?

– Piętnaście.

– Nie byłam wiele starsza. Bar należał do moich rodziców.

Chłopak odszedł od baru i zaczął zdejmować po kolei krzesła.

– Zatem masz to we krwi? – zapytał.

– Aha.

– I nie zostawisz tego?

– Nie.

Cały czas go obserwowała. Zdjął trzecie krzesło i kiedy postawił je na podłodze, kazała mu na nim usiąść, po czym nalała mu szklanekę wody i postawiła przed nim na stole.

– Dorastałam tu, w tym barze. – Uśmiechnęła się do niego. – Pierwszy pocałunek miałam na zapleczu, z jakimś głupim kowbojem. Nie byłam wtedy wiele starsza od ciebie. Mój ojciec prawie nas nakrył. Szlag, kochał to miejsce. Kochał je tak bardzo, że nie zauważył, że co prawda, bar się nie zmienia, ale świat dokoła już tak. Ja to teraz widzę. Wyraźniej, niż on kiedykolwiek widział.

– Czyli jeszcze cię nie odstraszyli?

– Nie – odparła. – Nie boję się ich. Zabrali mi mamę, brata. Tata zrobił, co mógł, ale to nie wystarczyło.

– Tylko ty teraz zostałaś, co nie?

– Nie jestem sama. Są inni, tacy jak ja, którzy widzą, że świat się

zmienia, i chcą coś zrobić z zastaną tu sytuacją.

– I masz zamiar coś z tym zrobić... tutaj?

– Nie znam lepszego miejsca.

Patrzyła na niego, a on lustrował ją wzrokiem. Po chwili wstał z krzesła i zrozumiała, że szykuje się do wyjścia.

– Powiem reszcie o tym miejscu, kiedy dotrzemy do celu. Powiem im o tobie.

– A dokąd jedziecie?

– Gdziekolwiek, byle nie zostać tutaj – odparł chłopak. – Nie jesteśmy wybredni. Mój ojciec zabiera stąd mnie i paru innych. Znajdę kogoś, kogo zainteresuje moja historia.

– I sądzisz, że to coś zmieni?

Chłopak pokręcił głową.

– Nie wiem. Wszystko to, co widzieliśmy tam, na górze, mocno mnie zmieniło. – Spojrzał w bok, w stronę czekającego na niego samochodu. – Dlatego właśnie tu wróciłaś, prawda? Starasz się coś zmienić. Chyba każde z nas musi się starać na swój sposób, hmm?

– Tak – odparła. – Właśnie tak.

## Podziękowania

Ta powieść nie zaistniałaby bez fanów, dzięki którym seria gier *Far Cry* odniosła tak wielki sukces. Dziękuję Wam za wiarę w te światy, w te opowieści i w postaci, dzięki którym to wszystko jest ludzkie.

Dla mnie gry wideo stanowiły zawsze ucieczkę od prawdziwego świata, ale gdy producenci dokonywali kolejnych przełomów, granie coraz mniej przypominało ucieczkę, bo świat gry zaczął zlewać się z tym prawdziwym. W ten sposób gry stały się dla mnie już nie ucieczką, ale czymś znacznie potężniejszym i cenniejszym. Czymś, co wymagało od gracza nie tylko chęci zanurzenia się w zbudowane światy, ale też świadomości i zrozumienia tego, co to znaczy być człowiekiem, umiejętności patrzenia na człowieczeństwo z różnych stron, wczuwania się w postaci o różnych punktach widzenia i rozumienia ich wszystkich. Mówiąc krótko, pod wieloma względami uniwersum gry wideo stało się podobne do innego świata, w którym dawno temu znalazłem zbawienie – świata powieści.

Chciałbym podziękować firmie Ubisoft za stworzenie wielu spośród najlepszych gier wideo, jakie kiedykolwiek powstały, a także za dalsze rozwijanie uniwersum wraz z każdą nową odsłoną gry, każdą nową premierą. Pragnę też podziękować moim współpracownikom z Ubisoftu – Caroline Lamache, Anthony'emu Marcantoniemu i Victorii Linel – za lekturę moich wcześniejszych książek i propozycję napisania tej. Od lat o czymś takim marzyłem. Dziękuję Wam za urzeczywistnianie tego marzenia.

Dziękuję też ludziom z Ubisoft Montreal, innowatorom i pionierom tej branży, a zwłaszcza Danowi Hayowi, Davidowi Bedardowi, Jeanowi Sebastienowi Decantowi, Nelly Kong, Manuelowi Fleurantowi i Andrew

Holmesowi – za odpowiadanie na moje liczne pytania i wpuszczenia mnie za kulisy. Jestem niezmiennie pod ogromnym wrażeniem tego, ile pracy i wysiłku trzeba włożyć w stworzenie nie tylko kolejnej gry z serii *Far Cry*, ale całego uniwersum, w którym wszystkie odsłony się rozgrywają.

Lubię myśleć, że teraz, kiedy utrzymuję się z pisania już od ośmiu lat, jestem już starszy i mądrzejszy, ale prawda jest taka, że cały czas się uczę. I chociaż to moja czwarta powieść, każda jest inna; każda droga do premiery przebiega inaczej i odkrywa przede mną nowe ścieżki. Nie zdołałbym dotrzeć do celu, gdyby nie wszyscy ludzie, którzy mnie wspierali i którzy dali mi przestrzeń do napisania tej książki.

Nat, jesteś ze mną od samego początku. Od pierwszego mojego opowiadania, które opublikowałem w niewielkim periodyku literackim. Dziękuję Ci za niesłabnące wsparcie.

Rezydencji artystycznej Mineral School i jej założycielce Jane Hodges dziękuję za miejsce w sali wykładowej, gdzie powstała większa część tej powieści. Debrze DiDomenico, która pojawia się regularnie we wszystkich moich podziękowaniach, dziękuję za wsparcie i przedstawienie mnie chłopakom z Darrington i pokazanie mi ich posiadłości. Tomowi Heye'owi dziękuję, że pokazał mi swoją chatę, która była niezmiernie ważna dla wczesnych szkiców książki. Jimowi Haneyowi, Rickowi Knightowi i Davidowi Gronbeckowi dziękuję za uczynienie posiadłości w Darrington tak pięknym miejscem; za to, że mnie zaprosiliście i sprawiliście, że czułem się tam jak w domu. Dziękuję Wam.

Mary Perkins i Erniemu Seeversowi – daliście mi wspaniałą pracownię, w której mogłem się cały czas zasywać. Wśród chaosu codziennego życia to miejsce było moją ostoją. Dziękuję Wam.

A skoro o chaosie codziennego życia mowa: niczego bym nie osiągnął, gdyby nie moja żona Karen, która potrafi sobie jakoś poradzić z moją nieobecnością ciałem i duchem, gdy piszę. Zawsze mnie wspierałaś i nie istnieją słowa ani gesty podziękowania, które Ci to wynagrodzą, ale nie

ustanę w staraniach. Pragnę też podziękować Tobie, a także moim i Twoim rodzicom za pomoc w wychowaniu naszych dzieci. TiTi i Poppy, Gong Gong i Poh Poh – to dzięki Wam wszystko stało się możliwe i przede wszystkim dzięki Wam nie postradaliśmy jeszcze wszyscy zmysłów. Dziękuję Wam.



**URBAN WAITE** – dobry człowiek, który pisze o złych rzeczach. Tworzy postaci brutalnych samotników, którzy żyją na preriach, wśród koni, nieustannie z bronią w ręku, i czasem ratowani są przed upadkiem przez swe lojalne żony. To tacy ludzie zaludniają karty jego przesiąkniętych krwią thrillerów.

Jego debiut *Na krawędzi* (2011) został ogłoszony najlepszą książką roku przez magazyny „Esquire”, „The Boston Globe” i „Booklist”. Druga powieść Waite’a *The Carrion Birds* (2013) była finalistką plebiscytu New Mexico and Arizona Book Award.

Krótsze formy literackie Waite’a ukazywały się w antologii *Best of the West* oraz na łamach „Southern Review” i wielu innych periodyków. Proza Waite’a została przetłumaczona na dziewięć języków i jest sprzedawana

w dwudziestu krajach.

>

A cinematic photograph of a man with a beard and glasses, shirtless and wearing jeans, sitting on a wooden bench in the center of a church. The church has a high wooden ceiling with a large American flag hanging from it. The walls are covered in graffiti, including the words 'who', 'rest', 'mess', 'be filled' on the left and 'Arise S', 'your', 'has' on the right. The lighting is warm and dramatic, with light streaming in from windows behind the man.

# FARCRY®

★ ★ ★ ★ ★

## ODKUPIENIE

### URBAN WAITE

OFICJALNY PREQUEL FAR CRY 5